

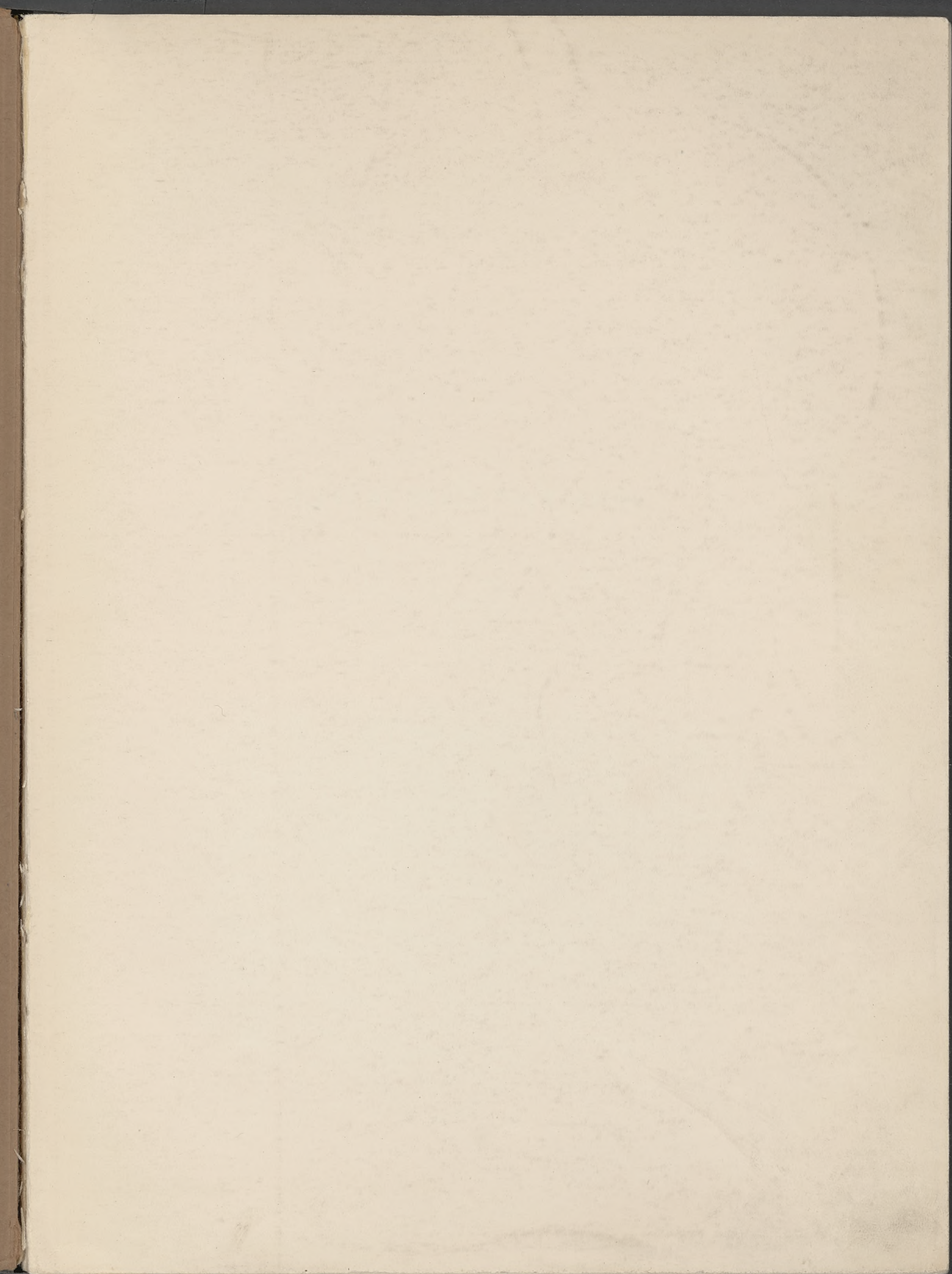
Biblioteka
UMK
Toruń

371220



CZYŻBY POZA NAWIASEM!

WYDAWNICTWO · GRONA · KURACJUSZY
SANATORIUM · AKADEMICKIEGO
IM. J. PIŁSUDSKIEGO · W ZAKOPANEM



CZYŻBY POZA NAWIASEM?

PRZY ŁASKAWEJ WSPÓŁPRACY I POPARCIU
JWPANA DYREKTORA SANATORIUM AKADEMICKIEGO
DRA STEFANA JASIŃSKIEGO

NACZELNY I ODPOWIEDZIALNY REDAKTOR:
JULIAN JERZY ŻURAWICZ

KOMITET REDAKCYJNY TWORZYLI:

HALAWIANKA WANDA, JAROSZÓWNA FELICJA
FLAUTA, KS. KELLER JÓZEF, KURASADOWICZ TERESA,
LUBICZ HENRYK, MARKOWSKI ZBIGNIEW,
OKULJAR ZDZISŁAW MARIA, PICIŃSKA KRYSTYNA,
RADECKI STANISŁAW, SZLETYCKI ALBERT,
VILIO-VETESCO OLGIERD, WERNER STEFAN.

CZYŻBY POZA NAWIASEM?

SANATORIUM AKADEMICKIE
IM. JÓZEFA PIŁSUDSKIEGO
W ZAKOPANEM

WCZORAJ I DZIŚ

Z A K O P A N E 1938

WYDAWNICTWO GRONA KURACJUSZY
SANATORIUM AKADEMICKIEGO

OKŁADKĘ PROJEKTOWAŁ MIECZYŚLAW DUDZIŃSKI
WYKONAŁY OKŁADKĘ ZAKŁADY GRAFICZNE I. K. C.

371 220



DRUKARNIA NARODOWA W KRAKOWIE

K. 1496/68

I

„...i dalej w stolicę!
Tam do życia otwarta jest rzeka.
Ojciec czeka i matula czeka —
A syn pisze: „Kochani Rodzice!...
...skończę ...bieda, dużo do roboty...“
— i dziś skończył. Umarł na suchoty.

(JAN KASPROWICZ)

* * *

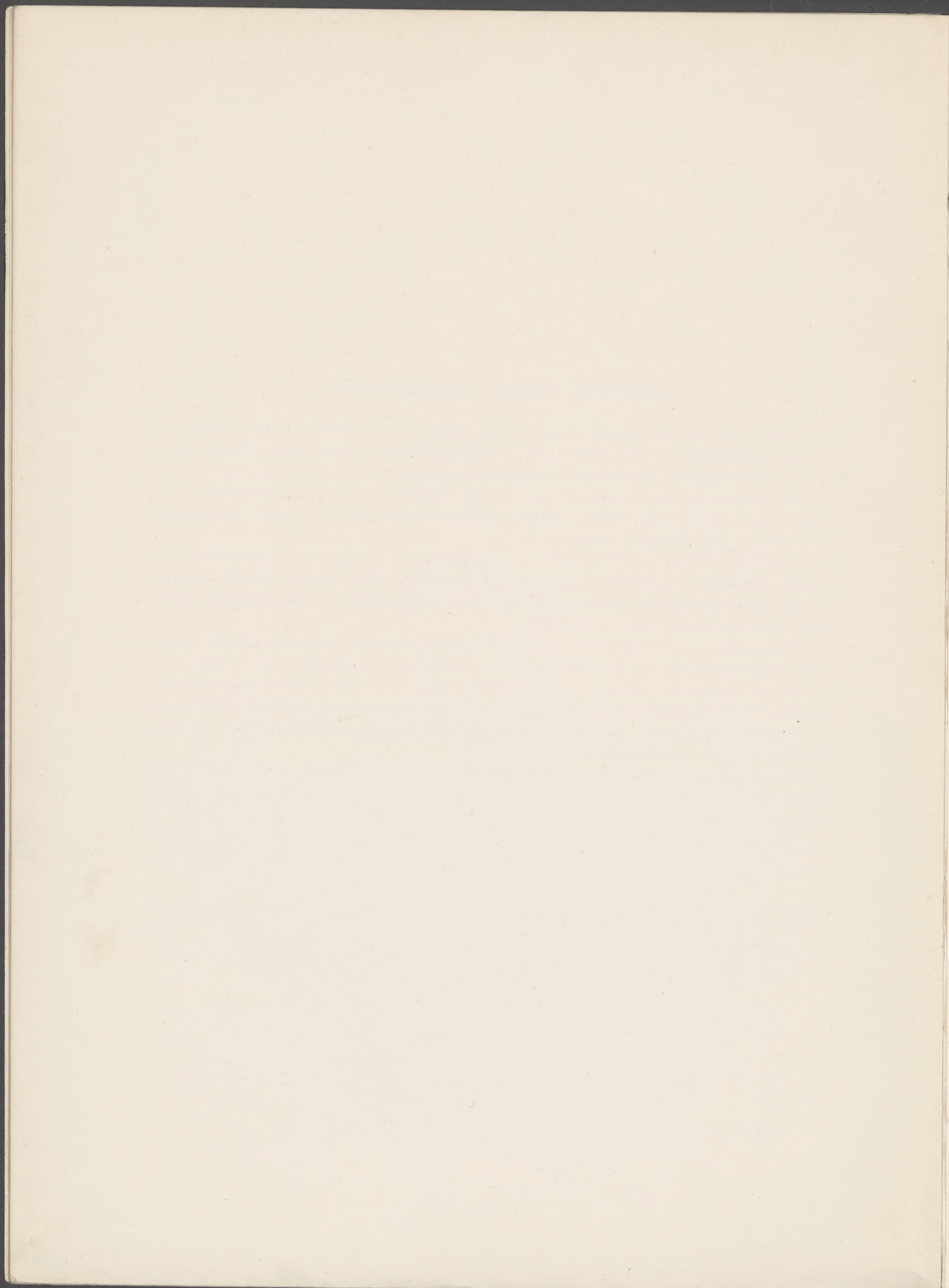
„CZYŻBY POZA NAWIASEM?”

oto pytanie, które rzucamy szerokiej rzeszy naszego społeczeństwa, pozbawionej wiary i inicjatywy w walce najistotniejszej — bo w walce o życie — młodego pokolenia akademickiego. Niechaj refleksje i uwagi, jakie wypłyną z dyskusji nad tym pytaniem, wykażą jasno i ze zrozumieniem, że ci, którzy znaleźli się chwilowo „poza nawiasem“ życia i dążeń zdrowych — nie są ludźmi straconymi. Przeciwnie, wczas podana ręka pomocna uczyni z nich wartościowe jednostki, gotowe ofiarnie służyć społeczności z jak najlepszym skutkiem.

„CZYŻBY POZA NAWIASEM?” — to wydawnictwo, zainicjowane i opracowane przez młodych akademików — kuracjuszy Sanatorium Akademickiego, którzy dotknięci mackami strasznej choroby, czują się specjalnie powołanymi do oświecenia niedopuszczalnych stosunków, jakie panują wśród milionowej rzeszy chorych na gruźlicę.

Wydawnictwo nasze, realizowane w najskromniejszych warunkach, w oparciu o wielką propagandę najpotrzebniejszej z potrzebnych instytucji — Sanatorium Akademickiego im. Józefa Piłsudskiego w Zakopanem — pragnie rzucić prawdziwy refleks na nurtujące wśród młodych niebezpieczeństwo. Warto przypomnieć, że co trzeci dzień jeden akademik umiera na gruźlicę, zaś co czwarty jest chory i wymaga opieki i leczenia. Warto przypomnieć, że to się dotkliwie odbija na żywotnej sile narodu i jego obronnej postawie.

Wydawnictwo nasze spełni pokładany w nim cel, jeśli w ogólny dorobek naszej walki z gruźlicą — dorzuci choćby małą cegiełkę korzyści i spowoduje zmianę na lepsze. Ufajmy, że tak będzie.





Prezydent Rzeczypospolitej Prof. Dr Ignacy Mościcki, Protaktor
Budowy Sanatorium Akademickiego w Zakopanem.

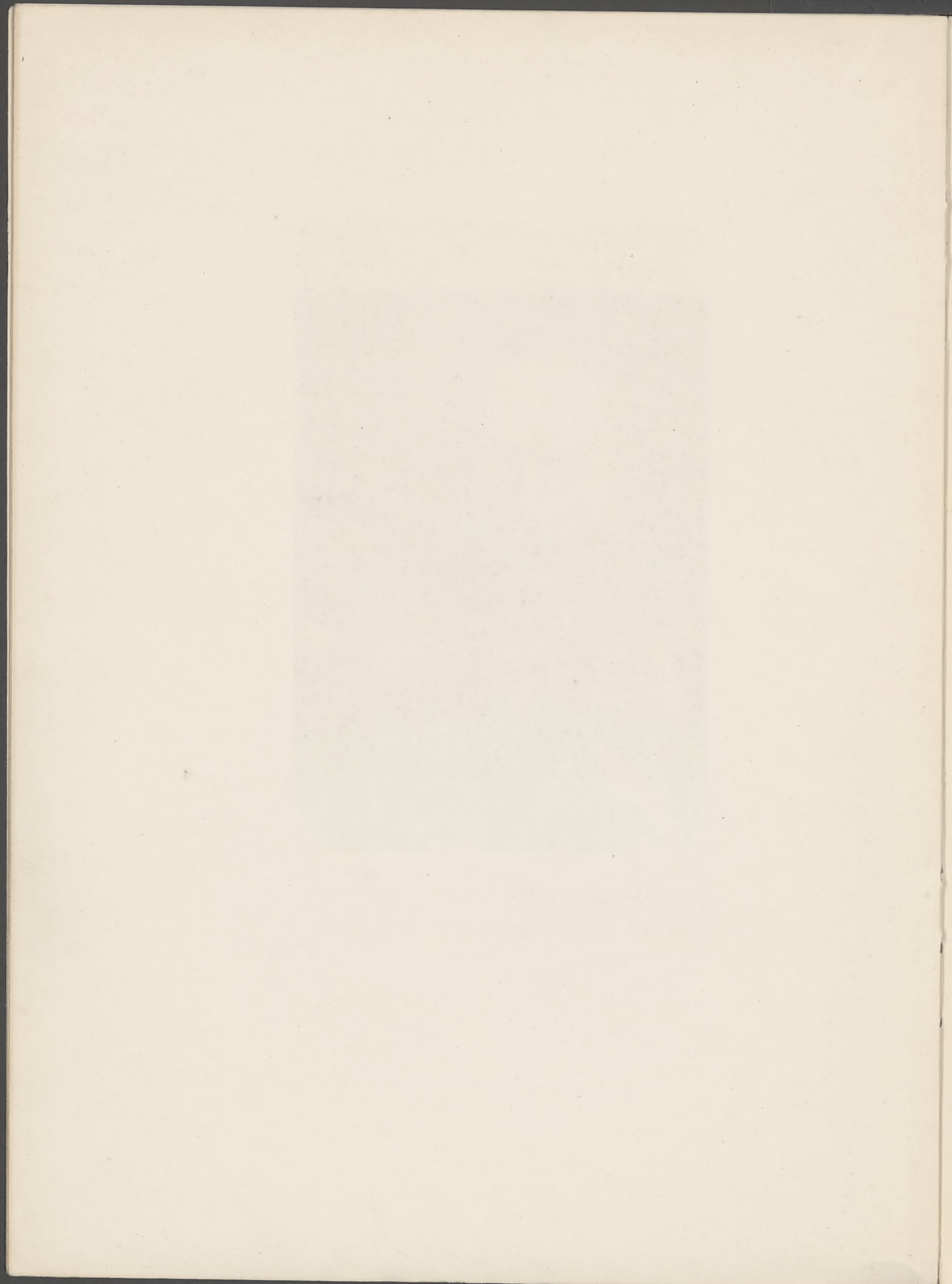
*Zdrowie i hart młodego pokole-
nia stanowią najpewniejszą
gwarancję siły i potęgi Państwa.*

Mościcki.





„Sanatorium Akademickie... dawny „Bratniak“... I stąd w r. 1914 na zew Józefa Piłsudskiego poszli do Legionów młodzi akademicy-kuracjusze... „Bratniak“ zamieniono na Szpital legionowy... Dzisiaj Imię Wielkiego Marszałka patronuje Zakładowi“.....



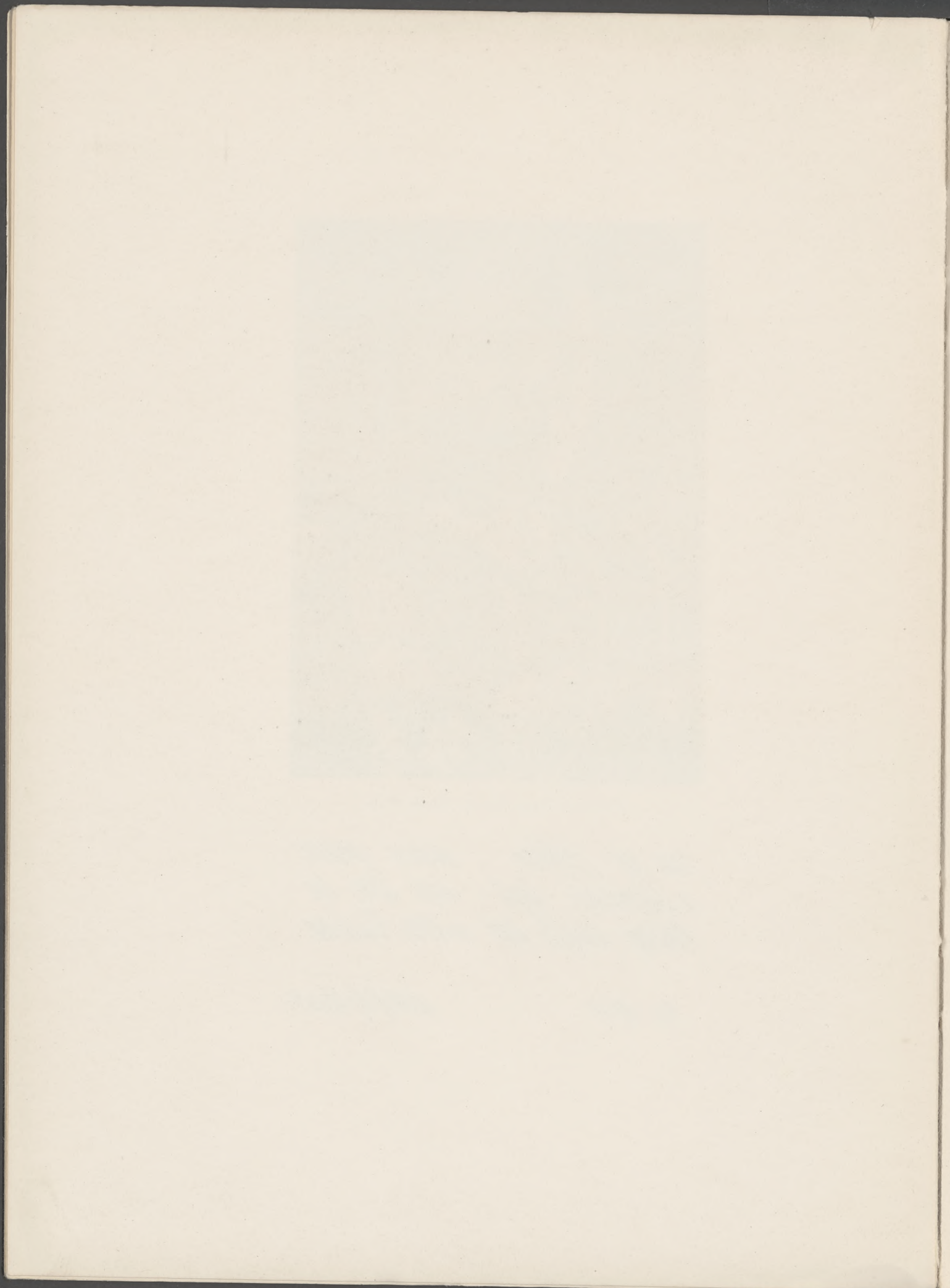


Marszałek Polski Edward Śmigły-Rydz.

*Pracuj, justynie... mamo, mamo
i pamiętajcie mi - miś tak, by
Polska mogła być w Waszym domu!*

9/1 1938

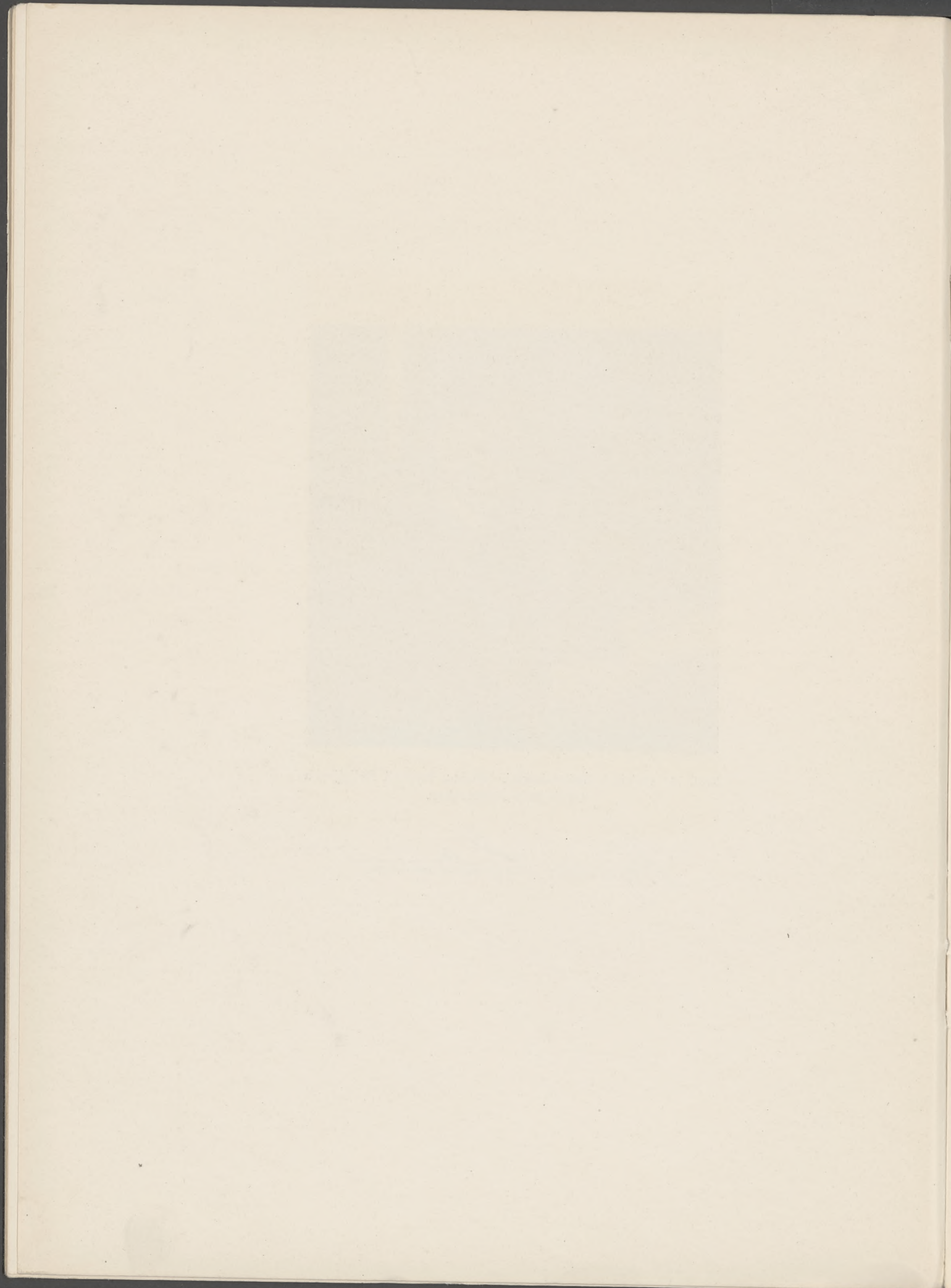
Edward Śmigły-Rydz





Prof. Dr Wojciech Świątosławski, Minister Wyznań Religijnych
i Oświecenia Publicznego.

Wojciech Świątosławski





Prof. Dr Inż. Andrzej Pszenicki, Prezes Rady Naczelnej Towarzystwa Przyjaciół Młodzieży Akademickiej.

A handwritten signature in dark ink, appearing to be 'A. Pszenicki', written in a cursive style.





Dr Stefan Jasiński, Dyrektor Sanatorium Akademickiego im.
J. Piłsudskiego w Zakopanem.

Wytrwałość, cierpliwość, sumienność
: praca - to droga do celu.
Stefan Jasiński



Dr MIKOŁAJ KOŁODYŃSKI

GRUŻLICA

*...tożsamość zwłok stwierdzono na podstawie kartki
umocowanej sznurkiem do lewej nogi...*

*Patrzą oczy tępe i głupie
w brudny całun rzucony w kącie.
Nie tłóczcie się! — i ciszej bądźcie
tutaj — przy trupie!
Wczoraj w bramie wypił esencję;
przyjechała karetka z pomocą —
było późno... nic więcej —
nic... Tylko — po co?
Wiek średni, odżywienie chartacze,
wzrost...
Przypatrzcie się, dobrze przypatrzcie!
w nadludzką sprężony długość.*

.....
*Zgrzyta sekcyjna piłka na kości,
na podłogę kropla po kropli...
po pochyłości
spływa struga.
Mózg wyjęto, rozcięto, zważono...
— tysiąc dwieście czterdzieści...
pod oponą się mieści trochę ropy.
Żebra w poprzek rozcięły obciążki,
otworzono wnet piersi klatkę
— można czytać śmierci zagadkę,
jak z książki:
zapienione, zielone i krwawe,
pod palcami miąższu jamy
krzyczą prawdę żywą,
że to śmierci żniwo!
— bez esencji nawet!
Patrzycie w czarną krew,*

czujecie w zgnilej woni,
słyszycie w plusku trzew
i wszystko wiecie o nim:
gorączka, kaszel, poty,
krwawa plwocina...
I jeszcze potem kaszel,
— tak się zaczyna historia choroby.
Całych płuc zmiany w oczy krzyczą,
i łatwo prawdę wydobyć,
prawdę nagą! — gruźliczą!
Koniec sekcji — studenci naprędce
notują rozpoznanie,
obducent długo suszy ręce
i rękawiczki pudruje starannie.
Rudy woźny szpagatem zszywa
brzuch skrwawiony i nieumyty.
Koniec... — sekcją wykryto:
T.b.c. *progressiva*! —

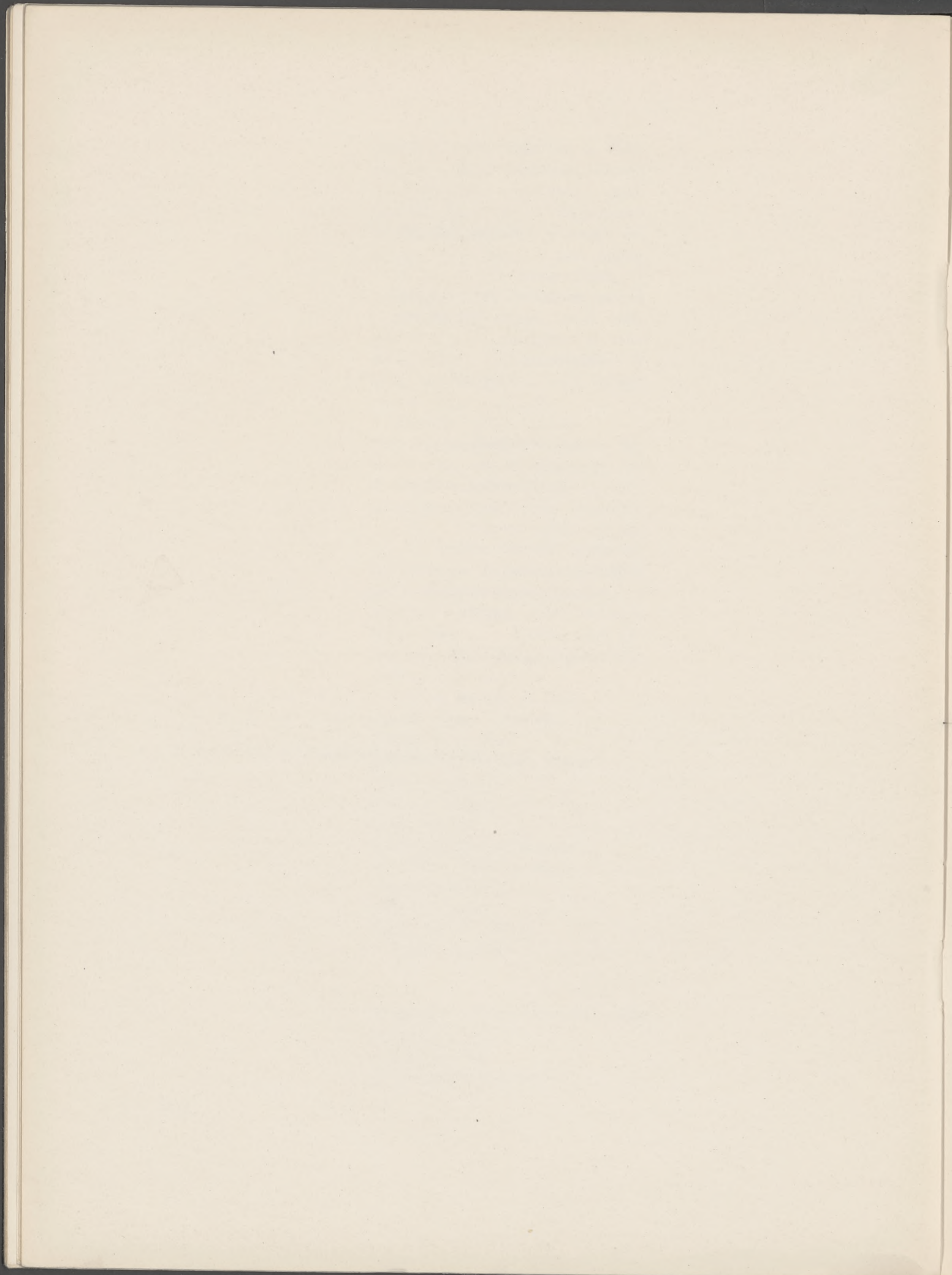
.....
Na niebieskim tle czerwony od fuksyny
pod mikroskopem cienki prątek:
przyczyna i początek
tysiąca innych.
Pod mikroskopem bakcyl cienki
czerwony na obwodzie —
— a tu na cmentarz co dzień
wywożą trumny i trumienki.
Zaplute krwią ulice!
Kłamstwo, że co siódmy umiera!
Umiera co trzeci!...
Studenci, robotnice,
starcy, dzieci...
Rozbici kaszlem bez przerwy,
Nie widząc nadziei w niczym,
stargawszy nerwy —
trują się esencją...
Tysiące takich i więcej
— i jedna Gruźlica!

.....
W dusznych pracowniach naukowe światy
na psach i świnkach
próbują preparaty,
rzucone farmacją po rynkach.

Może są zastrzyki ?
Specyfiki skuteczne ?
Może... złoto ?
Sanochryzyna ?!
Na ulicach, w szpitalach pokotem
padają, giną...
Co jesień, co wiosna —
krzywe śmiertelności pną się i rosną.
Może jutro... dziś... lada godzina
ulice się rozkrzyczą,
że nadtuberkulinę
wykryto znów leczniczą ?!!

.
Na sanatoria brak pieniędzy,
nie mamy leczyć za co...
Prędzej, lekarska młodzi, prędzej!
Rozpedem! Siłą! Pracą!
Energia młodych mózgów!
Wysiłkiem twórczym wiedzy!
Orlim lotem młodości! —
— zmień krzywe śmiertelności
i przesun śmierci granicę!
Ty jedna możesz!
ŻWALCZ GRUŻLICĘ!!

(„XX-lecie Koła Medyków S. S. S. M. U. J. P.“)



JUL. JERZY ŻURAWICZ

SANATORIUM AKADEMICKIE W PERSPEKTYWIE CZASU

Zagadnienie walki z gruźlicą wśród młodego pokolenia akademickiego to zagadnienie stare, niedzisiejsze, sięgające w swoich początkach lat 1900—1902.

Jak w każdej idei, szukającej dróg najbliższych do osiągnięcia celu, tak i tutaj — w tej najistotniejszej walce młodego człowieka, bo w walce o życie — od 1900 roku, aż do dzisiaj przesunęło się mnóstwo pomysłów, metod i sposobów postępowania. Wśród nich teoretyczną myślą przewodnią była myśl niesienia pomocy chorym na gruźlicę studentom bez różnicy, skąd oni pochodzili, jakich byli przekonań. Jediną legitymacją — to legitymacja polskości. Każdy Polak, studiujący bądź pod zaborami, bądź też za granicą — a tych „zagranicznych“ było często dużo — miał równe prawa w otrzymywaniu pomocy w stworzonym i zorganizowanym „Bratniaku“ — pierwszym Sanatorium w Zakopanem o charakterze społecznym.

Oczywiście praktycznie pomoc ta ulegała na przestrzeni czasu pewnym odchyleniom, uzależniana od względów materialnych, energii i przedsiębiorczości ludzi, a nawet — co się nieraz zdarzało — od nastawienia samego społeczeństwa polskiego, rozbitego pod trzema zaborami i mającego często sprzeczne interesy. Bez wątpienia też wpływ na organizację pomocy chorym na gruźlicę akademikom miały fantastyczne wiadomości z dziedziny gruźlicy, jakie przyswajali sobie nawet ludzie wykształceni i odgrywający poważną rolę w życiu społecznym.¹ Zupełnie nie zdawano sobie sprawy, czym jest gruźlica — wówczas powszechnie nazywana suchotami — czym może ona grozić, co trzeba robić, aby ją unieszkodliwić. Starannie unikano przy tym wyrazu „gruźlik“. Wszędzie panowała myśl — nieistotna dla nielicznych fachowców — że gruźlik, to człowiek stracony dla rodziny, najbliższych, niezdolny do jakiegokolwiek pracy. Współczujące spojrzenia obejmowały żałośnie postać młodego człowieka „chorego na płuca“; wróżyły mu one — co się zresztą często sprawdzało — prędkie odejście w lepsze światy. Na człowieku takim nie pokładano żadnych nadziei, był on z góry skazany i opłakany przez swoje otoczenie.

¹ Dr Józef Żychoń w swoich wspomnieniach, wydanych z okazji 25-lecia Domu Zdrowia „Bratnia Pomoc“ — pisze: „Pamiętam, że gdy w r. 1904 przenieśliśmy nasz Dom Zdrowia z Chramcówek na ulicę Sienkiewicza, to zaprotestowali przeciwko temu mieszkańcy tej ulicy, bo nie mogli zrozumieć, że gorsze i niebezpieczniejsze jest rozrzucanie po całym Zakopanem chorych, najczęściej w warunkach nieodpowiednich, aniżeli skupienie ich w jednym domu, gdzie z całą świadomością utrzymywało się potrzebną czystość“.

Albo podaje inny przykład: „Gdy w kilka lat później przygotowałem na wystawę przyrodniczą we Lwowie tablicę z ruchu chorych w naszym Domu Zdrowia, z odpowiednimi napisami i dołączyłem fotografię leżalni, zwrócił się do mnie przedstawiciel miejscowej władzy z propozycją, bym usunął tę fotografię i wykreślił z napisów słowo „gruźlica“, gdyż wystawienie takich rzeczy może przynieść Zakopanemu nieobliczalne szkody“.



Dr Józef Żychoń, członek założyciel i b. długoletni dyrektor zakopiańskiego „Bratniaka“.

W takich warunkach — w latach 1900—1902 — młodzież sama, jako bezpośrednio zainteresowana straszną chorobą, organizuje samorzutnie dla siebie pomoc.

Trzeba zrozumieć, czym wówczas były jej wysiłki. Nie było wtedy mowy o zorganizowanym życiu akademickim, o statystykach chorobowych, czy też kontroli nad chorymi. Ale czegoż nie przemoże młodość! W r. 1900 powstała organizacja, której początkowa działalność mieściła się w szczupłych ramach. Przyjeżdżającym do Zakopanego chorym studentom udzielano pomocy lekarskiej, a później — w miarę rozrostu potrzeb — pomocy materialnej na opłacenie mieszkania, środków żywnościowych i lekarstw. Pomoc ta, to pomoc pomysłana prawdziwie po bratersku.

Te pierwsze poczynania organizacyjne — skromne, a jednak tak potężne — skupiły się wreszcie w założonym 2 września 1900 r. Towarzystwie. Towarzystwo owo — to widomy

już wyraz pomocy starszego społeczeństwa dla młodzieży. Na czele jego stanął początkowo Dymitr Kirkor, później Wacław Wolski. W maju 1901 r. kierownictwo objął dr Józef Żychoń, wielki społecznik, żyjący po dziś dzień w Zakopanem, otoczony miłością i szacunkiem przez młodzież i starszych, dawnych swoich pacjentów. Od tego czasu rozpoczyna się rozwój i rozkwit z roku na rok „Bratniaka“.

Źle zrobiłbym jednak nie pisząc nic o trudnościach, z jakimi „Bratniak“ walczył od początku swego istnienia. Trudności te natury przeważnie materialnej tradycyjnie wzrastają z roku na rok. Dziedziczy je w spadku i obecne Sanatorium Akademickie — bo jakże inaczej być mogło! — Ale o tym później.

Dawny „Bratniak“, stworzony przez energię i wolę ludzi dobrych może się pochwalić wielkimi sukcesami odniesionymi na polu ratowania młodej braci studenckiej. Może się jednak pochwalić również nie lada przeszkodami. Były przecież chwile, że w ich przezwyciężenie zaczęli wątpić sami założyciele i twórcy idei „bratniackiej“. Przeszkody te mogły załamać najsilniejszych.

W jesieni 1901 r. Towarzystwo wynajęło na Chramcówkach domek — i to był początek „Bratniaka“. Początek bardzo mizerny. Inwentarz ruchomy tego Domu Zdrowia był „straszenie studencki“. Jak podaje dr Żychoń w swoich wspomnieniach nie przekraczał „kilku łóżek, szaf, stołów i stołków w pokojach, a w kuchni samowaru i 6 filiżanek“.

Dużo jednak było zapалу i dobrych chęci. Na wieść o nowopowstałym Ośrodku akademickim walki z gruźlicą — bo tak to trzeba po nowoczesnemu teraz nazwać — ze wszystkich środowisk studenckich zaczęli napływać chorzy.

Przybywali z Krakowa, Lwowa, Warszawy, Petersburga, Leodium, Lozanny, Fryburga, Pragi, Wiednia — zewsząd, gdzie tylko mogli przebywać na studiach Polacy.

Frekwencja pensjonariuszy wzrosła nieproportyjnie. Trzeba było zatroszczyć się o ich pomieszczenie. Mały domek na Chramcówkach nie mógł pomieścić i małej części przyjezdnych. Wydzierżawiono więc z kolei willę „Miedochówkę“, „Hannę“, a wreszcie już czwarty domek zwany „Francuzem“. Oczywiście wraz ze wzrostem frekwencji kuracjuszy wzrasta praca i ożywienie. Dr Żychoń miał już do pomocy asystenta,



Fragment ogrodu z wodotryskiem w starym „Bratniaku“.

stworzono też kancelarię i administrację, która swoim zasięgiem ogarniała wiele funkcji; najbardziej uciążliwą z nich bezsprzecznie była stała troska o zasilenie w sposób dostateczny spiżarni i kuchni.

Dr Józef Żychoń, wspominając te czasy, z pewną dumą pisze, że Dom Zdrowia posiadał nie byle jaką administrację. Sekretarzem Towarzystwa i gospodarzem był student Politechniki lwowskiej, późniejszy minister — Stanisław Downarowicz.

Po nim objął to miejsce Aleksander Litwinowicz, obecny generał i II Wiceminister Spraw Wojskowych. Zresztą w miarę rozrostu Domu Zdrowia zmieniał się skład i personel administracyjny, zawsze chętny i pracowity. Pracował tu też jako gospodarz prof. Kazimierz Bartel, premier kilkakrotnie i minister.

A jak się przedstawiał personel lekarski? — Swoim staraniem i bezinteresownością wystawił sobie przepiękną kartę w tych czasach zmagania się chorych akademików z własną niemocą i ciągłymi potrzebami materialnymi. Już w pierwszych początkach asystentem dr Żychonia był medyk Koszutski, a potem dr Władysław Zenczykowski.

W r. 1904 akcja bratniacka skoncentrowała się w willi „Bohdanówce“ na ulicy Sienkiewicza, którą Towarzystwo zakupiło na własność. Lekarzem został dr Aleksander Januszkowski, którego zastąpili w r. 1907 Doktorostwo Kuczewscy.¹

¹ Im to poświęcił kilka gorących zdań W. Sieroszewski („Głos Prawdy“ z dn. 27. I. 1927 r.): „...Na działalność „Bratniaka“ z bliska patrzałem przez 4 lata od 1906 roku... Lekarzem kierowniczym został wówczas dr Antoni Kuczewski, jeden z najwybitniejszych znawców gruźlicy, oraz gorący propagator jej społecznego leczenia. Sposoby walki z nią badał w Niemczech, Szwajcarii, Anglii i Francji i nieraz z bólem opowiadał mi o zabójczej obojętności, z jaką społeczeństwo polskie traktuje ten „bicz ludzkości, zabierający więcej ofiar niż najkrwawsze wojny“. „Gdy gdzie indziej idą na to setki milionów, walka z wrogiem prowadzona jest przez państwo i cały ogół, — ja z rozpaczą myślę, co dam na obiad jutro moim chorym, gdyż pieniędzy wcale nie mam!...“ Doktorowa Józefowa Kuczewska, która wówczas była administratorką, dokonywała wprost cudów, wynajdywała niemożliwe kredyty, stwarzała fantastyczne wprost kombinacje, dostarczając w rezultacie niezbędnych skromnych śniadań, obiadów i kolacji, przedwcześnie ginącym młodocianym skazańcom. Nieraz była jednocześnie, dla braku obsługi, sekretarka,



Dom Zdrowia „Pomoc Bratnia“ na Gubałówce w Zakopanem.
Budynek gospodarczy i leżalnia dla mężczyzn.

W tym czasie, mimo szerokich planów i zamierzeń, pragnących doprowadzić nawet do budowy własnego, odpowiedniego dla wzrastających potrzeb gmachu, Towarzystwo znajduje się w niezwykle trudnych warunkach. W latach 1907—1908 zdawało się, że Zakopiańskiemu Domowi Zdrowia grozi ostateczna ruina i zamknięcie.

Minęły jednak groźne chwile, zdołano jakimś cudem uzyskać mizerne fundusze — i... jako przetrwano. W tych cięż-

kich chwilach stałą pomoc „Bratniakowi“ nieśli Doktorostwo Dłuscy, panna Elżbieta Trenklerówna, dr Edmund Brzeziński — ostatni prezes Towarzystwa i Dyrektor „Bratniaka“ w latach 1912—1924. Zresztą wymienić tutaj wszystkich, którzy swoją pracą, czy też pomocą materialną przyczynili się do utrzymania Domu Zdrowia — byłoby trudno. Było osób zbyt wiele — oni też, jak mówi ówczesny Prezes Towarzystwa i Dyrektor „Bratniaka“ dr Józef Żychoń, „tworzą grono prawdziwych założycieli Domu Zdrowia“.

W roku 1910 obchodzono jubileusz dziesięciolecia istnienia instytucji. Z okazji tego jubileuszu zebrano znaczniejsze fundusze. Zainicjowano też zaraz budowę własnego gmachu, odpowiedniego do przeprowadzenia wszystkich postulatów sanatoryjnego leczenia gruźlicy. Zakupiono na stokach Gubałówki, w idealnym wprost miejscu pod względem klimatycznym, teren z willą „Grażyną“, którą też zaczęto zaraz rozbudowywać. Zbudowano dom gospodarczy, prócz tego stworzono pawilon dla kobiet, nazwany „Parnasem“.

Dnia 19 maja 1911 roku przeniesiono chorych do nowej siedziby.

Był to wielki dzień w dziejach „Bratniaka“. W tym dniu jedenastoletnia prawie działalność Towarzystwa znalazła usankcjonowanie swego istnienia, potwierdziła, jak wielką rolę ona w życiu młodzieży odgrywa. Kilkudziesięciu młodych ludzi, znajdujących zawsze schronienie tutaj i pomoc, spotykających się z życzliwością i bezinteresownością lekarzy — to najlepszy tego przykład. Niechaj statystyki na innym miejscu obliczą ile przez „Bratniak“ tych ludzi przeszło. Ja tylko stwierdzę, że w Niepodległym Państwie naszym kuracjusze „Bratniaka“, że wymienię tylko Bartla, Litwinowicza, Czerwińskiego, Ruszczyca, Downarowicza, Nowaczyńskiego i wielu, wielu innych, odegrali i odgrywają

buchalterką, pomywaczką, szwaczką, pielęgniarką... Skąd czerpała siły na to wszystko, ta anielska kobieta, sama ciężko chora? Doprawdy nie wiem!...



Dom Zdrowia „Bratnia Pomoc“ na Gubałówce.

często wybitną rolę. A cóż by z nimi było, gdyby „Bratniak“ nie istniał? Tego nie trzeba komentować, wydaje to się zbyteczne: żaden z tych ministrów, generałów, pisarzy czy malarzy podczas swoich studiów nie był wcale zamożny i nie opływał w dostatki...

Ale wróćmy do naszego „Bratniaka“.

Od końca 1914 r. nastaly ciężkie chwile dla Towarzystwa, wywołane trwającą wojną. Prawie wszyscy kuracjusze wstąpili do Legionów. I to jest ta promienna karta w dziejach naszej instytucji. Od listopada 1914 r. do końca 1915 r. „Bratniak“, zamieniony na szpital, dawał schronienie chorym na płuca legionistom. Rząd austriacki niechętnie jednak patrzył na to skupienie polskich legionistów — i po roku istnienia skasował Szpital legionowy.

W następstwie tego jakiś czas „Bratniak“ był zamknięty. Otworzony w kwietniu 1916 roku przeżywa z całą Polską ciężkie lata wojny.

W r. 1921 Towarzystwo Domu Zdrowia uczącej się młodzieży polskiej „Pomoc Bratnia“ rozwiązuje się, przekazując tytuł własności „Bratniaka“ Ogólnopolskiemu Związkowi Bratnich Pomocy. Związek ten wreszcie w r. 1924 oddał zarząd Domu Zdrowia Radzie Naczelnej dla spraw pomocy młodzieży akademickiej, która w 1934 r. przekazuje go T-wu Przyjaciół Młodzi Akademickiej.

W marcu 1925 r. z ramienia Rady Naczelnej dyrektorem Zakładu zostaje dr Stefan Jasiński, który łącząc w sobie cechy dobrego organizatora z lekarską wiedzą specjalisty chorób płucnych — doprowadza wreszcie do realizacji „tęskne marzenia szeregu pokoleń gruźliczych“: wybudowanie wielkiego, nowoczesnego sanatorium, które by stało się centralnym czynnikiem w walce z gruźlicą wśród młodego pokolenia akademickiego.

I znów energia i wola ludzka święci tutaj triumfy.

Tak, jak w r. 1900 powstała w najtrudniejszych warunkach idea „bratniacka“, jak przez prawie 40-letni okres umiała przetrwać i utrzymać te wielkie zdobycze bezinteresowności i braterskiego współczucia — tak i teraz w r. 1932 powstał w największym trudzie wspaniały gmach sanatoryjny — kontynuator tej samej idei, jaka przyświecała kilkadziesiąt lat temu założycielom „Bratniaka“.

Powstał, bo powstać musiał.

Bo trzeba wierzyć, że ludziom bliska jest idea bratniej miłości, że na tle naszej rzeczywistości liczne błyszczą ogniki ofiarne, które złączone — zlewają się w wielki płomień miłosierdzia i chęci niesienia pomocy tym, którzy jej potrzebują.

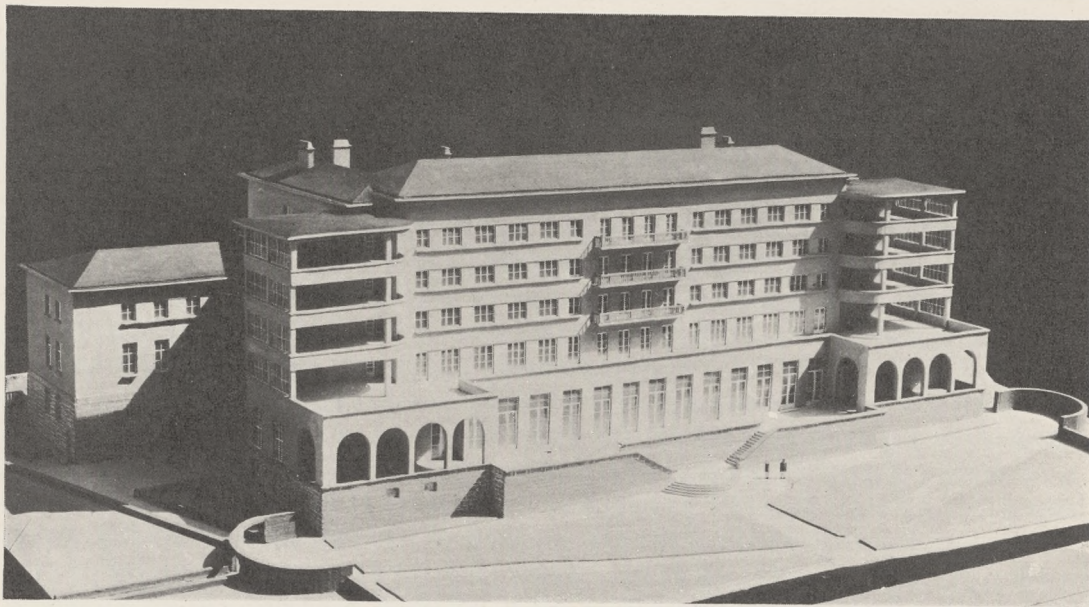
Tak było — i tak będzie zawsze.

PROF. INŻ. JÓZEF GAŁĘZOWSKI

b. Rektor Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie

NOWY GMACH SANATORIUM I JEGO BUDOWA

Obecny gmach Sanatorium Akademickiego powstał na terenie dawnego „Bratniaka“ założonego w 1900 roku, jako pierwszej instytucji społecznej w Polsce, poświęconej ratowaniu zdrowia zagrożonej gruźlicą naszej młodzieży akademickiej. Zasługi tej instytucji na polu walki z gruźlicą są powszechnie znane, ograniczę się więc tylko do stwierdzenia, że Rada Naczelna Pomocy, a obecnie T-wo Przyjaciół Młodzieży Akademickiej odziedziczyło po Bratniaku nie tylko piękne tradycje, ale i materialną podstawę do swych zamierzeń, w postaci pięknego, doskonale położonego terenu. Teren ten, o zacisznej południowej wystawie na stokach Gubałówki, wyniesiony 950 m ponad poziom morza, o powierzchni ca 15.000 m² przeznaczono w górnej jego części pod obecny gmach sana-

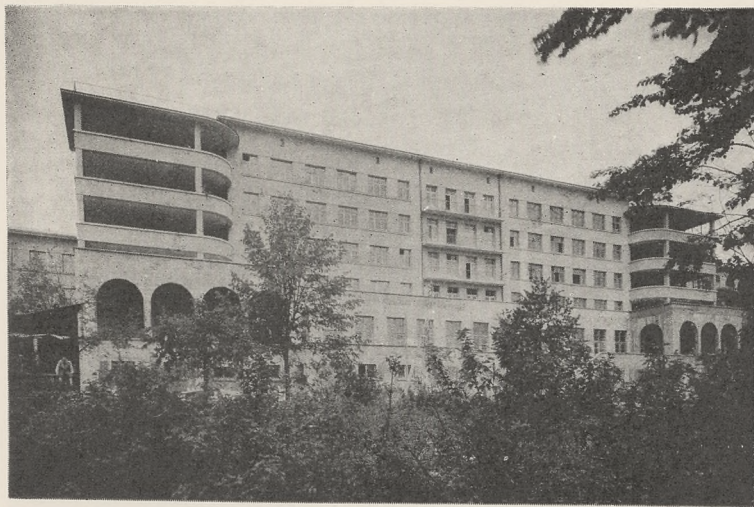


Model Sanatorium Akademickiego im. Józefa Piłsudskiego.

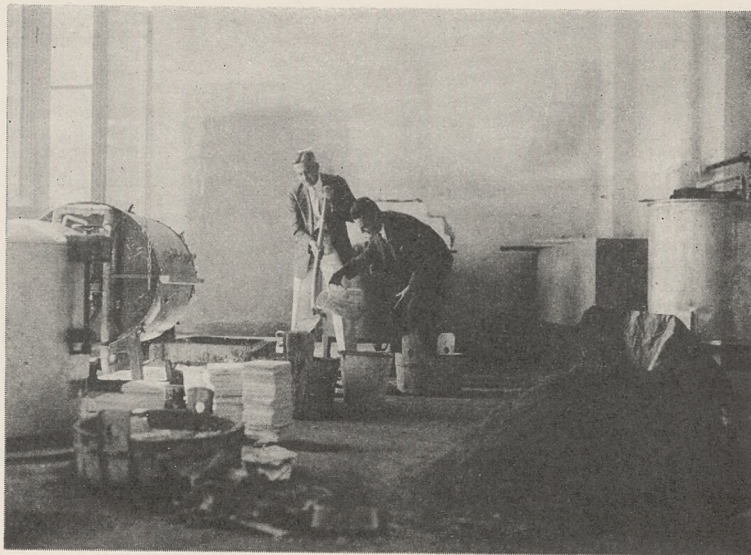
torium i park zakładowy. Płaskie zaś i niżej nad rzeczką położone grunta nadają się na obejście i zabudowania gospodarcze, jak garaże, stajnie, chlewki itp. Można by tam niewielkim kosztem przenieść pozostałą jeszcze z dawnych zabudowań Bratniaka, drewnianą willę Grażynę i po pewnych adaptacjach pomieścić w niej mieszkania dla służby zakładowej.

Po przejęciu Bratniaka przez Radę Naczelną Pomocy Młodzieży Akademickiej, przy współudziale wybitnych fachowców, lekarzy oraz architektów, ustalono program budowy i rozpisano konkurs na projekt nowego sanatorium. Wreszcie jesienią 1928 roku rozpoczęto budowę według wybranego do realizacji projektu niżej podpisanego.

Nowy gmach składa się z głównego budynku o 5 kondygnacjach i gospodarczego o 3 kondygnacjach i obliczony jest na leczenie do 190 osób. Chorzy mieszczą się w głównym bloku w pokojach jedno- dwu- i trzyosobowych, sytuowanych ze względów leczniczo-klimatycznych po stronie słonecznej na czterech piętrach, z których dolne przeznaczone jest dla chorych na gruźlicę kości. Pokoje tego piętra wychodzą bezpośrednio na taras,

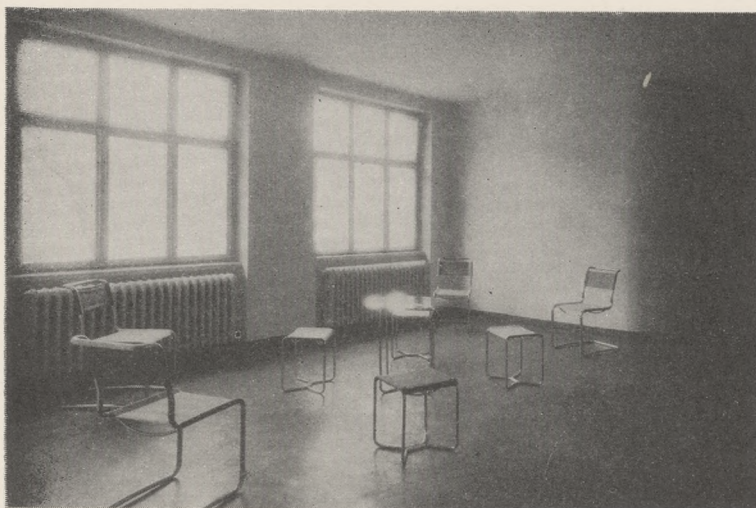


Sanatorium Akademickie im. Józefa Piłsudskiego w Zakopanem.



Dyr. Stefan Jasiński „przy pracy“ w kotłowni.

na który wywozi się chorych wraz z łózkami dla leczenia słońcem wysoko-górskim. Obszerne i widne korytarze rekreacyjne po obu stronach tego bloku łączą pokoje dla chorych z centralnie założonymi głównymi schodami i wyciągiem osobowym elektrycznym, obliczonym na łóżko wraz z obsługą. Do werandowania służą, umieszczone po obu końcach i na każdym piętrze tego bloku, obszerne, przewiewne i nasłonecznione le-



Salonik.

Fot. H. Schabenbeck.

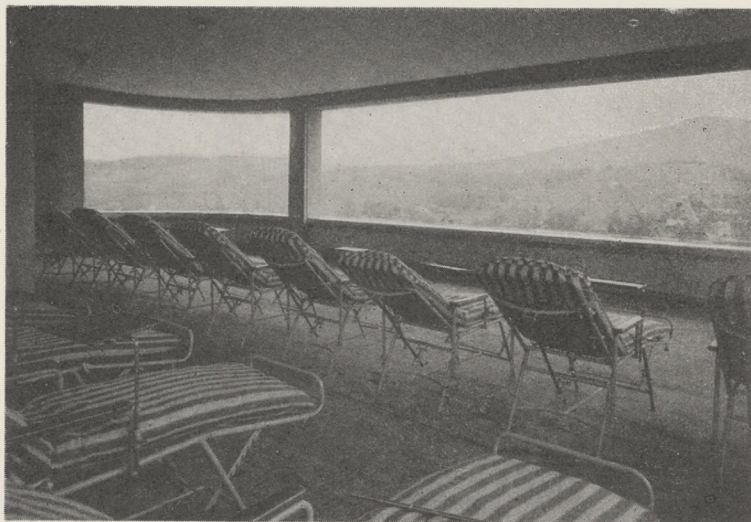
żalnie. Każde piętro budynku przeznaczonego dla chorych wyposażone jest również we wszelkie ubikacje pomocnicze, jak dyżurki dla pielęgniarek, kredensy, kuchenki, składy czystej i brudnej bielizny, wanny, klozety itp. Sytuowane są one po stronie północnej gmachu i urządzone według najnowszych wymagań techniki sanatoryjnej.

Obliczone na kilkaset osób jadalnie wraz z salą rekreacyjną, holl z szatniami, biblioteka, czytelnia itp. mieszczą się na parterze. Sale te otwierają się wprost na tarasy i park zakładowy. Również na parterze przewidziano miejsce na kaplicę do użytku chorych.

Wschodnie skrzydło budynku głównego, jako jeden kompleks połączony własną komunikacją schodową, przeznaczone jest na cele lekarskie. Przewidziano więc tam sale operacyjne do wszystkich zabiegów stosowanych przy leczeniu gruźlicy, sale do rentgenodiagnosticsy i terapii, do elektroterapii, inhalatorni i w ogóle wszelkie urządzenia kliniczne i laboratoryjne, pozwalające nie tylko na leczenie chorych, ale i na prowadzenie badań oraz pracy naukowej nad leczeniem gruźlicy. W tejże części budynku, na parterze z bezpośrednim dostępem z zewnątrz, mieści się oddział obserwacyjno-izolacyjny sanatorium.

Lekarskie gabinety przyjąć, gabinet lekarza naczelnego, dyrekcję wraz z administracją i mieszkania lekarzy oraz asystentów zaprojektowano po stronie zachodniej bloku głównego. Ten kompleks pomieszczeń posiada również niezależną komunikację schodową i dostęp z zewnątrz.

Wszelkie ubikacje gospodarcze, jak kuchnie, pralnia mechaniczna, suszarnia itp. wraz z pomieszczeniami pomocni-

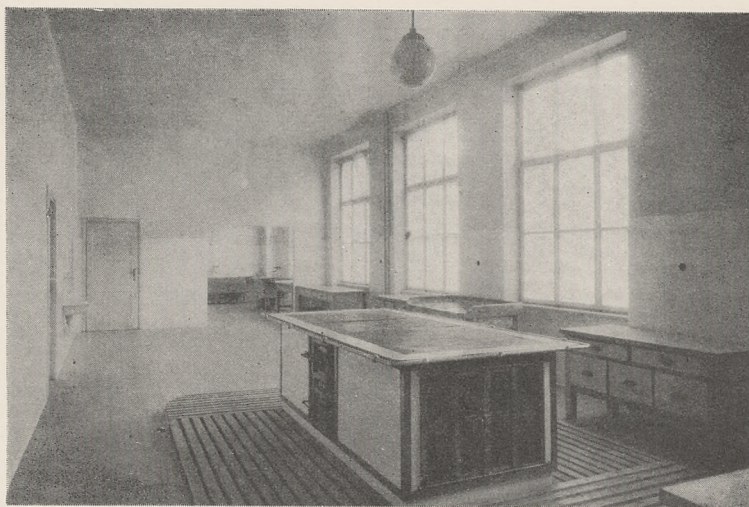


Leżalnia.

Fot. H. Schabenbeck.

czymi, mieszkania pielęgniarek i służbowe usytuowano w oddzielnym 3-piętrowym budynku, przylegającym do gmachu głównego. Osiągnięto w ten sposób doskonałą izolację pomieszczeń dla chorych od zapachów kuchennych i hałasów, związanych z ruchem służbowym.

Wszelkie kotłownie, dezynfektornie, składy opału i inne magazyny mieszczą się w obszernych suterrenach pod całym budynkiem.



Kuchnia.

Budynek sanatorium zaopatrzony jest we wszelkie instalacje, jakie stosuje w tego rodzaju zakładach nowoczesna technika, a więc: centralne ogrzewanie wodne, instalacje do grzania wody do wanien i umywalek znajdujących się we wszystkich pokojach chorych, w mieszkaniach, w pokojach przeznaczonych dla celów lekarskich, wreszcie w kuchniach, pralni mechanicznej, dezynfektorniach i pomieszczeniach do sterylizacji naczyń stołowych. Te ostatnie urządzenia zaprojektowane są w sposób wykluczający jakiegokolwiek krzyżowanie się naczyń lub przedmiotów nieodkażonych z czystymi. Ścieki i nieczystości odprowadzane są do potoku po przejściu przez specjalny budynek, mieszczący odstojniki i filtry biologiczne koksowe niszczące bakterie chorobotwórcze. Instalacja elektryczna, do której prąd doprowadzony jest po przejściu przez transformator wysokiego napięcia w budynku sanatorium, obejmuje oprócz oświetlenia, także cichą sygnalizację świetlną, własną centralę telefoniczną i radio doprowadzone do słuchawek w pokojach dla chorych. Sanatorium obsługują wyciągi elektryczne do potraw i bielizny i dźwig osobowy dla przewożenia cięższych chorych wraz z łóżkiem.

Budowa wykonana jest w konstrukcji żelazobetonowej o ścianach wypełnionych pustą cegłą. Fasady wykonano w terrabonie i sztucznym kamieniu. Wewnątrz budynku położono główny nacisk na takie wyposażenie, które daje największą gwarancję utrzymania czystości i higieny, a więc: jako podłogi zastosowano ksylolity lub posadzki kamionkowe i terrazzowe, ściany, gdzie tego zachodziła potrzeba, wyłożono płytkami fajansowymi lub lakierowano. Mimo to starano się utrzymać wnętrze budynku w charakterze jak najmniej przypominającym szpital, lecz raczej o miłym i pogodnym nastroju sanatorium wypoczynkowego. Cel ten osiągnięto bez stosowania jakichkolwiek luksusowych wyposażań, lecz raczej drogą odpowiedniego zestawienia barw i harmonijnych proporcji przestrzennych wewnątrz i ich zespołów.

Rozpoczętą w 1928 roku budowę prowadzono w miarę tego, jak napływały potrzebne na ten cel fundusze do kasy Rady Naczelnej, wreszcie w lipcu 1932 roku budowa była

wykończoną na tyle, że zachodnią połowę budynku wraz z głównymi schodami można było oddać do użytku chorych.

W pozostałej wschodniej części gmachu, wszystkie ważniejsze roboty budowlane wraz z instalacjami są już również wykonane. Brak tam jednak jeszcze podłóg i posadzek, malowania ścian i stolarki, wreszcie ostatecznego zmontowania umywalek itp., instalacji wodociągowej i wypustów instalacji elektrycznej światła, sygnalizacji i radia. W bardziej surowym stanie znajduje się jedynie sala rekreacyjna na parterze. Należałoby ją wykończyć jak najrychlej. Odpowiednio pokierowane życie towarzyskie w samym zakładzie jest nie tylko ważnym czynnikiem wychowawczym młodzieży, ale także i pod względem leczniczym ma duże znaczenie. Chwilowo te potrzeby kuracjuszków zaspakajają muszą z konieczności sala stołowa wraz z czytelnią.

W następnym okresie budowy, tj. do likwidacji Rady Naczelnej w 1934 roku i potem po objęciu Sanatorium przez T-wo Przyjaciół Młodzieży Akademickiej, aż do obecnej chwili, dopływ funduszy na dalsze roboty budowlane był już nader skromny. Popłacono jednak uciążliwe długi i zdołano jeszcze przeprowadzić szereg drobniejszych robót wykończeniowych, a przede wszystkim wykończono fasady budynku, splantowano i uporządkowano teren parku zakładowego oraz oparkano go definitywnie od strony ulicy dojazdowej.

Wydatki na budowę wraz z wewnętrznym wyposażeniem i umeblowaniem gmachu, lecz po potrąceniu kosztów ubocznych, takich jak np. spłaty i obsługa pożyczki Banku Gospodarstwa Krajowego wyniosły do tej pory 2.620.000 zł w zaokrągleniu. Do pełnego wykończenia budowy wraz z uzupełnieniem wyposażenia i umeblowania potrzebną jeszcze będzie kwota 180.000 zł, co daje w sumie 2.800.000 zł jako ogólny koszt całości. Zatem przy 32.000 m³ gmachu, koszt 1 m³ określi się kwotą ca 87 zł, zaś przy 190 chorych wypadnie na jedno łóżko sanatoryjne 14.777 zł. Po potrąceniu kosztów umeblowania i wyposażenia leczniczych, suma wydatków na budowę wraz z instalacjami zamknie się kwotą 2.530.000 zł, a koszt 1 m³ obudowanej przestrzeni zmniejszy się do 79 zł. Nie są to sumy wysokie, jeżeli uwzględni się specjalne warunki budowy w Zakopanem, gdzie ceny robocizny są w ogóle bardzo wysokie, a ceny podstawowych materiałów budowlanych kalkulują się często o 100% drożej niż normalnie. Ponadto budowa prowadzona była w czasie od 1928 do 1932 roku tj. w okresie najdroższej koniunktury w przemyśle budowlanym. Pomimo wielkiego spadku cen w okresach następnych, nie można było osiągnąć poważniejszych zaoszczędzeń, gdyż już w lecie 1932 roku, jak to wyżej powiedziano, budynek oddano w stanie niewiele różniącym się od dzisiejszego.

W porównaniu z budownictwem szpitalnym, koszt przypadający na jedno łóżko w sanatoriach wypada zawsze drożej. Względy bowiem lecznicze nie pozwalają na umieszczanie większej ilości chorych we wspólnych salach, co oczywiście nie tylko zwiększa wydatnie powierzchnię i kubaturę gmachu w stosunku do tej samej ilości chorych, ale także wzrastają i koszty instalacji, wyposażenia i umeblowania. Wielką też część powierzchni i kubatury zajmują w sanatoriach, niezbędne ze względów leczniczych pomieszczenia tego rodzaju, co wspólne jadalnie, sale rekreacyjne i towarzyskie, czytelnie, windy do leżakowania itp., co również podraża kosztu budowy.

Analiza cyfr wyżej podanych nasuwa jeszcze pewne spostrzeżenia, które chciałbym bliżej oświetlić na zakończenie. A więc, skoro przebudowano dotąd 2.620.000 zł, to wobec preliminowanego kosztu całości na 2.800.000 zł wynika, że budynek w 94% jest ukończony.

Gdy jednak sanatorium ma pomieścić 190 osób, a budynek w obecnym stanie wykończenia pozwala na leczenie 120 chorych, to mamy tu tylko 63% wykorzystania budowy. Tłumaczy się to tym, że jakkolwiek do wykończenia całości już niewiele pozostaje, to jednak niewykonane prace budowlane są tego rodzaju, jak np. brak podłóg, czy posadzek, że uniemożliwiają one oddanie do użytku niewykończonej wschodniej części gmachu, a tym samym nie pozwalają na pełne wykorzystanie wydanych dotąd na budowę funduszy.

Zdajemy sobie sprawę, że budowa sanatorium dla walki z gruźlicą jest tylko jednym z ogniw całości zadań pomocy młodzieży akademickiej i opieki nad jej zdrowiem. Odcinek ten jest jednak u nas wyjątkowo zagrożony, a pomoc w akcji na tym polu prowadzonej powinna być tym samym obowiązkiem społecznym.

Dotychczasowa ofiarność na te cele wykazała, że społeczeństwo i czynniki do tego powołane zdają sobie sprawę z doniosłości zadania i można z całą pewnością przewidywać, że ostatnie trudności w zdobyciu potrzebnych jeszcze funduszy zostaną pokonane i budowa Sanatorium w najbliższym czasie ukończoną.

DR STEFAN JASIŃSKI

Dyrektor Sanatorium Akademickiego
im. J. Piłsudskiego w Zakopanem

ZNACZENIE SANATORIUM AKADEMICKIEGO W WALCE Z GRUŻLICĄ WŚRÓD MŁODZIEŻY I ORGANIZOWANIE GO PRZEZ CHORĄ MŁODZIEŻ I SPOŁECZEŃSTWO

(Referat wygłoszony na zjeździe Przyrodników i Lekarzy we Lwowie w lipcu 1937 roku)

Gruźlica jest chorobą społeczną nie tylko dlatego, że daje największy odsetek śmiertelności, lecz także, że z powodu swej przewlekłości wybitnie zmniejsza zdolność do pracy poszczególnych jednostek, a osłabiając znacznie cały ustrój chorego, nawet po wyleczeniu pozostawia krajowi i społeczeństwu ludzi mniej zdolnych do intensywnej i twórczej pracy. Leczona za późno daje duży procent zupełnie niezdolnych do pracy inwalidów życiowych, obciążających społeczeństwo i państwo finansowo, ojczyźnie zaś odbiera silnych i zdolnych do broni obrońców, czyniąc ich zupełnie niezdolnymi lub mało sprawnymi do tego zaszczytnego zadania.

Statystyki podają liczbę chorych na gruźlicę czynną w Polsce na 560.000 do 785.000 w tym gruźlicy otwartej 112.000. Sądzę, że liczby te nie są ścisłe i są znacznie większe, jeżeli weźmiemy pod uwagę to, że większość ludności wiejskiej nie zwraca się do lekarza o poradę, lub się w ogóle nie leczy. Więcej miarodajną jest liczba zgonów na gruźlicę ze względu na obowiązek zgłaszania przyczyny zgonu, która wykazuje, że 20% zmarłych w Polsce umiera na gruźlicę. Ogólna liczba zgonów z powodu gruźlicy wynosi 56.000 do 78.500 rocznie.

Śmiertelność na gruźlicę w stosunku do wieku przedstawia się następująco:

Wiek	I	1—4	5—9	10—13	15—19	20—29	30—39	40—49	starsi
% umierając. na gruźlicę	4.3	12.8	9.1	6.4	8.3	16	13.4	12.1	9

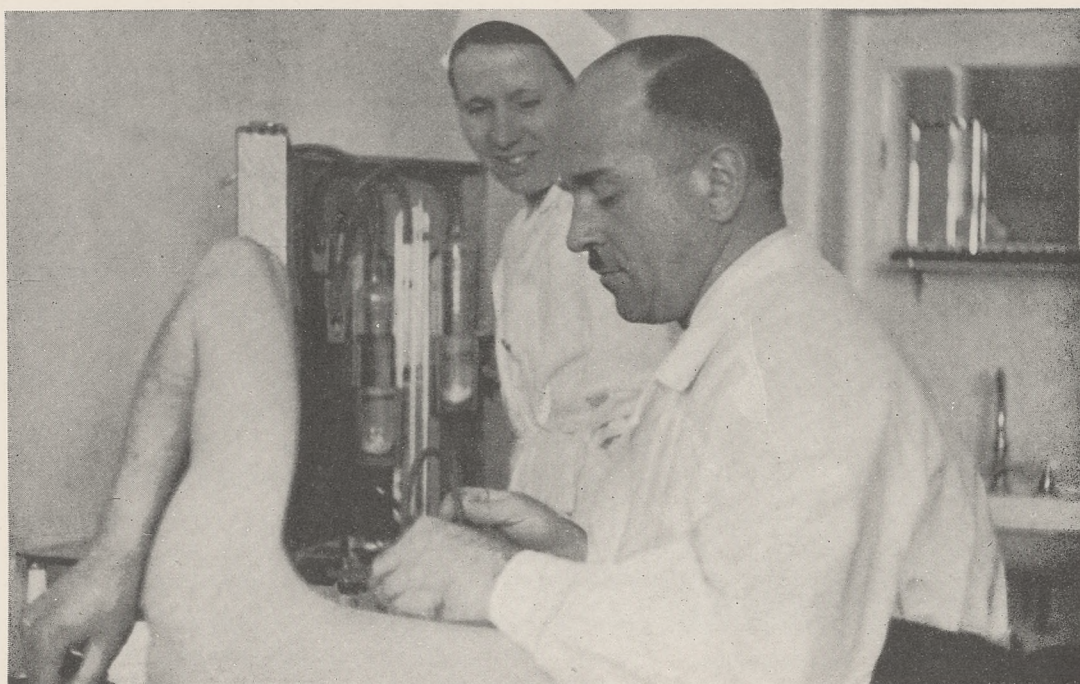


Sanatorium Akademickie w porze letniej.

Tak społeczeństwo jak i rząd powinien zastanowić fakt, że największą śmiertelność na gruźlicę mamy w wieku od 20 do 29 lat, wynosi bowiem 16%. Jest to wiek młodzieży akademickiej w chwili jej studiów, która przez stały dość bliski kontakt ze sobą powoduje dalsze zakażenie zdrowych kolegów od chorych. Teraz pozwolę sobie przedstawić parę danych, obrazujących szerzenie się gruźlicy wśród młodzieży akademickiej w większych środowiskach akademickich z dostępnej mi literatury. Badanie mieszkanek Domu Akademiczek w Warszawie w 1929 r. (dr Misiewicz) wykazało na 250 akademiczek 73 chore na gruźlicę, czyli 29,2%, w tym 20% gruźlicy czynnej, wymagającej leczenia.

Dr Hornung w sprawozdaniu „Opieki Zdrowotnej szkół wyższych“ we Lwowie z 1930 r. podaje 19% chorych na gruźlicę w „Domu Techników“, zaś 28,1% w „Domu Studentek“. Na podstawie zbadania 19.069 nowowstępujących na uczelnie lwowskie w latach 1930—1935 r. (także promieniami Roentgena) wykrywa chorych na gruźlicę, wymagających leczenia i obserwacji u mężczyzn w wieku od 17 do 25 lat od 4,27% do 8,9%, u kobiet od 6,2% do 11,9%, natomiast zmiany gruźlicze wygojone u 18,6% z czego wynika, że w grupie wiekowej 25-letnich mamy chorych na gruźlicę czynną i wygojoną razem u mężczyzn 27,5% u kobiet 28,5%. Odczyny tuberkulinowe u młodzieży szkół lwowskich w wieku od 17 do 25 lat wypadły dodatnio od 83 do 93%, czyli, że 13% młodzieży ulega w tym wieku zakażeniom pierwotnym.

Dr Karasiński w sprawozdaniu z 1936 r. z działalności opieki lekarskiej nad Młodzieżą Akademicką w Krakowie podaje, że w Krakowie na około 7.000 słuchaczy leczy



Dopełnienie odmy sztucznej.

Fot. Stefan Jasiński.

się z powodu gruźlicy czynnej 8,57%, dodaje przy tym, że spostrzeżenia w innych działach leczenia nie wykazują na szerzenie się innych chorób w podobnym nasileniu, jak gruźlica.

Dr Rozenówna podaje w sprawozdaniu Komisji Opieki Zdrowotnej w Warszawie za 1935 r., że Centralna Poradnia Akademicka, która w 1935 r. dopiero rozpoczęła swą pracę, miała w leczeniu 700 akademików chorych na gruźlicę. Akademickie Centralne Biuro Przeciwgruźlicze zarejestrowało:

1)	Studentów w okresie leczenia	342
2)	„ będących w obserwacji	393
3)	„ zagrożonych z ogólnym stanem zdrowia złym . . .	205
	<u>Razem</u>	<u>940</u>

Zasługuje na podkreślenie fakt, że w czasie wywiadów w środowisku warszawskim dr Rozenówna stwierdziła, że na 271 studentów, którzy zachorowali na gruźlicę, tylko 37 znajdowało się w dobrych warunkach bytu, jak mieszkanie i odżywianie! Badanie nowowstępujących na uczelnie warszawskie w 1933/34 r. jak podaje prof. Orłowski wykryło 21,38% ze zmianami gruźliczymi. Wśród tych wymagających leczenia było 1,5%, a gruźlicy, wymagającej stałej obserwacji lekarskiej 4,8%.

Z powyższych danych statystycznych wynika, że około 10% młodzieży akademickiej choruje na czynną gruźlicę płuc i wymaga stałej opieki poradni przeciwgruźliczej i leczenia sanatoryjnego.

Badania nad gruźlicą wykazują nam czas trwania gruźlicy czynnej u chorego na



Fot. Stefan Jasiński.

Władysław Raczkiewicz, Wojewoda
Pomorski, b. Prezes Rady Naczelnej
T. P. M. A.

4 do 8 lat, czyli akademik, u którego stwierdzono czynną gruźlicę na 1. roku studiów, przez cały czas trwania tychże winien być pod pieczołowitą opieką lekarza specjalisty w poradni przeciwgruźliczej i wymaga okresowego leczenia w sanatorium, w czasie wystąpienia czasowej utraty odporności organizmu, która może wystąpić w każdej chwili z powodu wyczerpujących studiów, tym bardziej, że w większości wypadków młodzież nasza jest w bardzo złych warunkach bytu.

Chciałbym tu podkreślić rozpaczliwie wysoką liczbę naszej młodzieży akademickiej, znajdującej się w złych warunkach bytu (mieszkania i odżywiania) z cytowanego już częściowo sprawozdania Akademickiego Centralnego Biura Przeciwgr. w Warszawie: na 271 studentów, którzy zachorowali na gruźlicę tylko 37 znajdowało się w dobrych warunkach — 234 w złych tak mieszkania jak i odżywiania. Na 222 będących pod obserwacją, co do czynnej sprawy gruźliczej — tylko 52 znajdowało się w dobrych warunkach — 170 w złych warunkach. Wywiady wśród pacjentów sanatoryjnych robione przeze mnie od 1924 r. w Sanatorium Akademickim

wykazują, że 90% naszych pacjentów jest w złych warunkach bytu podczas studiów.

W latach, gdy jeszcze nie mieliśmy statystyki zachorowań na gruźlicę wśród młodzieży akademickiej i nikt nie myślał o jej zwalczaniu w tym środowisku, młodzież akademicka polska samorzutnie podjęła tę walkę już w 1900 r., walkę tym trudniejszą, że ojczyzna nasza była rozdarta na trzy części i walka ta była trudną do skoordynowania i zrealizowania. Wtedy to, gdy Zakopane uznane zostało za miejscowość wybitnie nadającą się do leczenia gruźlicy; jako miejscowość o klimacie podalpejskim, a dominującą metodą walki z gruźlicą była metoda klimatyczno-dietyczna, garstka chorej młodzieży akademickiej tworzy w latach 1900—1 pierwsze sanatorium w Polsce o charakterze społecznym pod nazwą „Dom Zdrowia“ w Zakopanem, powstające ze skromnych składek akademickich, a kierowane przez miejscowego lekarza społecznika dr Józefa Żychonia. Jednocześnie zostaje wciągnięte do tej pracy i starsze społeczeństwo i zawiązuje się T-wo Domu Zdrowia uczącej się młodzieży polskiej „Pomoc Bratnia“ w Zakopanem. Wieści o nowym Towarzystwie walczącym z gruźlicą wśród młodzieży docierają do wszystkich ośrodków i skupień młodzieży pod zaborem i za granicą i liczba członków T-wa wzrasta w 1912 roku do 1.500 osób! Początkowo to pierwsze Sanatorium Akademickie, zwane powszechnie „Bratniak“ mieści się w 4 wynajętych domkach góralskich i wreszcie T-wo zakupuje na własność w 1911 r. willę drewnianą z terenem, na którym mieści się i obecne Sanatorium Akademickie im. J. Piłsudskiego.

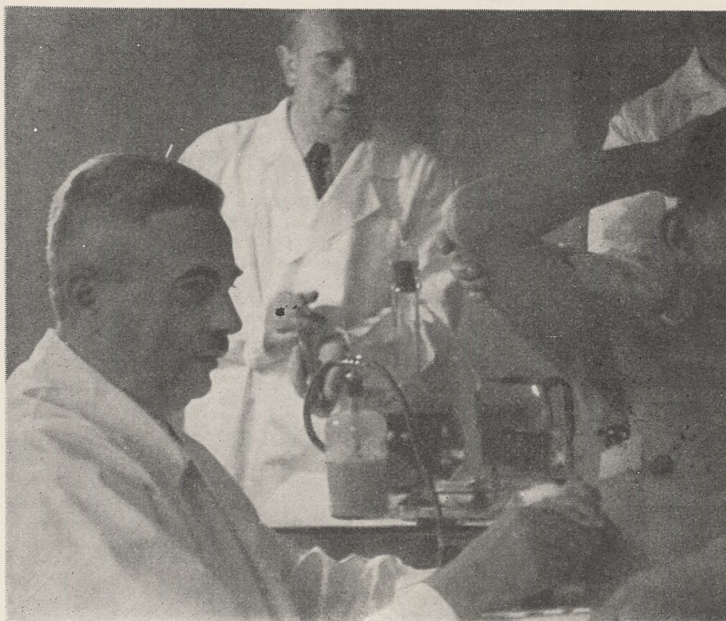
Wielu z uratowanych w dawnym drewnianym „Bratniaku“ pacjentów, którym on dał zdrowie i siły — mogło je spożytkować potem w służbie dla ojczyzny, odzyskując ją z orężem w ręku, lub w odrodzonej Polsce objąć wysokie stanowiska organiza-

cyjne. Toteż kilku pacjentów z owych czasów widzimy na stanowiskach ministrów, a nawet w służbie wojskowej w rangach generała i wiceministra Spraw Wojsk. Jest to jeszcze jeden dowód, że chorego na gruźlicę należy leczyć i można go uratować!

Sanatorium powyższe w ciągu szeregu lat swego istnienia przechodzi różne koleje, kilkakrotnie zmieniając właściciela. W czasie wielkiej wojny było zamienione na szpital legionów, a to tym bardziej, że cała lecząca się w nim młodzież wstąpiła do legionów. Zaraz po wojnie zaczyna znowu służyć chorej młodzieży, przechodząc na własność „Ogólnopolskiego Związku Bratnich Pomocy“. W 1923 r. sanatorium obejmuje w zarząd Rada Naczelna Pomocy Młodzieży Akademickiej, przejmując go w 1928 r. na własność. Sanatorium to posiada wtedy tylko 50 miejsc dla chorych, a ponieważ ma stale wzrastającą frekwencję, dochodzącą do z górą 100 osób dziennie w sezonach, chorzy muszą więc czekać na przyjęcie po 3—4 miesiące. Środki zaradcze jak lokowanie chorych w wynajętych domkach chybają celu, po pierwsze z powodu wysokich kosztów administracyjno-lekarskich, po drugie, z punktu widzenia leczenia się chorych, nad którymi w ten sposób nie można roztoczyć należytej opieki lekarskiej, a chorą młodzież utrzymać w trybie życia sanatoryjnego co zamiast poprawy zdrowia nawet go pogarszało. Wtedy Rada Naczelna Pomocy Młodzieży Akademickiej na podstawie uchwały Walnego Zgromadzenia Ogólnopolskiego Związku Bratnich Pomocy o opodatkowaniu na ten cel młodzieży akademickiej kwotą 7.— zł rocznie przystępuje w 1928 r. do budowy nowego gmachu, mogącego pomieścić 180 osób.

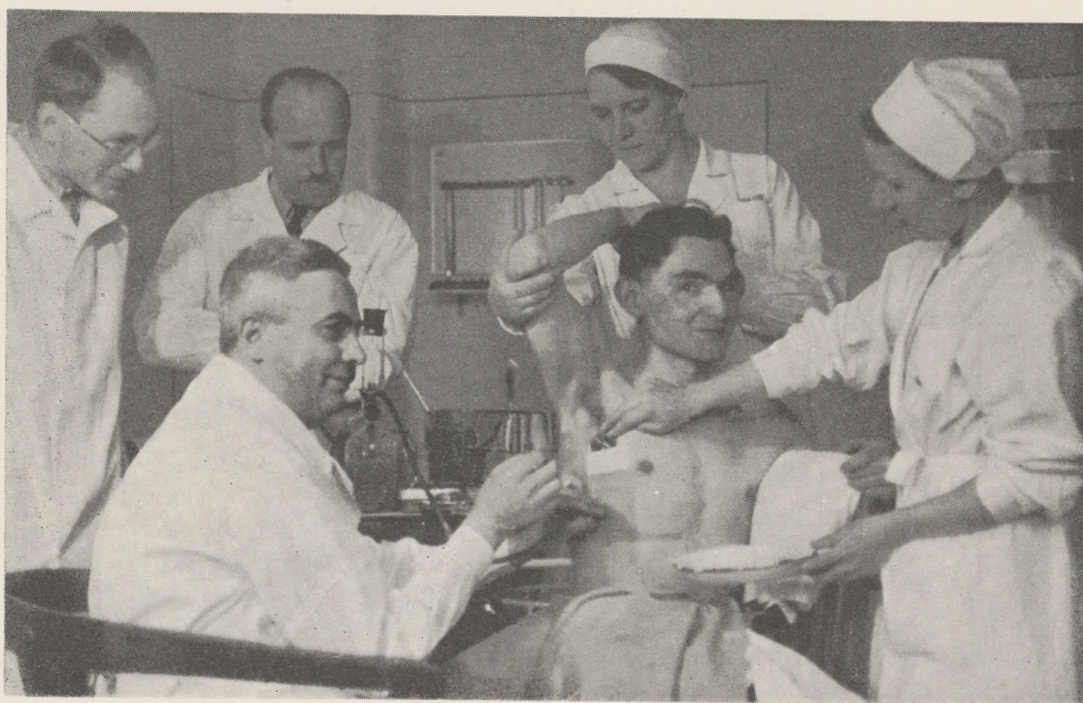
W 1932 r. następuje częściowe otwarcie tego nowoczesnego sanatorium, które, choć do dnia dzisiejszego nie jest jeszcze wykończone, posiada obecnie 120 miejsc. Młodzież Akademicka złożyła na ten cel w ciągu 6 lat około 730.000.— zł, ofiarność społeczeństwa dała 500.000.— zł, wreszcie Bank Gospodarstwa Krajowego udzielił pożyczki w kwocie zł 1,100.000. Obecnie do wykończenia gmachu i powiększenia ilości miejsc ze 120 do 180 brak jeszcze zł 200.000.—.

Budynek Sanatorium konstrukcji żelbetowej o pojemności 32.000 m³ posiada 73 pokoje dla chorych dwu- trój- i czteroosobowe. Budowany był przez prof. archit. J. Gałęzowskiego na podstawie najnowszych zdobyczy wiedzy techniczno-lekarskiej, przy współudziale komitetu technicznego budowy, w skład którego wchodziło wielu



Fot. Stefan Jasiński.

Wypuszczanie płynu wysiękowego z jamy opłucnowej.



Wypuszczanie płynu wysiękowego z jamy opłucnowej.

Fot. Stefan Jasiński.

znanych profesorów architektury i inżynierów specjalistów z zakresu szpitalnictwa, oraz lekarzy, jak b. minister zdrowia Czesław Wroczyński. Wyboru miejsca na budowę dokonano na konferencji z dnia 12. VII. 1927 r. przy współudziale prof. Antoniego Gluzińskiego, dr Kazimierza Dłuskiego i b. ministra zdrowia Czesława Wroczyńskiego.

Sanatorium Akademickie im. J. Piłsudskiego położone jest w Zakopanem w klimacie podalpejskim, na wysokości 950 m nad poziom morza, na południowych stokach Gubałówki. Położenie sanatorium daje chorym idealne warunki klimatyczno-lecznicze: od wiatrów północnych i zachodnich jest zasłonięte wzgórzem Gubałówki o wysokości 1.123 m n. p. m. pokrytym lasami szpilkowymi. Od południa ma rozległy widok na Zakopane i cały łańcuch szczytów Tatr polskich i czechosłowackich, sięgających powyżej 2.500 m n. p. m. Takie położenie zapewnia sanatorium dużą insolację promieni słonecznych. Pokoje chorych, tarasy i werandy wychodzą tylko na południowy zachód.

Gruźlica jest chorobą przewlekłą i najskuteczniej ją leczy, poza leczeniem uciskowym w odpowiednich wypadkach, odpowiedni higieniczny tryb życia pacjenta, zachowujący jak najwięcej jego sił odpornościowych do walki z chorobą — trybu tego życia uczy się chory najlepiej w sanatorium, a po wyjściu z niego wie, jak się ma nadal zachowywać i czego winien unikać, by dalej się leczyć w warunkach swej pracy i mniej sprzyjającego klimatu.

Z powyższego powodu sanatorium jest niezbędnym ogniwem w łańcuchu całokształtu walki z gruźlicą, tym bardziej, że nasza młodzież akademicka nie jest w większości swej zamożna, a jak widzimy z przytoczonych na wstępie cyfr środowiska warszawskiego i danych sanat. zebranych w ciągu 12 lat prawie 90% chorych i zagrożonych jest w złych

warunkach odżywiania i mieszkania. Mieliśmy w leczeniu szereg akademików, którzy podawali, że jadaliby tylko trzy razy w tygodniu. Jeden słuchacz drugiego roku medycyny, cierpiący na otwartą gruźlicę, mieszkał w zimie, a właściwie tylko nocował, w nieopalanym sklepie z jarzynami, za to, że właściwie pilnował tego sklepu. Dla takich chorych akademików kilkutygodniowy, a czasem paromiesięczny pobyt w ciągu roku w sanatorium w warunkach leczenia higieniczno-dietetycznego jest konieczny i bardzo często, wyrównując chwilowe załamanie ustroju, pozwala mu nie tylko zwalczyć gruźlicę lecz również i ukończyć studia. Wymieniony słuchacz medycyny jest obecnie absolwentem i ma wygojone zmiany w płucach.

Z powyższych też przyczyn specjalną uwagę zwracamy na żywienie chorych, a wartość posiłku dziennego w sanatorium odpowiada 5.360 kaloriom, czyli diecie tuczającej podług obliczeń Rubnera i Nordena. Znaczenie sanatorium w walce z gruźlicą podkreśla również dobitnie fakt odprątkowywania chorych, utrzymujący się podług naszych badań stale w około 25 % pierwotnie prątkujących i tak w 1934 r. cyfra ta wynosiła 24 %; w 1935 r. 28,77 %; w 1936 r. 24 %. Bezwarunkowo, że cyfrę tę w dużej mierze zawdzięczamy szeroko stosowanej metodzie leczenia uciskowego, którą leczylimy w 1933 r. 81 osób na ogólną liczbę 361 chorych, w 1934 r. 119 osób na ogólną liczbę 389 chorych, w 1935 r. 148 osób na ogólną liczbę 490 chorych i w 1936 r. 159 osób na ogólną liczbę 527 chorych. Liczba odprątkowanych w b. r. powinna jeszcze wzrosnąć z powodu wykonywania obecnie w sanatorium przepalania zrostów przy odmie sztucznej.

Leczyliśmy w Sanatorium w 1936 r. 527 osób w tym 488 akademików, reszta to młodzież szkół średnich i nie mający prawa do świadczeń akademickich.

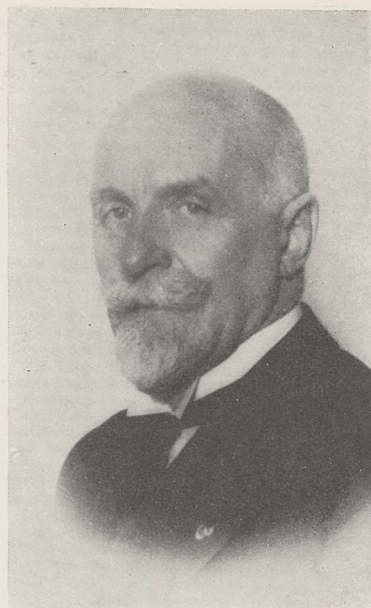
2-krotnie w ciągu roku odbyło leczenie	85 akademików
3-krotnie „ „ „ „ „	10 „
4-krotnie „ „ „ „ „	2 „

Przeciętny czas pobytu w Sanatorium wynosił 9 tygodni.

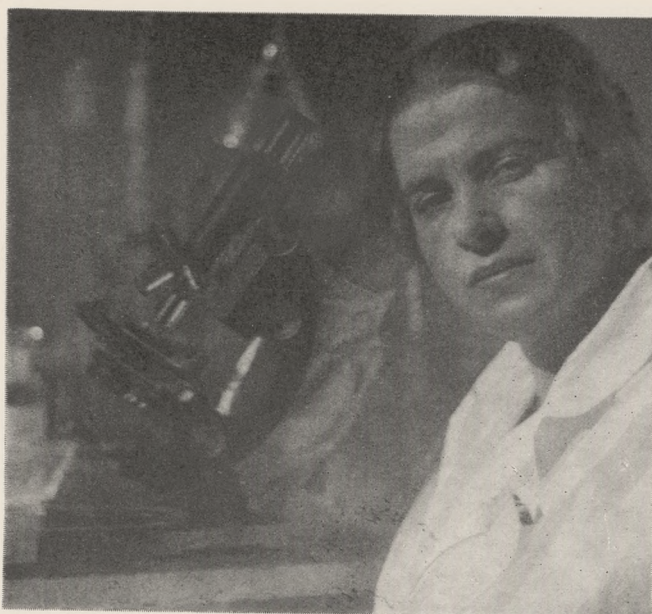
Koszt dnia chorego wynosił 5,93 zł. Przy zwiększonej liczbie łóżek do 180 liczymy, że koszt dzienny da się obniżyć do zł 5.— dziennie. W sezonie zimowym i letnim niestety czeka stale na przyjęcie od 40 do 60 chorych akademików. Co do stanu zdrowia, to niestety przeważa gruźlica rozwinięta i rozpadowa, gdyż leczono:

- 75 osób na gruźlicę początkową i gruczołową
- 393 osób na gruźlicę rozwiniętą
- 61 osób na gruźlicę rozpadową
- 31% miało gruźlicę otwartą.

Należy podkreślić konieczność skierowywania na leczenie sanatoryjne chorych we wcześniejszych stadiach choroby, co pozwoli: 1) na szybszą, pewniejszą i trwalszą poprawę; 2) skróci czas pobytu w sanatorium; 3) pozwoli większej ilości potrzebujących



Władysław Sołtan
b. Prezes Rady Naczelnej T. P. M. A.



Fot. Stefan Jasiński.

W laboratorium. (Dr Natalia Siniczenkova przy mikroskopie).

mi jechać na wieś (bo to taniej) i przebywać na słońcu. Po 2 miesiącach takiego leczenia chory został dopiero wysłany do Sanatorium, lecz już w stanie beznadziejnej rozpadowej gruźlicy. Także jest rzeczą wysoce ważną uświadomienie chorego i ścisła współpraca poradni akademickiej przeciwgruźliczej z sanatorium i Opieką Zdrowotną, lub władzami uniwersyteckimi, jaka jest we Lwowie. Stworzenie we wszystkich ośrodkach półsanatoriów i coroczne lub półroczne przebadanie nie tylko nowowstępujących na uczelnie i mieszkańców domów akademickich, lecz wszystkich studiujących (z uwzględnieniem rentgenoskopii). Prawda, że sprawa ta jest bardzo trudna i wymaga dodatkowych kosztów, lecz czynniki miarodajne powinny się nad tym zastanowić.

Na zakończenie pozwolę sobie przytoczyć nadzwyczaj trafne uwagi w tej sprawie Kattentida, które podał w swym sprawozdaniu ze zjazdu w Leysin Hornung: Akcja zdrowotna wśród młodzieży jest szczególnie ważną, ponieważ dotyczy najcenniejszej warstwy społeczeństwa. Niestety prawie wszędzie państwa, mając inne zadania przed sobą, nie poświęcają tej sprawie należytej uwagi. Cały ciężar tej akcji spoczywa przeto na samej młodzieży i na władzach uczelni. Należyta ocena ważności akcji zdrowotnej wśród młodzieży u tych czynników jest koniecznością państwową. Akcja zdrowotna obejmuje zakres działania, poczynwszy od podniesienia i utrzymania przeciętnego stanu zdrowotnego studenta na odpowiednim poziomie, a skończywszy na wyleczeniu chorego studenta. Osobnik chory na gruźlicę jest nie tylko jednostką, lecz co więcej źródłem niebezpieczeństwa dla bliźniego. Człowiek nie dbający o swe zdrowie jest typem nie społecznym, który się stanie ciężarem dla państwa i społeczeństwa.

Z powyższych okoliczności musi sobie w pierwszym rzędzie zdawać sprawę student, ponieważ państwo łoży na jego studia i spodziewa się po nim pewnych korzyści. By wywiązać się należycie z obowiązku wobec państwa i narodu powinien każdy

skorzystać z miejsca w Sanatorium, a kosztów nie podniesie. Częściowo sprawa ta już uległa poprawie od czasu zorganizowania akademickich poradni przeciwgruźliczych, uregulowaniu opłat za chorych przez T-wo Przyjaciół Młodzieży Akademickiej i zorganizowanie Opiek Zdrowotnych we wszystkich środowiskach. Przed zorganizowaniem poradni i Opiek Zdrowotnych stale spotykałem się z tym, że gdy pytałem akademika z beznadziejną sprawą gruźliczą, dlaczego wcześniej nie przyjechał leczyć się do sanatorium otrzymywałem odpowiedź: lekarz mi powiedział, że to niepotrzebne, mogę się tylko tam zarazić, na przerwę wakacyjną więc kazał

sam bronić się przed chorobą, a przyjąć od społeczeństwa dla odzyskania zdrowia tylko to czego mu brak: wtedy jest to tylko prawem dla chorego, a obowiązkiem dla państwa.

Uważam, że myśli te doskonale sformułowane ujmują w streszczeniu całokształt interesującego nas zagadnienia walki z gruźlicą wśród młodzieży akademickiej.

DR STEFAN RUDZKI

Warszawa

ROLA SANATORIUM W WALCE Z GRUŹLICĄ WŚRÓD MŁODZIEŻY AKADEMICKIEJ

Zagadnienie gruźlicy wśród młodzieży uczącej się coraz szerzej i żywiej omawiane jest w prasie lekarskiej zagranicznej, a w ostatnim dziesiątku lat również i w polskiej.

Masowe badania młodzieży w kierunku gruźlicy, przeprowadzane w różnych krajach, jak Stany Zjednoczone Północnej Ameryki, Niemcy, Dania, Norwegia i inne, a od szeregu lat i u nas w Polsce wykazują, że zagrzuźliczenie w tej grupie ludności jest większe, niż się uprzednio przypuszczało, a co więcej, że w wielu krajach, zwłaszcza wśród starszej młodzieży akademickiej, nie tylko nie zmniejsza się, lecz przeciwnie narasta.

Przyczyny tego ogólnego zjawiska mogą być różne: być może, że dokładniejsze badania, zwłaszcza poparte prześwietlaniem płuc, a w razie podejrzeń co do czynnej gruźlicy, również rentgenografią — przyczyniają się do częstszego a w każdym razie wcześniejszego wykrywania zmian płucnych, możliwe jednak i to, że młodzież powojenna, wskutek niedożywiania rodziców w czasie Wielkiej Wojny Światowej, wskutek również wstrząsów moralnych, połączonych z przeżyciami wojennymi, a dalej dzięki wadliwemu odżywianiu dziatwy, przychodzącej w czasie od 1914 r. na świat, oraz strasznym warunkom mieszkaniowym ludności ewakuowanej, wyrzucanej ze swych domostw i gnieźdzącej się w polu lub lepiankach, rowach itd. — jak to miało miejsce zwłaszcza na ziemiach polskich, — że z takiej dziatwy nie mogła wyrosnąć zdrowa młodzież, a ci nawet, co przeszli lata wojny, stali się później mało odporni na wszelkie choroby zakaźne, a przede wszystkim na tak wrażliwą na wszelkie warunki zewnętrzne chorobę, jaką jest gruźlica.

Liczne już u nas badania grupowe młodzieży akademickiej, opisane przez prof. Janiszewskiego, prof. W. Orłowskiego, prof. Latkowskiego, dyrektora dra St. Jasińskiego, drów Hornunga, Karasińskiego, Zdunkiewicza, Misiewiczównę, Rozenównę, Hrycewiczównę, Spychałę i innych, obejmujące środowiska akademickie w Warszawie, Lwowie, Krakowie, Poznaniu — zgodnie wykazują, że zagrzuźliczenie wśród młodzieży akademickiej w całej Polsce jest bardzo duże i co gorsza nie zmniejsza się, a bodajże powiększa.

Badania młodzieży są coraz liczniejsze i coraz bardziej planowe, nie obejmują jednak ogółu akademickiego, co ważniejsze zaś, że uchylają się od tych badań przede wszystkim ci, którzy mają podstawy przypuszczać, że wykryje się u nich zmiany płucne i obawiają się — słusznie czy niesłusznie — przykrych konsekwencji dla siebie. — W ten sposób

liczby zagrążliczenia otrzymywane przez różnych autorów, są raczej za niskie, a w żadnym razie nie za wysokie.

Niemniej zatrważającym jest, że liczby gruźlicy wykrywanej u nowowstępujących są znacznie niższe, niż u tych, którzy już studiuja pewien czas w wyższych uczelniach.

Jako przykład można przytoczyć, że według prof. Orłowskiego, badanie nowowstępujących na uczelnie warszawskie w 1933/34 r. wykryło 21,38% ze zmianami gruźliczymi, lecz wśród nich wymagało leczenia tylko 1,5% a stałej obserwacji lekarskiej 4,8%, gdy np. dr Misiewiczówna wśród mieszkanek Domu Akademickich w Warszawie w roku 1929 wykazała 29,2% chorych na gruźlicę, w tym 20% gruźlicy czynnej, wymagającej leczenia.

Sumując wszystkie dotychczasowe badania, dyrektor dr Jasiński stwierdza, że około 10% młodzieży akademickiej w Polsce choruje na czynną gruźlicę płuc i wymaga stałej opieki poradni przeciwgruźliczej i leczenia sanatoryjnego.

I cóż znaczy wobec takiego zagrążliczenia naszej młodzieży jedyne w kraju sanatorium dla niej przeznaczone „Sanatorium Akademickie im. Józefa Piłsudskiego w Zakopanem“ obliczone na 180 łóżek, a mające z braku środków zaledwie 120 łóżek.

Oczywiście nie ma mowy o tym, żeby wszyscy akademicy, wymagający leczenia na gruźlicę, mogli pomieścić się w Bratniaku. Przez sanatorium to rocznie przechodzi z górą 500 chorych przy przeciętnym czasie pobytu 9 tygodni.

A jednak pomimo niedostatecznej liczby łóżek, co zależy już nie od młodzieży akademickiej, lecz od społeczeństwa i państwa — Sanatorium to odgrywa ogromną rolę w walce z gruźlicą w Polsce.

Rola Sanatorium jest nie tylko osobnicza, lecz i ogólnospołeczna.

Przeciętnie biorąc, w sanatoriach osiąga znaczną poprawę około 70% chorych. Co rok tedy co najmniej 300 akademików naszych powraca — jeżeli nie do zupełnego zdrowia, to do możliwości kontynuowania swych studiów, a więc jest to powrót do życia mniej więcej normalnego.

A załamanie zdrowia wskutek gruźlicy to nie tylko rzut fizyczny choroby, lecz i załamanie się duchowe, utrata wiary w swe siły, w swą przyszłość. Razem z poprawą tedy fizyczną odzyskuje chory wiarę w siebie, widzi i przekonywa się naocznie, że nie jest stracony ani dla siebie i swych najbliższych, ani dla społeczeństwa również.

Bardzo ciężkie warunki bytu naszej młodzieży (a dyrektor dr Jasiński na mocy wywiadów wśród pacjentów Sanatorium Akademickiego stwierdza, że 90% pacjentów z tej sfery jest w złych warunkach bytu podczas studiów) — fatalne często warunki mieszkaniowe, niedojadanie, niedosypianie, konieczność pracy zarobkowej przy jednoczesnym wysiłku psychicznym dzięki wielkim wymaganiom nowoczesnych zakładów naukowych — wszystko to wytwarza łatwe zapadanie na gruźlicę, lecz również i prędsze uzyskiwanie poprawy z chwilą, gdy młodzieniec taki znajdzie się w zgoła odmiennych a tak korzystnych dla siebie warunkach sanatoryjnych: higieniczne mieszkanie, wzmożone i racjonalne odżywianie, leżakowanie w zdrowym, górskim powietrzu, wreszcie cały régime sanatoryjny, wypoczynek po szarpiącej pracy codziennej, — wszystko to przyczynia się do uzyskania znacznej poprawy nawet po tych przeciętnych 9 tygodniach, które może akademik spędzić w Sanatorium, by ustąpić miejsca innemu koledze.

Niemalą rolę odgrywa poczucie, że młodzież akademicka jest u siebie, jest w zakładzie przez siebie stworzonym, dzięki własnym swym wysiłkom, ze składek

całej młodzieży akademickiej polskiej, której starsze społeczeństwo przyszło z należąą pomocą od siebie.

Historia Sanatorium Akademickiego to jedna z piękniejszych kart w dziejach samopomocy społeczeństwa polskiego w ciągu blisko 40 lat ostatnich, a więc w połowie jeszcze przed odzyskaniem niepodległości.

Twórcy i współtwórcy „Bratniaka“ a wielu z nich, i wielu — co ważniejsze z dawnych pacjentów, którzy dzięki „Bratniakowi“ odzyskali zdrowie i zdolności do pracy, zapisali się pięknie w historii Polski i w sercach młodzieży polskiej.

Ta współpraca teraźniejszej młodzieży w zbożnym dziele swych poprzedników, to iście bratnie ujmowanie sprawy — ma niezmiernie doniosłe znaczenie moralne.

Ale niemniejszą rolę odgrywa Sanatorium w kierunku pedagogicznym.

Będąc dawniej długie lata lekarzem sanatoryjnym, przekonałem się, jak szybko pacjenci sanatoryjni zapoznawali się z przepisami zakładowymi, z higieną codzienną życia chorego na gruźlicę. — I co niemniej ważne — po wyjściu z sanatorium stawali się oni gorliwymi propagatorami tej higieny już poza murami sanatorium.

Obecnie od 8 lat jestem lekarzem konsultantem Komisji Opieki Zdrowotnej Społecznego Komitetu T-wa Przyjaciół Młodzieży Akademickiej w zakresie chorób płuc.

Setki młodzieży ze wszystkich wyższych uczelni Stolicy miałem możność nie tylko badać, lecz i rozpytywać o ich warunki bytu i leczenia jak niemniej udzielać im rad lekarskich i ogólnohigienicznych, tak ważnych w gruźlicy.

I tu mogę zwykle poznać już po pierwszych kilku zdaniach — bywalców sanatoryjnych: praktyczne zapoznanie się w Sanatorium, choćby w ciągu kilku tygodni ze sposobem bycia w gruźlicy pozostaje na długie lata.

Wreszcie i pod względem epidemiologicznym sanatorium odgrywa ważną rolę; znaczna część chorych prątkujących odosobniona zostaje od środowiska akademickiego, znika poważne źródło zakażenia zewnątrz-pochodnego wśród młodzieży, będącej w czasie swych studiów w ciągłym kontakcie ze sobą; w sanatorium zaś chory naucza się obchodzić ze swą plwociną, unieszkodliwiać ją i nie dopuszczać do szerzenia zarazy przez rozpyloną plwocinę. Tak szeroko stosowane teraz leczenie uciskowe gruźlicy płucnej w postaci przede wszystkim odmy sztucznej, w większości przypadków doprowadza do znikania prątków gruźliczych w plwocinie a więc zmniejsza niebezpieczeństwo szerzenia choroby wśród otoczenia. Chorzy nieprątkujący, a z założoną odmą, którą tylko dopełniają potem co pewien czas, wracają do swej pracy, nie zagrażając już swemu otoczeniu. Jest to ważna zdobycz nie tylko dla samego chorego, mogącego kontynuować swe studia, lecz i dla środowiska, w którym on przebywa.

Rola tedy sanatorium lecznicza, moralna, wychowawcza epidemiologiczna i ogólnospołeczna jest tak wielka, że życzyć tylko można, aby chorzy na gruźlicę akademicy mogli jak najprędzej po ustaleniu rozpoznania znaleźć się w odpowiednio urządzonych sanatoriach, by przebyć tam ścisłą kurację według wszelkich wymogów nowoczesnej nauki i opuścić mury sanatorium zdrowi na ciele i na duchu, powracający do społeczeństwa nie jako inwalidzi, lecz jako równouprawnieni obywatele, którzy zmore choroby pozostawiają poza sobą, a przed sobą mają długie lata jasnej przyszłości i owocnej pracy społecznej.

HENRYK LUBICZ

abs. med. U. J.

WALKA Z GRUŻLICĄ NA TERENIE AKADEMICKIM

Każda jednostka w społeczeństwie wymaga celowej, powszechnej i zorganizowanej opieki, w zrozumieniu, że szczytem idei państwowej i narodowej jest należyta opieka każdego obywatela przed zachorowaniem, a w razie zachorowania pomoc, aż do chwili powrotu do zdrowia i do pracy. Tak akcja profilaktyczna, jak i opieka w czasie choroby idą równolegle i nie można wyobrazić sobie organizmu państwowego, w którym jeden z tych czynników byłby pominięty.

Niemożliwym jest, by członek społeczeństwa w okresie, kiedy jego zdolność do pracy na skutek choroby maleje, został pozostawiony samemu sobie, by wartość życia ludzkiego nie była szanowana w społeczeństwie. O tym winni pamiętać przede wszystkim kierownicy życia społecznego i państwowego, bo największym bogactwem Państwa jest zdrowy obywatel.

Jednostka jest obowiązana do oddania swego życia i pracy społeczności, w której przebywa, nawzajem społeczność ta obowiązana jest zapewnić jednostce opiekę wszystkich jej wartości, a przede wszystkim życia i zdrowia.

Bezsprzecznie chorobą przynoszącą ludzkości największe straty, pozbawiającą ją przedwcześnie najbardziej nieraz wybitnych jednostek, a równocześnie chorobą dziesiątkującą całe warstwy społeczne i wywołującą nieobliczalne wprost straty — jest gruźlica.

Jest ona chorobą ciężką, ale nie jest nieuleczalną, szerzy się gwałtownie, ale możliwe jest uchronienie się przed jej zakażeniem. Na tych przesłankach oparto akcję przeciwgruźliczą.

Akcja ta mająca na celu walkę z jedną z największych klęsk społecznych nie może oprzeć się na wysiłkach jednostek. Całe społeczeństwo musi znaleźć się na froncie walki, tym bardziej, że nie ma dotychczas żadnego bezwzględnie skutecznego, jedyne środki leczenia, a liczne dostępne nam środki wymagają znacznego wysiłku pracy i wielkich ofiar finansowych.

Walka ta może dać rezultaty, jeżeli będzie prowadzona jednocześnie przez państwo i społeczeństwo.

Państwo szerzy zasady higieny i profilaktyki przeciwgruźliczej, równocześnie stara się ustawodawstwem sanitarnym poprawić warunki pracy i życia ludności przede wszystkim tej, która żyje w wielkich skupiskach miejskich i jest narażona ciągle na zakażenie. W akcji swej dążyć ma państwo do podniesienia zdrowotności kraju, a przez to zmniejszyć ilość zachorowań na gruźlicę.

Spółeczeństwo w zrozumieniu, że gruźlicę szerzy dookoła chory przez zakażenie otoczenia prątkami Kocha, że zapobieganie rozpowszechnianiu gruźlicy wymaga od społeczeństwa mniej ofiar materialnych niż leczenie, musi dążyć do wykrycia jednostek chorych, uchronienia otoczenia przed zakażaniem przez tychże i umożliwić jak naszerzej leczenie jednostkom chorym.

Tak szeroko pomyślana akcja, obejmująca zarówno czynniki rządzące jak i szerokie warstwy obywateli państwa, mogłaby dać rezultaty dodatnie i pozwoliłaby spokojniej patrzeć nam w przyszłość, bo w tym momencie kiedy tego skoordynowanego wysiłku brak w naszym państwie, przyszłość nie przedstawia się bynajmniej różowo.

Milion chorych na gruźlicę w Polsce, sto tysięcy zgonów rocznie, dziewięć tysięcy łóżek szpitalnych przy zapotrzebowaniu około stu tysięcy to niewesołe dane z oficjalnych statystyk.

Jeżeli rozpatrzymy śmiertelność na gruźlicę w stosunku do wieku chorych, to zauważymy, że największy procent, bo około 20% wypada między 20 a 30 rokiem życia. W tym wieku żniwo śmierci jest największe — kiedy młody człowiek po ukończeniu szkoły średniej wstępuje na wyższe uczelnie, kiedy na nich studiuje, wreszcie — kiedy kończy je i staje z dyplomem w ręku u progu życia, potrzebnego społeczeństwu.

Obowiązkowe badania lekarskie studentów przyjmowanych na wyższe uczelnie wykazały, że około 20% młodzieży przychodzi na studia uniwersyteckie ze zmianami gruźliczymi. Badania mieszkańców domów akademickich wykazują, że na wyższych latach na 40 tys. młodzieży akad. około 4 tys. ma zmiany wymagające stałej opieki lekarskiej, a około 2 tys. wymaga leczenia klinicznego, bądź sanatoryjnego.

Senaty Wyższych Uczelni w Polsce stojąc na stanowisku, że nowowstępujący studenci chorzy na gruźlicę muszą od pierwszej chwili swego pobytu na uczelni znaleźć opiekę lekarską, z drugiej strony uważając, że studenci prątkujący, jako niebezpieczni dla otoczenia, nie mogą w szczupłych i nieraz dusznych audytoriach stawać się źródłem zakażenia dla kolegów, wprowadziły przymusowe badania nowowstępujących na wyższe uczelnie.

Jest to pierwszy etap walki z gruźlicą, który bynajmniej nie rozwiązuje tego ciężkiego problemu. Dalszymi etapami byłoby coroczne badanie stanu zdrowia wszystkich studentów wyższych lat, by śledzić postępy choroby, bądź wreszcie wykrywać świeże zakażenia.

Częściowo rozwiązuje tę sprawę przymusowe badanie mieszkańców domów akademickich. W ten sposób choć pewien procent młodzieży ma zapewnioną stałą kontrolę zdrowia. Naturalnie optimum byłoby osiągnięte, gdyby można było zbadać co roku każdego słuchacza, nie tylko fizycznie, ale i rentgenologicznie, oraz wykonać próby skórne tuberkulinowe.

Tak prowadzenie dokładnych kartotek wyników badań corocznych, jak i organizowanie, i przestrzeganie badań, jak wreszcie kontrola nad leczeniem winny należeć do Akademickiej Poradni Przeciwgruźliczej, wyposażonej w nowoczesne urządzenia kliniczne i laboratoryjne, a przede wszystkim posiadającej fachowy personel lekarski i opartej o Klinikę Internistyczną danego ośrodka akademickiego. Poradnie takie winny wreszcie mieć stały kontakt z akademickimi organizacjami samopomocowymi, aby organizować pomoc dla studentów chorych, niezdolnych, nie mogących własnymi środkami zapewnić sobie dalszego leczenia.

Poradnia Przeciwgruźlicza przeprowadza klasyfikację studentów, dzieli ich na pewne grupy. A więc przede wszystkim na zagrożonych i chorych.

Dla pierwszej grupy najważniejszą będzie akcja zapobiegawcza, polegająca na uświadamianiu o gruźlicy i możliwościach zakażenia, oraz stworzenie higienicznych warunków pracy naukowej, a więc zapewnienie suchego i ciepłego mieszkania, dostatecznego odżywiania i niezbędnego ubrania.

Druga grupa słuchaczy musi znajdować się pod ciągłą opieką poradni, przy czym sposób postępowania będzie inny w razie wygaśnięcia lub uczynnienia procesu gruźliczego.

Chorym ze zmianami wygaśniętymi stwarza się jak najlepsze warunki mieszkaniowe i odżywiania, poza tym stała i częsta kontrola pozwala na zaobserwowanie uczynniania

się procesu, uchwycenia go w samym jego początku, a przez to umożliwienie energicznego leczenia.

Chorzy z czynnymi zmianami dadzą się podzielić na mających gruźlicę zamkniętą — tj. na osobników nie wykrztuszających prątków gruźliczych, oraz chorych — z gruźlicą otwartą, wykrztuszających prątki — szczególnie niebezpiecznych dla otoczenia.

Tak pierwsza, jak i druga grupa słuchaczy nie powinna przynajmniej chwilowo kontynuować swych studiów a zająć się leczeniem, przy czym pierwsi, ze zmianami nie postępującymi, częstokroć mogą pozostać w swych miastach uniwersyteckich i tam mieszkając w pół-sanatoriach mogą kurację przeprowadzać w poradniach, — dla drugiej natomiast grupy wskazane jest leczenie sanatoryjne, bądź szpitalne na oddziałach gruźliczych.

Na naszych wyższych uczelniach opieka zdrowotna jest już zorganizowana.

W r. 1924 z inicjatywy prof. H. Halbana powstaje we Lwowie „Opieka Zdrowotna“, która wkrótce stwarza Poradnię Przeciwgruźliczą związaną z Oddz. Kliniki Wewnętrznej. Poradnia ta pod kierunkiem dra Hornunga wkrótce obejmuje całe lwowskie środowisko akademickie i nawiązuje kontakt z Sanatorium Akademickim w Zakopanem. Powstaje Akad. Poradnia Przeciwgruźlicza przy II Klinice Wewnętrznej prof. J. Łatkowskiego w Krakowie, potem organizują kolejno poradnie — Wilno, Poznań, Warszawa, a wreszcie Lublin.

W r. 1930 „Opieka Zdrowotna“ we Lwowie wprowadza przymusowe badania nowo-wstępujących. Za Lwowem idą Kraków i Warszawa. Kraków wprowadza coroczne badania mieszkańców Domów Akad. „Koło Medyków“ S.S.S.M.J.P. w Warszawie i „Opieka Zdrowotna“ we Lwowie stwarzają pół-sanatoria dla ozdowieńców, gdzie gromadzą powracających z sanatorium zakopiańskiego i klinik, odgradzając ich od zdrowych, zapewniając opiekę lekarską, oraz lepsze warunki życiowe.

W Zakopanem powstaje już w 1901 r. Sanatorium Akademickie, które od 1932 r. mieści się w nowym 4-piętrowym budynku, zawierającym 100 miejsc wykończonych i około 80 niewykończonych.

Liczba tych miejsc jest niewspółmierna z ilością akademików potrzebujących leczenia. Zaledwie 20 do 25% może korzystać z dobrodziejstwa Sanatorium, reszcie tj. 75%, grozi niebezpieczeństwo. Pozbawiona możliwości leczenia część młodzieży akad. oczekuje świadomie, lub co gorsza nieświadomie powolnej zguby.

Dlatego ogół Polskiej Młodzieży Akademickiej w zrozumieniu stanu zdrowia kolegów chorych, zdając sobie sprawę z odpowiedzialności, która ciąży na młodzieży, postanowił energicznie zabrać się do walki z gruźlicą na terenie akademickim. Wynikiem tej akcji są rezolucje uchwalone przez Walne Zebrania niemal wszystkich organizacji samopomocowych wyższych uczelni w Polsce. Rezolucja ta przedłożona Panu Ministrowi W. R. i O. P. jest nast. brzmienia:

REZOLUCJA

Gruźlica jest dziś najgroźniejszą chorobą społeczną.

Wśród narodów europejskich — w Polsce czyni ona największe spustoszenie. Obecnie taki stan rzeczy ze względu na obronność kraju, jest niedopuszczalny!

Młodzież akademicka, znajdując się w ciężkich warunkach bytowania, jest zmuszona do największego wysiłku umysłowego i fizycznego, w wieku najbardziej podatnym do zachorowań.

Olbrzymi procent chorych akademików i niedocenywanie zagadnienia gruźlicy na terenie akademickim, budzi głęboki niepokój w naszych szeregach i zmusza nas do wysunięcia kategorycznych żądań, aby Pan Minister W. R. i O. P. wysunął walkę z gruźlicą na terenie akademickim, jako zagadnienie wagi pierwszej!

W szczególności domagamy się wzmożenia działalności Opiek Zdrowotnych a mianowicie:

- 1) corocznego, systematycznego, przymusowego, badania wszystkich zapisanych i urlopowanych studentów na Wyższych Uczelniach.
- 2) Rozbudowania i wyposażenia odpowiedniego przychodni przeciwgruźliczych.
- 3) Jak najszybszego rozbudowania, wykończenia i wyposażenia Sanatorium Akademickiego w Zakopanem tak, by można zapewnić należyte leczenie każdemu choremu studentowi. (Niewykończone skrzydło Sanatorium niszczy się od 5 lat).
- 4) Budowy domów przewencyjnych w środowiskach akademickich.

Rezolucji tej nie trzeba objaśniać. Jest to potężne wołanie młodzieży polskiej o prawo do życia, jest to już niemal krzyk rozpacz. Jutro już może być za późno, jutro już nie pomogą sanatoria, ni poradnie, jutro — może podnieść liczbę zgonów, może pozbawić sił do pracy tych, którzy tak ofiarnie, z zapalem do tej pracy chcą stanąć.

A przecież pomoc, którą da dziś państwo czy społeczeństwo, opłaci się.

Setkom studentów uratowane życie — uchroni Państwo i Naród przed niepowetowanymi stratami a uratowani dadzą obfite odsetki w postaci plonów swej pracy.

Oni na równi ze zdrowymi gotowi będą służyć Ojczyźnie swymi uzdrowionymi płucami, tak w czasie pokoju, jak i wojny.

A jeżeli piersi chorych rozpierają te same dążenia co zdrowych, to naszym prawem i obowiązkiem jest domaganie się pełnej troski i opieki nad zdrowiem w naszych szeregach, szeregach przyszłych kierowników i oficerów. Obowiązkiem państwa i społeczeństwa jest danie tej opieki w zupełności, byśmy w przyszłości bez wyjątku mogli całą energię swych sił umysłowych i fizycznych złożyć w służbie Państwa i Narodu Polskiego.

JULIAN LEWAŃSKI

O RACJONALNY STOSUNEK SPOŁECZEŃSTWA

Byłoby rzeczą co najmniej nierozważną próbować określić stosunek starszego społeczeństwa do akademików-gruźlików; dlatego artykuł ten ma mieć charakter normatywny raczej, ma wysuwać pewne argumenty a za argumentami żądania, a nie posiada aspiracji do wszechstronnego oświecenia problemu, bo owa druga strona żadnego oblicza dotąd właściwie nie odkryła, żadnej pozycji wobec nas, chorych nie zajęła.

W życiu społecznym jest wiele szkodliwych nieporozumień, często niedomówień, które nie są niczym innym jak (psychologicznie zresztą zupełnie uzasadnionym) usuwaniem w podświadomość spraw bolesnych, przykrych; takich które by zmuszały do pracy, wysiłku, okazania altruizmu. Do takich starannie pomijanych zagadnień należy zagadnienie gruźlicy na terenie akademickim, gdzie jest ona chorobą w pewnym znaczeniu

zawodową. Społeczeństwo nie zauważa tego zjawiska, które urosło do miary problemu, nie chce o nim słyszeć, nie chce określić swego stanowiska. Ta nieinteresowność jest tak zupełna, że budzi nawet niepokój, czy źródła jej leżą w samej ignorancji, czy też może mają i inne podłoża.

Bezpodstawne byłoby żądanie, aby ludzi zdrowych zmuszać do interesowania się chorymi i chorobą, lekkomyślnym byłoby leczenie gruźlicy opierać na wierze w zwielokrotnienie społeczne biblijnego Samarytanina. Czasy współczesne są zbyt zmateralizowane, (aby im z tego robić zarzut), aby na uczuciowym ustosunkowaniu się jednostek lub grupy, budować trwałe podstawy organizacji walki z gruźlicą. Są jednak dwa czynniki, które legitymują dostatecznie nasze żądania:

Aspekt społeczny gruźlicy,
„ekonomia“ kosztów leczenia.

Zbyt często niestety budzi się refleksja, kiedy z tarasu sanatorium patrzeć na „dolinę“ Zakopanego, że to miasto tętniące życiem pełne narciarzy, turystów i szukających odpoczynku jest dziwnie od sanatorium odległe, że dzieli nas nie tylko dolina rzeki Zakopianki, ale jakieś niezrozumienie, dystans wzajemnej nieufności, żalu. Żalu za najpiękniejszymi latami życia, które można było radośniej przeżyć, za górami, które z daleka podziwiać można. Nieufność rodzi się z obawy, czy przypadkowy rozmówca nie cofnie się, gdy usłyszy, że ma przed sobą gruźlika. Czy zrozumie, że pomoc udzielana nam nie jest umilaniem „ostatnich chwil“ skazańca, ale przywróceniem społeczeństwu człowieka?

Dystans, jaki daje odczuć społeczeństwo, wytwarza pojęcie „stron“ poczucie odrębności mniejszości gruźliczej w społeczeństwie.

Sądźmy, że chyba korzyścią dla obu stron będzie usunięcie na plan drugi owego emocjonalnego, jeśli nie sentymentalnego stosunku zdrowych do chorego akademika. Doprawdy nie ma się czym rozczulać, okazywać przykre często współczucie, litość; pragnę wykazać, że zupełnie racjonalne momenty — przecież w rezultacie apelujemy do kieszeni społeczeństwa — takie, które mają wagę pieniądza, powinny zmienić traktowanie problemu gruźlicy na terenie akademickim.

Jedno musimy przypomnieć: gruźlica (leczona!) jest uleczalna.

Owo poczucie odrębności, mniejszości gruźlików w społeczeństwie zdrowych ma tę jedną dobrą stronę, że zmusza do myślenia, zastanowienia. Samo powiadomienie o zachorowaniu jest zazwyczaj silnym wstrząsem, który zmusza do rewizji światopoglądu, planów życiowych. Następnie pewne ograniczenie fizyczne możliwości pracy prowadzi do oszczędności, ekonomii wysiłku zarówno fizycznego, jak i intelektualnego. Sanatoryjny tryb życia sprzyja rozmyślaniom. Te świeckie rekolekcje wiodą dalej do pewnego brzemienneho w skutki przeobrażenia psychiki chorego. Jeśli dotąd w jego postanowieniach, decyzjach (a więc i postępowaniu) dużą rolę odgrywał czynnik mechaniczny, to znaczy, że były one pewnymi wypadkowymi konwenansów, cudzych opinii (matura — uniwersytet — posada „bo wszyscy tak robią“) cudzych działalności — to obecnie świadomość ograniczenia jakościowego i ilościowego możliwości fizycznych gruźlika wywołuje czynną postawę psychiczną, w pewnym znaczeniu zdobywczą, taką mianowicie, która będzie kształtowała rzeczywistość, a nie poddawała się jej prądowi. Swoista asce-

tyczność, ograniczenie rozrywek, duża ilość wolnego czasu, czyli warunki dla refleksji przyczynia się do pewnej idealizacji poglądów; gruźlik widzi możliwości wyzycia się jedynie na polu pracy naukowej, społecznej, w każdym razie umysłowej.

Nie mamy zamiaru przytaczać znowu nazwiska głośnych pisarzy, artystów, społeczników — gruźlików; nie możemy bez zgody zainteresowanych osób wymienić choćby tylko te, które przeszły przez „Bratniak“, a pełnią dzisiaj kierownicze funkcje w służbie państwowej, organizacjach społecznych, wojsku; zresztą chodzi przecież tylko o stwierdzenie, że wyleczony akademik-gruźlik posiada jeśli nie większe niż inni, to co najmniej takie same możliwości pracy naukowej, czy jakiegokolwiek innej umysłowej, do której się w czasie studiów sposobi.

Koszt jaki ponosi Państwo na wykształcenie jednego akademika wynosi około 15.000 zł (nie licząc kosztów wykształcenia niższego i średniego); stąd słuchacz, czy absolwent wyższej uczelni, choćby z racji poniesionych wydatków, jest obiektem dość cennym. Chyba oczywistym jest, że wydatkowanie jeszcze 2—3.000 zł na leczenie opłaca się w zupełności. Tym bardziej, że ta stosunkowo niewielka suma daje pracę i... życie jednostce, która poza owymi 15.000 przedstawia jeszcze trudną do ujęcia cyfrowego wartość człowieka — wykształconego, o czynnej postawie życiowej.

Niestety jak długo społeczeństwo o gruźlicy nie będzie chciało słyszeć, tak długo prosty rachunek: 15.000 zł jest większe od 3.000 — do świadomości społeczeństwa nie dotrze.

O chorych dbają lekarze i... chorzy; tak było od dawna i tego nie zmienimy. Natomiast obowiązkiem naszym jest dążenie do zmniejszenia szkód i strat, jakie gruźlica szerzy. Straty poniesione przez Polskę wskutek ubytku „materiału ludzkiego“, zniszczonego przez gruźlicę, wynoszą setki milionów rocznie. O tym się starannie zapomina, czego wyrazem śmiesznie mała ilość łóżek (8.619 w r. 1936) dla 785.000 chorych na czynną gruźlicę, wymagających leczenia. Ważność walki z gruźlicą będzie doceniał (poza lekarzem) tylko gruźlik — chory i wyleczony. Ta rzesza akademików, która opuści sanatoria, z racji swojej przyszłej pozycji społecznej, będzie grupą pionierską; ci których choroba dotknęła, pokierują akcją, im uda się ograniczyć rozmiary klęski społecznej. To jeszcze jeden walor wyleczonego akademika.

Niewielu chyba skrzywdzi się zdaniem, że obecny stosunek społeczeństwa starszego do walki z gruźlicą na naszym terenie określić można, jako kompletnie obojętny, przy czym owa obojętność znajduje przyczynę w ignorancji, pomijaniu tej sprawy, w braku zainteresowania. To jest najgroźniejsze i najboleśniejsze.

Żądamy wysunięcia zagadnienia naszego bytu na światło dzienne.

Żądamy dyskusji, może sporu, który — wierzymy — rozwiąże się z obopólną korzyścią.

Nie zniesiemy przemilczenia, obojętności, braku uwagi. Gruźlik w czasie choroby jest w pewien sposób bezbronny, bez sił, które pozwoliłyby mu w walce o byt utrzymać się na powierzchni i żąda, aby mu w tym przejściowym kalectwie pomóc. Pomocy społeczeństwa żąda w imię wartości, jakie może wyleczony dawać.

Spółeczeństwo musi zrozumieć, że sanatorium dla gruźlików nie jest tym samym, czym leprozorium dla trędowatych. W sanatorium nie czeka się śmierci, a przywrócenia normalnej zdolności do pracy.

Spółeczeństwo musi zauważyć chorych akademików i postąpić z nimi choćby tylko tak humanitarnie, jak się postępuje z końmi. Kiedy koń złamie nogę, w dość łagodny

sposób skraca się jego cierpienia. Niechże więc społeczeństwo XX wieku albo da akademikowi możliwość leczenia, albo po rozpoznaniu choroby od razu go zgładzi — żeby się nie męczył, nie zarażał innych, nie był ciężarem dla otoczenia.

Zresztą wyżej, poza humanitaryzmem, wysuwaliśmy argumenty natury finansowej.

Ponieważ ponad 90% ludności w Polsce jest zakażone gruźlicą, można powiedzieć, że każdy ma prawo na tę chorobę zapaść.

Uwzględnijmy warunki mieszkaniowe, garderoby, odżywianie, pracę akademika, brak ruchu, wysiłek umysłowy, wiek najpodatniejszy do zachorowań, a zauważymy, że jeśli czyjejkolwiek winy mamy tu szukać, to chyba jedynie tych czynników, które (często pracując „nad stan“) z jednej strony powinny profilaktyczną walkę z gruźlicą postawić na wysokości zadania, z drugiej zaś — dać akademikowi „ludzkie“ warunki pracy. W naszym środowisku gruźlica i rozmiarami i charakterem swoim stała się klęską żywiołową. Pragniemy, aby przez społeczeństwo tak była rozumiana. Pytanie „z czyjej winy“ — dlaczego właśnie ja? nie znajduje odpowiedzi, kara jest bez winy, jest karą tragiczną.

Tu łatwo przejść do problemu, czy świadczenia społeczeństwa zdrowych na leczenie nas — są zobowiązaniem, długiem. Nie znaczy to, aby akademik miał być niewdzięcznym — „choruję, wymagam“ chodzi, natomiast o to, aby nie czuł się niższym, żyjącym z czyjejś łaski, aby nie popadł w kompleks niższości, zależności.

Przyjeliśmy za swoje zdanie prof. Kattentida ze zjazdu w Leysin (1932 r.)

„leczenie jest dla akademika prawem“

i to bez względu na jego możliwości finansowe; gdy są za małe — obowiązkiem społeczeństwa jest udzielić pomocy.

Nie tutaj miejsce zastanawiać się nad rozszerzeniem działalności Opiek Zdrowotnych, nie my rozstrzygamy, czy o fundusze kolatać do tego lub innego ministerstwa, a jeśliby się apelowało do ofiarności (może już zbyt nadużywanej) społeczeństwa, to warto zauważyć, że nie sądzimy, aby gruźlica była potrzebą o wiele mniej ważną niż L.O.P.P., F.O.M. czy F.O.N., a dając na F.O.N. przypomnijmy sobie, że każdy prawie akademik jest oficerem rezerwy.

Rodzina, bliżsi znajomi częstokroć z dużym poświęceniem, nakładem pracy łożą na leczenie, troszczą się, ale przeciętny obywatel, obcy patrzy na gruźlika, jak na trędowatego. Unika rozmowy, traktuje lekko, pogardliwie, jest ewentualnie ironicznie troskliwy. Często kilku zdaniem, gestem, wyrazem twarzy daje do zrozumienia, że ów gruźlik, to człowiek napiętnowany, jakby gorszy, pozbawiony praw do normalnego życia.

Buduje w ten sposób zapórę, krzywdząco odpycha człowieka takiego, jak inni, często lepszego. Ten wstręt do chorego, obawa nie ma przecież uzasadnienia, jest tak małostkowa, że aż grzeszna. Dlaczego społeczeństwo tak krzywdzi chorego — dlatego tylko, że nie chce wziąć do ręki choćby broszury, z której się dowie kto jest niebezpieczny, kiedy i że dziesiątki ludzi, z którymi się styka, choruje również.

To wyróżnianie chorego, jest krzywdą większą niżby się zdawało, większe szkody wyrządza niż się przypuszcza.

Zbyt często się słyszy o wypadkach kiedy akademikowi z racji jego choroby odmawia się pracy, korepetycji; zdarzyło się na pewnej uczelni, że profesor zgłosił wniosek, aby absolwentom chorym nie wydawać dyplomów. To barbarzyństwo w miarę niepokojące, ale i krańcowe — świadczy również o potrzebie odpowiedniego uświadomienia, że gru-

żlik-rekonwalescent, a nawet leczący się jeszcze, może a często powinien — pracować, i to mu koniecznie należy ułatwić. Przy niewielkim wkładzie dobrej woli, przy ludzkim ustosunkowaniu się do akademika można mu dać pracę w dobrych warunkach lokalowych, niezbyt męczącą, uwzględniającą jego możliwości. Tę pracę, która nie tylko uchroni go od demoralizacji, ale przede wszystkim uchroni od ponownego zachorowania.

Nie sądzimy, aby żądania nasze były wygórowane, pragniemy, aby społeczeństwo — zauważyło nas,
dało pomoc w leczeniu,
uwzględniło specjalne warunki życia gruźlika w czasie leczenia i po leczeniu;
przez to zyska:
dzielnych, aktywnych, wykształconych pionierów walki z gruźlicą —
ograniczy dotychczasowe straty.

KS. JÓZEF KELLER

PIĘKNY GEST CZY OBOWIĄZEK?

W ostatnich kilkudziesięciu latach kwestie społeczne ze szczególną wyrazistością wysuwają się na czoło. Kryzys moralny i, co za tym idzie, kryzys materialny sprawia, że wyjaśnienie pozycji jednostki w społeczeństwie staje się sprawą palącą.

W niniejszym artykule mam zamiar, w dużym skrócie, rozwiązać z punktu widzenia katolickiej nauki społecznej zagadnienie, które można by sformułować krótko: czy jednostka, będąca w potrzebie, ma prawo domagać się od społeczeństwa pomocy, i, co jest korelatem powyższego, czy społeczeństwo ma obowiązek przyjąć jej z pomocą? W tym celu rozwinę zagadnienie prawa własności prywatnej; stąd powstanie kwestia obowiązków płynących z własności prywatnej, a jej rozwiązanie będzie odpowiedzią na postawione zagadnienie.

Mówiąc o własności prywatnej, nie dotykam zupełnie kwestii faktycznego posiadania przez poszczególnych ludzi pewnej własności. Chodzi mi wyłącznie o uzasadnienie prawa własności; czy mianowicie poszczególni ludzie mają prawo używać pewnych rzeczy z możliwością wyłączenia od korzystania z nich wszystkich innych. Prawo bowiem jest władzą, czy możliwością moralną posiadania, lub czynienia czegoś na własną korzyść z wyłączeniem wszystkich innych osób.

Z punktu widzenia chrześcijańskiej nauki społecznej rzeczy stworzone są własnością Boga; jedynie Bóg jest absolutnym panem wszystkiego co istnieje, na podstawie swej suwerennej władzy, jako Stwórca i Cel wszystkiego. Dobra ziemskie jednakże zostały stworzone dla człowieka. Według nauki chrześcijańskiej, istnieje hierarchia dóbr: niższe, jako posiadające mniej doskonałości, są podporządkowane wyższym i mają im służyć; człowiek w tej hierarchii stoi bezwzględnie na czele. Dlatego też wszystko, cokolwiek istnieje na ziemi nie jest celem samo dla siebie, lecz jest przeznaczone dla człowieka, dla zaspokojenia jego potrzeb.¹ Nie jest jednak człowiek, jako stworzenie, absolutnym

¹ „Dusza to ma wryty na sobie obraz i podobieństwo Boże i jest siedliskiem owej władzy zwierzchniej, dla której rozkazano człowiekowi panować nad stworzeniami niższymi i dla pożytku własnego służebnie sobie czynić wszystkie kraje i morza“ (Rerum novarum).

panem dóbr ziemskich; jest jedynie dzierżawcą, zależnym od Boga, jako pana absolutnego, dlatego też używanie ich, by było należyte, winno być zgodne z prawem Boga. Dobra ziemskie, wreszcie, zostały przeznaczone dla zaspokojenia potrzeb wszystkich ludzi, którzy kiedykolwiek będą żyli na ziemi, dlatego nikt nie ma prawa wyłączyć innego człowieka od używania tych dóbr, które są niezbędne dla zaspokojenia jego koniecznych potrzeb życiowych.

Założenie powyższe jest podstawą dla chrześcijańskiej nauki społecznej; realizacja zaś tej zasady możliwa jest do skutecznienia w podwójny sposób: albo dobra ziemskie zostaną w posiadaniu wszystkich ludzi bez podziału, czyli będzie istniała t. zw. własność wspólna (mniejsza na razie o to, jaki charakter będzie miała owa społeczność jako podmiot prawa własności), albo dobra ziemskie zostaną podzielone między poszczególnych ludzi, czyli zaistnieje t. zw. własność prywatna.

Odnosnie do systemu wspólnej własności, stanowisko socjologii chrześcijańskiej jest, na ogół mówiąc, negatywne. Nie znaczy to jednak, by system wspólnej własności był u swych podstaw odrzucony przez Kościół, jako niezgodny z celem dóbr ziemskich. Przeciwnie, w dziejach chrześcijaństwa niejednokrotnie był on realizowany — wystarczy wspomnieć o ustroju pierwszych gmin chrześcijańskich, czy życiu klasztornym. Biorąc jednak pod uwagę obecną naturę człowieka, w której pierwiastki szlachetne, porywy idealne w bardzo silnym stopniu są przygłuszone przez popędy złe, egoistyczne — dziś system własności wspólnej niemożliwy jest do zastosowania.

Wielu sądzi, że komunizm (i socjalizm) jest przez Kościół odrzucony właśnie ze względów ekonomicznych, tj. dlatego, że opowiada się za wprowadzeniem systemu własności wspólnej. Zdanie takie jest nieścisłe. Komunizm (i socjalizm) jest odrzucony przede wszystkim dla swych podstaw filozoficznych (materializm, determinizm dziejowy...). Natomiast ze względów ekonomicznych odrzucony został jedynie komunizm skrajny i absolutny, który w imię sprawiedliwości odrzuca prawo własności prywatnej jako niesprawiedliwe, jako kradzież; według którego jedynie sprawiedliwa jest własność wspólna (por. encykliki: „Rerum nov.“, „Quadrag. anno“ i encykl. „O bezbożnym komunizmie“).

Chrześcijańska nauka społeczna stoi na stanowisku, że własność prywatna jest uprawiona i zgodna z przeznaczeniem dóbr ziemskich.¹ Prawo własności prywatnej jest mianowicie bezpośrednim wnioskiem z prawa naturalnego. Prawem naturalnym dla człowieka jest jego prawo, a nawet obowiązek do życia, rozwoju i doskonalenia się duchowego i fizycznego. Aby zaś to zadanie mógł zrealizować, moralnie koniecznym jest, w dzisiejszym stanie, ustrój społeczny, oparty na własności prywatnej. W uzasadnieniu powyższej zasady, na ogół przytacza się 3 zasadnicze argumenty:

- 1) jedynie przy takim ustroju możliwy jest do zrealizowania pokój społeczny;²
- 2) chęć do pracy i wydajność jej będzie znacznie większa;³

¹ „Ale że Bóg, Pan ziemi, oddał całemu rodzajowi ludzkiemu ziemię do użytku, to się nie sprzeciwia bynajmniej własności jednostek... Zresztą jakkolwiek podzielona między jednostki, nie przestaje ziemia służyć ogółowi... Istnienie własności osobistej nie sprzeciwia się wcale prawu natury... Gdy zaś człowiek wyczerpuje zasoby ducha i siły ciała wyteża przy uprawianiu ziemi, przyswaja sobie tym samym uprawioną część; spoczywa na niej — że tak powiemy — pieczęć jego uprawiacza. Odpowiada to najzupełniej wymaganiom sprawiedliwości, aby ta część ziemi stała się jego własnością...”

² „Już zaś gdy lud poweźmie nadzieję nabycia ziemskiej posiadłości, zwolna oba stany zbliżą się do siebie, po usunięciu różnicy między wielkim bogactwem a ostatnią nędzą...”

³ „Nadto uzyska się większą obfitość w płodach ziemi... Ludzie bowiem z większą ochotą i usilnością

3) potrzeba, a poniekąd konieczność istnienia w społeczeństwie różnych zawodów i stanów da się zrealizować jedynie przy systemie własności prywatnej.

Prawo więc własności prywatnej jest sprawiedliwe; i, jako bezpośredni wniosek z prawa naturalnego, niejednokrotnie nazywane jest świętym prawem. Oczywiście, nie wolno ani na chwilę zapominać, że rozważania powyższe dotyczą wyłącznie kwestii prawnej, a nie faktycznej czyli faktycznego posiadania przez ludzi pewnych dóbr; tu bowiem trzeba wziąć pod uwagę sam fakt nabycia własności — czy nabycie było sprawiedliwe tj. zgodne z prawem Bożym i sprawiedliwym prawem ludzkim. Pod tym względem, chrześcijańska nauka społeczna wcale nie stoi na stanowisku, że każda własność prywatna jest święta!

Właśnie dziś stoimy wobec faktu bardzo nierównego podziału dóbr materialnych. Szybki wzrost wielkiego przemysłu stał się okazją do skupienia olbrzymich kapitałów w ręku nielicznych jednostek, podczas gdy przygniatająca większość ludzi żyje w nędzy, nieraz skrajnej; stoimy wobec faktu ustroju kapitalistycznego. Piękna, lśniąca limuzyna, sunąca ulicą wypełnioną tysiącami głodnych i obdartych nędzarzy — to fakt, nad którym nie łatwo przejść do porządku dziennego.¹ Czy przy takim stanie rzeczy można mówić o świętym prawie własności? Nierówności, istniejące w dzisiejszym społeczeństwie, bezwzględnie sprawiedliwymi nazwać nie można. Potrzeba zmian, zmian szybkich i radykalnych, bo w takich warunkach cel dóbr ziemskich traci swą realizację — tak czują dziś wszyscy.²

Rozbieżność zdań pojawia się jednak, gdy chodzi o realizację tych reform.

Pomijam tu całkowicie próby rozwiązania tego zagadnienia przez różne kierunki socjalne — zamierzam przedstawić jedynie rozwiązanie z punktu widzenia chrześcijańskiego.

Utarło się dziwne twierdzenie, jakoby Kościół był zwolennikiem i obrońcą kapitalizmu. Zdanie takie ma prawdopodobnie oparcie w tym, że socjologia chrześcijańska występuje w obronie prawa własności prywatnej; system jednak własności prywatnej jest istotowo różny od ustroju kapitalistycznego.

Właśnie w ramach nauki Chrystusowej jest wiele miejsca na wszelkiego rodzaju reformy, zmierzające do poprawy bytu ludzi biednych i wydziedziczonych. Chrystus, który tak mocno odczuł biedę człowieka, przyszedł przede wszystkim do ubogich; nie stworzył wprawdzie (jak sądzili niektórzy, np. Kantsky) ruchu socjalnego, w właściwym znaczeniu tego słowa, lecz w religii, którą zostawił światu, szczególną uwagę zwrócił na biednych; fakt to zresztą nazbyt jasny i znany.

W rozwiązaniu i należyтым zreformowaniu stosunków społecznych, ze stanowiska chrześcijańskiego, dwie cnoty odgrywają decydującą rolę: sprawiedliwość i miłość.

biorą się do pracy, gdy wiedzą, że pracują na własnym zagonie, a nawet sercem lgną i przywiązują się do roli, własnymi uprawianej rękami, bo wyczekują od niej nie tylko zaspokojenia głodu, lecz także względnej zamożności dla siebie i dla swoich..." („Rerum novarum").

„Za prawem własności prywatnej obstaje również powaga zakonu Bożego, „Nie pożądaj żony bliźniego..." ani domu, ani roli, ani wołu..." („Rer. nov.“).

¹ „Z jednej strony grupa nadzwyczaj potężna, bo nadzwyczaj bogata zagarnęła cały przemysł i handel — w lot chwyta każdą sposobność bogacenia się i na swą korzyść obraca, a nawet mało wpływa na zarząd państwa. Z drugiej strony uboga i słaba masa narodu rozjątrzona i skora do zaburzeń... Garstka bogaczy nałożyła jarzmo prawie niewolnicze stanowi pracującemu..." („Rerum nov.“).

² „Bądź co bądź, na to godzą się wszyscy, iż warstwom najniższym trzeba podać pomoc rychłą a skuteczną, gdyż wskutek nieszczęśliwych stosunków niezliczona ilość ludzi wiedzie żywot istotnie uciśniony i niegodny człowieka" („Rerum nov.“).

Przede wszystkim sprawiedliwość. Każdy człowiek ma prawo do życia i dlatego każdy człowiek ma prawo do tych dóbr materialnych, które są niezbędne do utrzymania jego życia i rozwoju zdolności — tego domaga się sprawiedliwość.¹

Właśnie państwo jest tym czynnikiem, który ma prawo i obowiązek zapewnić wszystkim swym obywatelom przynajmniej minimum dóbr materialnych, nakładając zobowiązania i ciężary na własność prywatną, by przy zachowaniu własności prywatnej zapewnić możliwość egzystencji wszystkim. Zapewnienie zaś pewnego dobrobytu zewnętrznego pozwoli człowiekowi na skierowanie swej energii w kierunku twórczego rozwoju, a nie narazi jej na marnowanie się bezcelowe w ciągłej i ustawicznej trosce o jutro.²

Na podstawie samej sprawiedliwości niemożliwą jest jednak rzeczą właściwe ułożenie i reforma stosunków społecznych; sama sprawiedliwość nigdy nie zdoła zapobiec nędzy wielu. Doświadczenie dziejowe wskazuje jaskrawo jak właśnie sprawiedliwość, stosowana przez ludzi, a nie ożywiona prawdziwą miłością, staje się czymś okrutnym i nie tylko nie łagodzi nierówności między ludźmi, ale raczej je potęguje. Wprawdzie nierówności zawsze będą istniały, całkowita równość ludzi jest fikcją, lecz łagodzenie krańcowych różnic jest konieczne — a to jest zadaniem miłości.

Miłość chrześcijańska jest istotnym i podstawowym czynnikiem w naprawie ustroju społecznego.³

Dużo dziś mówi się o miłości, różne jednak, a często sprzeczne pojęcia kryją się pod tą nazwą. W naszym tu znaczeniu, miłość jest cnotą czysto chrześcijańską — polega na tym, że ludzie czują się braćmi, których ojcem jest Bóg i dlatego, jak w rodzinie, nie jest szczęśliwy jeden z członków społeczeństwa, na widok innych będących w niedostatku. Doskonałym odzwierciedleniem tego pojmowania jest pojęcie państwa jako żywego organizmu u Arystotelesa, Cyserona, św. Augustyna, św. Tomasza...⁴

Na takim podłożu rodzi się ofiarność, ale nie ta ofiarność jałmużniana, łaska wielkopañska, która, udzielając pomocy, daje jednocześnie odczuć swą wielkość i wyższość, co więcej boli potrzebującego, aniżeli raduje sam datek, bo zabija w nim godność ludzką — poniża i rani! To nie jest ofiarność chrześcijańska!

Ofiarność, ze stanowiska chrześcijańskiego, jest obowiązkiem; obowiązkiem wielkim i świętym, od którego uchylenie się pociąga za sobą winę!

Miłość chrześcijańska niczym zastąpić się nie da; bez niej zawiodą wszelkie reformy społeczne — i właśnie dziś jej zanik jest przyczyną strasznego stanu, który przeżywamy. Dlatego trudno nie przyznać słuszności prof. O. Haleckiemu, gdy mówi: „Pozostały

¹ „Zachowanie życia jest powinnością, obowiązującą każdego, i nie można jej uchybić bez popełnienia występku. Z tej powinności nieodzownie wyłania się prawo do skutecznego poszukiwania środków, podtrzymujących życie“ („Rerum nov.“).

² „...,Obowiązkiem władzy państwowej jest ochrona społeczeństwa i jego części składowych, lecz przy obronie praw osób prywatnych trzeba uwzględnić interesy przede wszystkim ludzi słabych i biednych... Kiedy zaś państwo uzgadnia ustrój własności z koniecznościami dobra publicznego, to wówczas, dobrą, a nie złą przysługę oddaje prywatnym właścicielom...“ (Quadragesimo anno).

³ „Zapewne, miłość nie może zastąpić sprawiedliwości w wypadku pogwałcenia jej ścisłych wymagań. Atoli nawet wówczas, gdyby człowiek wszystko otrzymał, co mu się ze sprawiedliwości należy, zostałoby jeszcze bardzo szerokie pole do działania dla miłości...“ (Quadragesimo anno).

⁴ „Jak w żywym organizmie nie zaspokaja się potrzeb całości, jeśli nie daje się poszczególnym członkom wszystkiego, co im potrzebne, tak też w organizmie społecznym niemożliwy jest zdrowy rozwój całości, jeśli poszczególnym członkom, tj. ludziom obdarzonym godnością osobowości nie przyzna się wszystkiego, co im do spełnienia poszczególnych ich funkcji społecznych potrzeba...“ (Encykl. o bezboż. komunizm.).

jeszcze idee i hasła równości, wolności, braterstwa wszystkich ludów, ale straciły już na sile i stały się tylko frazesem, gdyż uniezależniły się od etyki chrześcijańskiej i chrześcijańskiego światopoglądu, którym zawdzięczają przecież swój początek i możliwość rozwoju“... a także w znacznej mierze A. Świętochowskiemu, który mówi: „Kłamiemy w religii, polityce, sztuce, w prawach i obyczajach, we wszystkim. Kłamstwo stało się tak ważnym pierwiastkiem życia społeczeństw, że bez niego uległoby ono bezwzględnemu rozstrojowi. Żadne zwierzę tak nie kłamie o swej szlachetności, wzniosłych dążeniach, idealnych celach, moralności chrześcijańskiej i innych cnotach, które w czynach wyrażają się jako samolubstwo, chciwość, gwałt, oszustwo, wyzysk, kradzież“ (ankieta noworoczna „Kuriera Warszawskiego“ 1934).

Dotknięci bez własnej winy nieszczęściem, marnują najpiękniejsze swe lata — lata młodości! Nikt, kto tego nie przeszedł, nie jest w stanie odczuć strasznego przygnębienia i żalu bezdennego, żalu do wszystkich... Dlaczego jestem poza nawiasem ja, który czuję swe prawo do życia, do pracy... A widok Zakopanego, widok tylu tysięcy rówieśników korzystających w pełni ze swej młodości, widok tych, którzy odgradzają się murem uprzedzeń i niezrozumienia, żal ten pogłębia i sam stan chorych czyni wręcz nie do zniesienia. Obowiązkiem wszystkich jest przyczynić się, by tych, którzy cierpią bez winy, podźwignąć, bo tego domaga się chrześcijańskie przykazanie miłości. Zmieni się wówczas stosunek tej części młodzieży do reszty społeczeństwa, zniknie dzielący mur uprzedzeń i żalu, nastąpi jedność oparta na miłości i wzajemnym zrozumieniu.¹ Społeczeństwo winno zrozumieć, że to jest droga jedyna! I odpowiedzialność za przyszłe losy społeczeństwa wobec Boga, własnego sumienia i historii poniosą ci, którzy zasklepieni w sobie, w swym egoizmie i wygodnym życiu, zdają się zapominać, że dobra ziemskie zostały stworzone i przeznaczone przez Boga dla wszystkich ludzi, a nie tylko dla niektórych.

„Świat uratować może jedynie głęboki wstrząs duchowy, powodujący reakcję przeciw materializmowi i cofnięcie się na pozycję „człowieka wiecznego“, gdzie biją czyste źródła twórczości duchowej“ (Z. Wasilewski, Ankieta „Kur. Warsz.“ 1934 r.).

WŁODZIMIERZ SZNARBACHOWSKI

WPŁYW SANATORIUM NA ROZWÓJ OSOBOWOŚCI KURACJUSZA

Życie sanatoryjne — to życie tych, którym drobny przypadek — prątek Kocha w płwocinie — zmienił plany życiowe na okres kilku lat. To również dobroczynna działalność tych, którzy chcą ten przypadek usunąć z naszego życia, gdyż wierzą w jego wartość.

Życie sanatoryjne i społeczności tych, którzy mają T.B.C. jest nie tylko życiem spo-

¹ To „nowe przykazanie“ miłości chrześcijańskiej ma Bożą moc odrodzenia ludzi. Wierne zachowanie tego przykazania da sercom ów pokój wewnętrzny, którego świat nie posiada i najskuteczniej zwalczy wszystkie kłęski, które dziś trapią ludzkość“ (Encykl. o komunizmie).

leczości, realizującej pewien mały cel — zawapnienie zmian w płucach — tak jak Towarzystwo zwalczania hałasu usuwa hałas na ulicach wielkich miast. Jest czymś więcej ze względu na to, że na okres kilku lat obejmuje całość naszego życia i, że właśnie dlatego następuje starcie celu małego — dbałości o własne zdrowie — z celem wielkim, który chcemy zrealizować przez nasze życie.

Ten mały cel swą intensywnością wkracza tak silnie i władczo w bieg naszego życia, tak dalece absorbuje naszą myśl, uczucia i wolę, że nieraz praca nad naczelnymi celami zawisa jakby w próżni. Niewątpliwie, że pamiętamy o rodzinie, zawodzie, studiach, państwie — ale przecież tu, codziennie — termometry, odma, weranda.

Sanatorium Akademickie, pól-sanatoria, poradnie łączą ludzi młodych, ludzi wyrzniętych spod normalnego, wychowawczego oddziaływania środowiska, uczelni, organizacji politycznych, naukowych, samopomocowych — tego kręgu, w którym przeciętny akademik kształci swą osobowość.

Dlatego Sanatorium Akademickie musi spełniać pewną działalność wychowawczą tak jak spełnia ją każde społeczeństwo wobec swych członków. Nie w tym sensie, że ma wychować typ „gruźlika doskonałego“, dumnego z noszonej odmy, jeno w tym sensie, że powinno zastąpić oddziaływanie społeczne środowiska, rozwinąć w akademiku-kuracjuszu te więzy społeczne, które by on rozwinął w czasie swego pobytu i pracy na wyższej uczelni. Po drugie, powinno usunąć z psychiki gruźlika ten specyficzny uraz, któremu ulegają wszyscy zmuszeni do kilkuletniego leczenia się, zawsze z pewnym prawdopodobieństwem śmierci; a nawet nie dopuścić do rozwinięcia się tego urazu i związanych z nim kompleksów i przeczulen. Wreszcie po trzecie ma nauczyć kuracjusza troszczyć się skutecznie o zdrowie swoje i otoczenia, upowszednić higienę profilaktyczną.

Wychowawcami w tej społeczności są przede wszystkim sami kuracjusze i to zawsze dawniej przybyli w stosunku do świeżych, bardziej urobieni duchowo w stosunku do tych o mniej wykończonych indywidualności. Od nastawienia psychicznego kuracjuszy, od atmosfery, w jaką zostaje wciągnięty początkujący gruźlik, zależy później postawa jaką każdy z nich przybierze wobec życia i leczenia. Wielu z nas pamięta jak wydanie w 1936 r. jednodniówki „Kawerna“, pełnej rozgoryczenia, buntu, niewiary w powrót do zdrowia i tragicznego „po co żyć, po co cierpieć i tak obrócisz się w popiół“ — osobisty wyraz rezygnacji z życia i sceptycyzmu jej nieżyjącego już redaktora — zatruło na kilka miesięcy atmosferę sanatoryjną, przewrażliwiając wszystkich, niwecząc wpływ lekarzy, nieraz niwecząc nawet w psychice pacjenta pomyślnie skutki leczenia. Wiele wysiłku kosztowało nas otrząśnięcie się z tej sztucznej psychozy. Wiemy również dobrze, jak szkodliwą jest wręcz przeciwna psychoza, że „właściwie to nic nam nie brakuje, sam pobyt w Zakopanem bez potrzeby przestrzegania regulaminu nas leczy“ i wymykanie się dniem na wycieczki, wieczorem na dancing. Stworzenie atmosfery, w której każdy jest spokojnym obserwatorem samego siebie, atmosfery spokoju psychicznego i nerwowego, zaufania do dobrego przyjaciela jakim jest nasz organizm, o ile my, lekarz i klimat dopomożemy mu w walce z chorobą — jest w znacznej mierze zależne od samych kuracjuszy: gdyż oni przede wszystkim obcuja ze sobą.

Drugim wychowawcą jest lekarz. Wiemy wszyscy, że zaufanie pacjenta do lekarza i narzucenie przez lekarza pacjentowi wiary w powrót do zdrowia, znajdują grunt podatny zarówno w opinii, jaką zdobyli sobie nasi lekarze przez wyniki swego leczenia, jak i w potrzebie przerzucenia odpowiedzialności za swoje zdrowie na kogoś innego: sil-

niejszego, bardziej doświadczonego. Chory oczekuje zawsze od lekarza natchnięcia go wiarą w pomyślne rokowanie.

Wreszcie trzecim czynnikiem wychowania — jest ustrój sanatorium i bieg życia codziennego, które mu nadaje dyrektor. Wiemy, że są sanatoria lubiane i nie lubiane, sanatoria, gdzie kuracjusze mimo dobrych wyników czują się źle i sanatoria, gdzie wszyscy czują się dobrze. Podstawą tego samopoczucia, poza osobistymi wartościami dyrektora, jest taki regulamin, taki ustrój, który by nawet szczegółowo normując dzień kuracjusza, zostawiał mu mimo dyskretnej kontroli nieskrępowaną swobodę w wykonywaniu tego regulaminu. Przypominanie na każdym kroku przez personel o wiązającym i tak na ścianie regulaminie, stworzyłoby atmosferę więzienną, opartą na niezaufaniu do mieszkańca zakładu, powodowałoby starcia, niechęci i zatargi. Właśnie ta swoboda, połączona z dyskretną kontrolą i osobista odpowiedzialność każdego tylko wobec dyrektora i ordynatora, a niezależność od całego personelu — jest czynnikiem, dla którego Sanatorium Akademickie jest lubiane i popularne. Pozostawienie swobody w wykonywaniu regulaminu ma doniosłe znaczenie wychowawcze — bo przecież po wyjeździe z sanatorium każdy jest pozostawiony własnej opiece i tu trzeba go do tego przyzwyczaić. Zaufanie do roztropności chorego jest metodą wzbudzania w nim zaufania do własnego zdrowia.

Założenie naczelne pedagogiki sanatoryjnej jest oparte na zastąpieniu kuracjuszowi wartości społecznych, jego normalnego środowiska życiowego, na pamiętaniu o tym, że dzięki tej zasadzie kuracjusz wyjdzie z sanatorium nie tylko zdrowy czy zaleczony, ale i psychicznie zdolny do pracy i twórczości. By wykonać to założenie, życie sanatoryjne opiera się na następujących zasadach, które muszą również stać się własnością leczących:

1) Sanatorium wraca zdrowie, rzadkie wypadki śmierci są spowodowane zbyt późnym rozpoczęciem leczenia i niedbalstwem chorego.

2) Fakt zakażenia gruźliczego nie zmienia w niczym celu i planów życiowych. Stwarza natomiast czasową trudność techniczną, a nie zasadniczą w ich wykonaniu. Tylko taka postawa zabezpiecza gruźlika przed rezygnacją, przed poczuciem swej niepotrzebności społecznej, przed niechęcią do studiów i pracy naukowej chociażby kontynuowanej w sanatorium.

3) Sama choroba i jej leczenie nie przerywają normalnej pracy naukowej, zawodowej, czy organizacyjnej, wymagają tylko innego jej ułożenia. Dlatego dążeniem naszego sanatorium jest umożliwienie kuracjuszowi pracy naukowej przez zaopatrzenie biblioteki, stworzenie pomocy naukowej, przez cykle wykładów. Kto pracował czynnie w organizacjach, teraz zajmie się np. pisaniami artykułów, rozwijaniem ich założeń ideowych.

4) Umożliwienie trwałego kontaktu z życiem kulturalnym przez radio, kino, gościnne występy zespołów teatralnych, muzycznych itd. oraz korzystając z okazji, przyzwyczajanie do skupionego myślenia.

5) Przyzwyczajanie do higieny.

Wszystkie te założenia osiągną swój cel, gdy będą oparte na przeświadczeniu każdego kuracjusza, że jest dla niego miejsce w społeczeństwie. Młodzi ludzie najczęściej wtedy wierzą w swe wartości, gdy mają możliwość dyskutować je przy egzaminach, dyskusjach, w pracy organizacyjnej. Gdyż tylko to zetknięcie się z rzeczywistością przekonuje każdego,

że spełni swą rolę w narodzie i dopinguje go w pracy i wysiłkach. Uświadomienie przez każdego kuracjusza, że jego więź ze społeczeństwem nie została przez chorobę zerwana jest podstawowym warunkiem, gwarantującym, że wyjdzie on z sanatorium zarówno zaleczony jak i zdolny psychicznie do pracy i twórczości.

Istotą zaś wszelkiej więzi między ludźmi jest świadomość naszej osobistej, przez nikogo nie mogącej być zastąpioną, funkcji, którą każdy z nas ma do spełnienia w społeczności, gdzie toczy się jego życie: w rodzinie, w zawodzie, w narodzie, w klubie, w przedsiębiorstwie. Odbierzmy mężowi i ojcu, żonie i matce, choćby nieraz złudzenie, że oni są treścią życia ukochanego i dzieci; odbierzmy politykowi i działaczowi społecznemu, dyrektorowi i urzędnikowi, robotnikowi, kupcowi, rzemieślnikowi i żołnierzowi świadomość, że ich działalność nie przyczynia się do szczęścia ogółu i tych, których kochają, a utworzymy ludzi złamanych i nieszczęśliwych — bo niepotrzebnych. Walka klas, to przede wszystkim walka o uznanie społeczne, dziejowej i aktualnej misji tych, którzy są dziś poza nawiasem twórczości i potrzeb kulturalnych. To zarówno walka o dopuszczenie oddziaływania swym życiem na cały naród, jak i walka o uznanie dziejowej roli pracy rąk.

Podobnie siła dyktatora płynie z wiary w swoją misję dziejową, w swą niezastąpioną rolę w społeczeństwie.

Idea, na której człowiek oparł swe życie i swą misję społeczną daje przeświadczenie własnej wartości.

Wszelką moją miłość bliźniego jak siebie samego mogę urzeczywistniać wtenczas, gdy sam znam swą wartość. Bo jeżeli nie widzę żadnych wartości w sobie — to jakże mam szanować w innym? Bardzo możliwe, że chłop z zapadłego Polesia jest w swym poczuciu dobrym obywatelem, ale bardzo jest wątpliwym, żeby, dopóki państwo nie uświadomi mu jego wartości i nie wyprowadzi tych wartości ze stanu możliwości ukrytych — w rzeczywistość działania, do tej pory Poleszok będzie tylko metrykalnym Polakiem.

Człowiek indywidualnie niepotrzebny — nikomu niepotrzebny, nawet najmniejszej grupie — rodzinie, czy ukochanej kobiecie — gdy tę zbędność swoją sobie uświadomi — staje w obliczu tragicznego wstrząsu.

Żeby żyć, muszę — albo, żeby ktoś wierzył we mnie, albo, nieliczni tylko są do tego zdolni, żebym sam wierzył w siebie, w swoją przyszłość, w słuszność moich celów życiowych.

Młodzi ludzie, gdy znajdują się z konieczności poza normalnym swym środowiskiem, — gdy nie widzą i nie czują dopingującej ich społeczności — gotowi są uznać się za niepotrzebnych.

Ludziom młodym, ludziom, którzy znaleźli się w Sanatorium, aby przetrwali zwycięsko okres leczenia, potrzeba zawsze tej wiary w swoją wartość. Wykrycie tej wartości, sensu życia i jego celu, oraz zdolności do wykonania go — zmusza ich do pracy nad sobą, by móc spełnić swą indywidualną misję w narodzie, który, ufając w ich niezastąpioną potrzebę dla swej wielkości — postanowił ich leczyć. I nie tylko ludzie silni ideą i którzy chcą zdrowia, by ją urzeczywistniać — wychodzą niezłamani z Sanatorium, ale także wielu przyspiesza przez pobyt w Sanatorium swój powrót do Boga i pełne poznanie swej osobowości.

Tak więc poznawszy zadania wychowawcze Sanatorium w stosunku do kuracjuszy,

poznawszy znaczenie społeczności sanatoryjnej, mającej zastępować w życiu młodego człowieka jego normalne środowisko, i to — zastępować skutecznie — by wyszedł on z Sanatorium zdolny do czynnego udziału w życiu społeczeństwa, — doszliśmy do problemu rozwijania i pogłębiania własnej osobowości w Sanatorium.

Ponieważ rozwój każdego odbywa się w określonym środowisku, każde środowisko wychowuje ludzi o pewnym typie. Życie sanatoryjne również wywołuje specyficzne przeżycia, które sprawiają, że każdy, kto przeżył dłuższy okres w Sanatorium, wyrabia w swej psychice nowe cechy. Idzie o to, by były one zespolone z jego charakterem, by były przezeń ukształtowane i użyte świadomie do budowy swej osobowości.

Pierwszym wstrząsem jest dla każdego dowiedzenie się o chorobie. Jest ono przeżyciem silnym — wiemy o tym dobrze. Sposób, w jaki go każdy przeżywa daje mu możliwość poznania swego charakteru, pobudza wolę do przetrwania i walki. Jest przeżyciem, które może wychować ludzi na silnych.

Drugim, ale już rozciąglým w czasie przeżyciem jest monotonia leczenia, odseparowania od świata. By przejść przez tę próbę zwycięsko trzeba najpierw umieć zapanować psychicznie nad okolicznościami, a nie poddać się im, zachować swą osobowość w zmienionych warunkach. Umieć wykorzystać znaczenie tego życia pustelniczego na swój sposób. Przeżycie to wychowuje ludzi na wytrwałych w dążeniu do celu, odpornych na przeciwności.

Trzecim przeżyciem jest zbliżone obcowanie ze śmiercią i ewentualność własnej śmierci. Postawienie przed oczy problemu śmierci czyni z nas ludzi, dla których wiele rzeczy pozornie doniosłych traci swą wartość, a zmusza do zbliżenia się do postawy filozofa, umiającego patrzeć na świat pod kątem widzenia dobra i zła, zmusza do szukania Absolutu. To przeżycie wychowuje w ludziach konsekwencję, odwagę, zdolność prawdziwego oceniania rzeczy, zjawisk i ludzi. Daje spokój i powagę. Nawraca myśl ku Bogu, rozwija życie wewnętrzne.

Czwartym specyficznym przeżyciem życia sanatoryjnego jest znalezienie się w środowisku ludzi sobie obojętnych o różnych zainteresowaniach i kulturze, o różnym wyrobieniu towarzyskim, z którymi jest się zmuszonym obcować ciągle i blisko. Te warunki zarówno zmuszają nas do pobłażania wobec „szczeniakerii“, jak i uczą nas szacunku dla cudzego cierpienia i cudzej potrzeby samotności, dają możliwość głębokich obserwacji i silnego oddziaływania na innych.

O piątym przeżyciu wychowawczego znaczenia cierpienia i choroby mówić nie będę, gdyż jest ono cechą nie tylko życia sanatoryjnego.

Główną misją wychowawczą Sanatorium Akademickiego jest stworzenie takich warunków współżycia, żeby dawało ono te wartości, które normalnie rozwija w sobie młody człowiek, dzięki wpływom środowiska, w którym żyje. Spełniając to zadanie, spełnia Sanatorium i drugie — stworzenia podatnego gruntu dla wartościowego wtopienia w swój charakter specyficznych wartości życia sanatoryjnego. I wtenczas przebyta choroba wniesie w nasze życie nowe wartości, społecznie doniosłe, które sprawiają, że ten okres naszego życia nie pójdzie na marne, a przyczyni się do naszego rozwoju.

Roztropność bowiem nakazuje nam wyciągać korzyści moralne ze wszystkich okoliczności, w które umieszcza nas Opatrzność, gdyż wszystko to zmierza ku naszemu dobru. My tylko nie zawsze umiemy je odnaleźć, rozwinąć i ocenić.

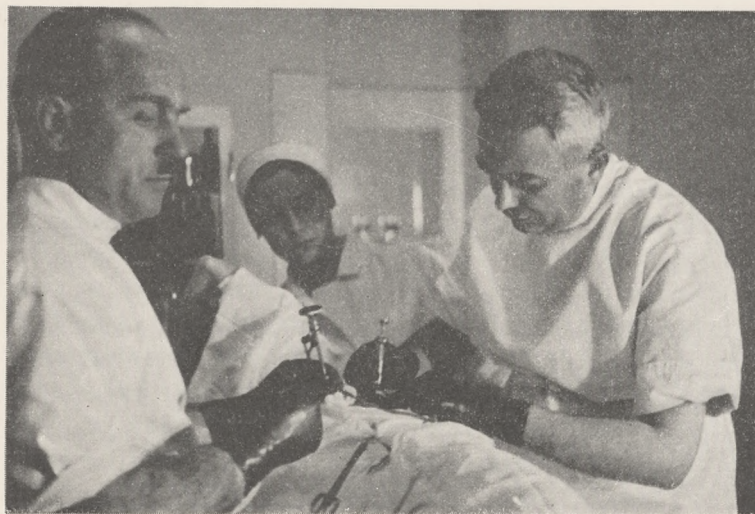
DR OLGIERD SOKOŁOWSKI

Dyrektor Sanatorium „Odrodzenie“ w Zakopanem

„P R Z E P A L A N K A“

„Przepalanką“ ochrzciła młodzież Bratniacka w Zakopanem zabieg przecinania zrostów opłucnowych. Mimo, że smakowita ta nazwa wzbudza kojarzenia z zakazanym na terenie sanatoryjnym owocem, jest ona na tym terenie nie tylko dozwolona, ale bardzo wskazana.

Przepalanie zrostów, które umożliwia szybsze osiągnięcie wyników leczenia odmo-



Fot. Stefan Jasiński.

Zabieg przepalania zrostów (znieczulanie).

wego lub stosowanie go tam, gdzie bez przepalania byłoby mało skuteczne, jest szczególnie ważne, gdy chodzi o młodzież. Życie narzuca tu konieczność jak najszybszego zlikwidowania choroby, gdyż „nie ma na nią czasu“, tym bardziej, że u młodzieży studiującej istnieje katastrofalna koincydencja: wiek najbardziej podatny ku gruźlicy jest też wiekiem największej chwytności umysłu.

Statystyk potrafiłby pewnie obliczyć, jak wiele

tych najchwytniejszych „osobolat“ przypada na przewlekającą się chorobę gruźliczą; są to lata w pewnym sensie stracone dla młodzieży.

Teren sanatoryjny jest właśnie tym, który może skutecznie skrócić okres chorobowy; tylko na takim terenie da się pomyśleć dokonywanie zabiegów, które wymagają czujnego dozoru w znaczeniu wyboru momentu odpowiedniego do operacji, postaci, nadających się do operowania i bacznej obserwacji okresu pooperacyjnego.

W oczach naszych rozrasta się zagadnienie Sanatoriów-Szpitali, pojętych w ten sposób, by móc dokonywać w nich wszelkich zabiegów, które zmierzają do szybkiego likwidowania choroby.

Do skrócenia okresu „chorowania“ dążą również wprowadzane obecnie w Sanatoriach-Szpitalach niezmiernie ważne badania czynnościowe narządu oddechowego. Metody te mają przede wszystkim na celu ustalić, czy chory nadaje się do zabiegu (szczególnie, gdy chodzi o cięższe operacje, jak np. plastyka) tj., czy jego narządy oddechowo-kръżeniowe: płuca i serce są dostatecznie silne, by organizm mógł znieść zabieg i odzyskać zdrowie. Zdobywa się tą drogą gwarancje obiektywne.

Badania czynnościowe mają i inne, niemniej doniosłe, znaczenie: pozwalają wyrobić

sobie o każdym rekonwalescencie czy wyleczonym opuszczającym Sanatorium, sąd o sprawności jego narządów krążenia i oddychania, a więc o tym, jakiej pracy i jakim wysiłkom może poddać bezpiecznie, nie narażając się na recydywę czy inne powikłania.

Badania czynnościowe są dość proste w założeniu. Polegają one na mierzeniu pojemności oddechowej, mechanizmu oddechu, stosownie do stopnia wysiłku, i zachowania się serca przy wysiłku u chorych z nieomogą oddechową. Chodzi tu nadto o analizę gazów wydechiwanych przez badanego, by ocenić zapotrzebowanie tlenu i zdolności wykorzystywania tlenu z powietrza wdychiwanego w spokoju i po wysiłku. Zdolność wykorzystywania tlenu bywa różna przy różnych stopniach uszkodzenia tkanki płucnej: od tej właśnie zdolności zależy, w znacznej mierze, sprawność organizmu. Te proste zdawałoby się metody wymagają jednak dość skomplikowanych i kosztownych urządzeń pracownianych. Dla wielu sanatoriów jest to muzyka przyszłości, pocieszymy się — niedalekiej. Badania czynnościowe są najbardziej celowe, gdy są prowadzone równolegle z obserwacją całego przebiegu kuracji sanatoryjnej.

Są one tak wskaźnikowe, że rozwijają się także po innym torze: jako badania zdrowych pod kątem zdolności ich np. do służby lotniczej.

Badania lekarskie młodzieży uniwersyteckiej, doskonale zorganizowane, pozwalają wcześniej wykrywać gruźlicę, a metody współczesne sanatoryjne szybko ją likwidować: są to dwa ważne ogniwa w zwalczaniu gruźlicy wśród naszej młodzieży.

Chciałbym tu raz jeszcze podkreślić ten moment, który wydaje mi się szczególnie ważny w związku z nowszymi metodami szybkiej interwencji w leczeniu gruźlicy w porównaniu z dawniejszą metodą spoczynkowo-lekarstwową, usypiającą siły życiowe i odpornościowe organizmu, gdy przeciąga się zbyt długo.

Zdarza się niekiedy, że chory, nie wiedząc o chorobie, nieleczonej, chorobę jednak pokonywa: zmuszony do wydobywania z siebie codziennego wysiłku w pracy, uaktywnia drzemiące w organizmie siły.

Dzisiejsze metody leczenia, przyspieszające powrót do zdrowia nie usypiają sił odpornościowych, ale wzmagają funkcje przystosowawcze.

Te zdrowe tendencje ujął trafnie Carrel („Człowiek istota nieznana“): „Zamiast zapobiegać chorobom jedynie przez ochronę jednostek przeciw czynnikom wywołującym choroby, trzeba uczynić każdego zdolnym do samoobrony, powiększając sztucznie skuteczność funkcji przystosowawczych“.



Fot. Stefan Jasiński.

Zabieg przepalania zrostów (okres przepalania).

DR ADAM PRZYBYLSKI

PROMIENIE ROENTGENA A GRUŻLICA

W ostatnich paru dziesiątkach lat dzięki promieniom X diagnostyka lekarska we wszystkich działach medycyny zrobiła bardzo duże postępy. Jakkolwiek prace dotyczące gruźlicy płuc są olbrzymie, stale natrafiamy, tak przy prześwietleniu, jak i zdjęciu rentgenowskim na pewne trudności, o których krótko chcę wspomnieć. Trudności rozpoznawcze wynikające tak z natury jednostki chorobowej, jak i fizycznych warunków są w gruźlicy płuc większe, niż w niektórych działach medycyny rentgenologicznej, gdzie udało się metodę badania doprowadzić wprost do szczytu doskonałości.

Trudności szukać należy w całym szeregu czynników. I tak jasną jest rzeczą, że nadmierna otyłość, wszelkie zmiany opłucnowe, prowadzące bądź to do nagromadzenia się wysięku, bądź to dające silne płaszczyznowe zgrubienia opłucnej nie pozwalają na dokładny wgląd w miąższ płucny.

Proces gruźliczy w płucach przedstawia się rentgenologicznie w postaci pojedynczych lub mnogich plam (rzut sferycznych ognisk na jedną płaszczyznę). Plama odpowiada niepowietrznemu, naciekłemu miąższowi płucnemu. Im plama rentgenologicznie ostrzej ograniczona, o cieniu silniej wysyconym, tym proces jest starszy. W świeższych postaciach mamy do czynienia z plamami nieostrymi, o mglistym, obłoczkowatym wejściu. W tych świeższych postaciach rentgenologowi nieraz bardzo trudno jest postawić rokowanie. Mamy tu bowiem do czynienia z tzw. odczynem okołogniskowym, okołogniskowym zapaleniem, spowodowanym przez przekrwienie tkanki płucnej w otoczeniu ogniska, — centrum — zawierającego prątki gruźlicze. Podobnie bowiem, jak na skórze, przy zranieniu jej, oparzeniu, wbiciu ciała obcego powstaje zaczerwienienie w otoczeniu, jako reakcja na czynnik szkodliwy, tak i tutaj dookoła centrum tworzy się odczyn zapalny, zajmujący pęcherzyki płucne a dający w rezultacie niepowietrzną miąższu płucnego. Jak jednak w danej chwili nie wiemy jaki będzie dalszy los zapalenia okołogniskowego na skórze, czy w najbliższej przyszłości cofnie się lub dalej się rozprzestrzeni, tak i w gruźlicy płuc z jednego zdjęcia nie wiemy jakie będzie dalsze rokowanie. Jedne ogniska mogą szybko resorbować się, inne rozpadać i dawać w następstwie jamy gruźlicze. Zdjęcie rentgenowskie mówi, że proces istnieje. Z pewnych szczegółów w przybliżeniu sądzić możemy o dalszych losach ogniska. Kontrolne dopiero zdjęcia sprawę przeważnie i definitywnie wyjaśniają.

Przy jamach gruźliczego pochodzenia sprawa również nie jest rentgenologicznie całkiem prosta. Tu zachodzić może podwójna ewentualność: albo jama istnieje a zdjęcie jej nie wykazuje, albo jamy nie ma a rentgenolog otrzymuje twory bardzo podobne do jam, imitujące jamy. W pierwszym wypadku jamy mogą być ukryte za żebrami, obojczykiem, sercem, mogą być źle widoczne tak z powodu ich cienkich ścian jak i grubych zlepow opłucnowych. W drugim wypadku jamy mogą być imitowane przez pierścieniowato ułożone zlepy opłucnowe, przez poszerzone chorobowo światła oskrzeli, przez rozedmową tkankę płucną. I tu również dalsze badania tak kliniczne, jak i rentgenologiczne przeważnie dają rozstrzygnięcie.

W dalszym ciągu do niedokładności badań rentgenologicznych zaliczyć trzeba stronę techniczną wykonania zdjęcia. Mimo dużego udoskonalenia urządzeń rentgenowskich

brak jest ujednolajnienia w wykonywaniu zdjęć rentgenowskich. Stworzenie tych samych warunków fizycznych we wszystkich pracowniach rentgenowskich jest rzeczą niezmiernie trudną choćby ze względu na różne indywidualne podejścia lekarzy rentgenologów do zagadnienia.

Przytoczyłem tu niewiele tylko trudności na jakie napotyka lekarz w wykonaniu i ocenie zdjęcia rentgenowskiego w przebiegu gruźlicy płuc. W wypadkach niejasnych rentgenolog jest bezsilny i dopiero dalsze badania kliniczne i kontrolne dają dokładny wgląd w proces chorobowy. Tak, jak dzisiaj nie można sobie pomyśleć o precyzyjnym rozpoznaniu i rokowaniu bez promieni X, tak też i badanie rentgenowskie bez udziału innych badań klinicznych prowadzić może na mylne tory.

DR BRUNON TURKOWSKI

Ordynator Sanatorium Akademickiego

SANATORIUM NIE TYLKO LECZY, LECZ I WYCHOWUJE

Członkowie naszego społeczeństwa, patrzący na życie z punktu widzenia teraźniejszości, obawiający się wszelkiej inwestycji „gdyż nie wiemy co będzie dalej, a przecież jesteśmy biedni i nie możemy sobie pozwalać na budowę taką jak Sanatorium Akademickie” — to osobnicy, traktujący Polaków, jako naród znacznie mniej wartościowy od innych narodów. Dziwnie oni zgadzają się z owym lekarzem Anglikiem, który zwiedzając kilka lat temu nasze Sanatorium, dziwił się wszystkiemu i był zgorzony. Czy owo zgorzenie nie wynikało z dobrego angielskiego samopoczucia i przekonania o swej wyższości, z pewnego politowania, że zamierzenia nasze są czynami społeczeństwa, które nie dorosło cywilizacyjnie do inwestycji, jakie zaszczyt przyniosłyby jego narodowi? — Twierdził ów lekarz, iż niepotrzebny jest gmach murowany, wystarczyłby drewniany barak (w Zakopanem przy 30 stopniach mrozu). Zgorzony był faktem, że do ciężko chorego, gorączkującego akademika przychodzi co dnia rano osoba kierująca kuchnią i nakłania do wybrania sobie, zresztą w dość ograniczonym zakresie, pokarmów. „U nas — mówił Anglik — stawia się koło chorego pokarm jednakowy dla wszystkich i — „nie zje dzisiaj, to zje jutro“... itd. itd. A był to lekarz sanatoryjny i wiedział dobrze, że gorączkujący gruźlik przy braku presji ze strony otoczenia może całymi dniami nie jeść a gorączka i niechęć do pokarmów trwa często miesiącami. Jakie skutki dla sił odpornościowych organizmu pociąga takie głodowanie — każdy zrozumie.

Angielski lekarz, stawiając swe zarzuty, wychodził z założenia o naszej niższości; świadczą o tym słowa zakończenia dyskusji: „Nie umiecie wychowywać ludzi“.

Ze słów tych wynika, że według pojęć angielskiego narodu Sanatorium nie tylko leczy, lecz i wychowuje. Kto zna życie sanatoryjne, ten całkowicie tym pojęciom przyznaje rację. I zawsze z nimi się zgodzi.

Pobyt w Sanatorium nie jest niestety oderwanym epizodem w życiu chorego akademika. Jako jeden z warunków skuteczności leczenia klimatyczno-sanatoryjnego należy uważać powtarzanie leczenia przez szereg lat, przynajmniej raz w roku. Cały szereg wybitnych specjalistów jest zdania, że czynnikiem przede wszystkim działającym w leczeniu klimatycznym jest zmiana klimatu. Dodać musimy — i tryb życia. Nauczyć się żyć

odpowiednio do swego stanu zdrowia na pewno nie nauczy się nikt sam, nawet czytując stopy książek i broszur na ten temat. Charakterystycznym zjawiskiem w psychice chorego na gruźlicę jest przeważnie dobre samopoczucie, niewspółmierne z obiektywnym stanem jego zdrowia. Mało tego, zauważyłem, że pacjenci z IV piętra naszego Sanatorium (a czwartacy to najlżej chorzy) znacznie częściej żalą się na złe samopoczucie — od bardziej chorych z innych pięter. I jaki ogrom pracy trzeba wkładać w cierpliwe uczenie poddawania się zleceniom lekarza! Nie wyobrazi sobie tego szczęśliwiec, nie mający nigdy styczności z lekarzem sanatoryjnym. Powiedziałby ktoś, że na to wystarczą Przychodnie i odpowiednie pogadanki budzącego ufność lekarza. Nic podobnego. Aby nauczyć odpowiedniego trybu życia konieczne jest sanatorium, gdzie regulamin zwolna przyzwyczajają, a poprawa zdrowia ustala w świadomości chorego zalety takiego trybu życia.

Że nie wystarcza sama perswazja najbardziej zaufanego lekarza świadczą fakty częstego pogarszania się stanu zdrowia pacjentów, którzy z pewnych względów zamieszkiwali w pobliskich pensjonatach po opuszczeniu Zakładu. Na zarzuty, że zapewne nasze rady poszły do lamusa, szczerze odpowiadali, że nie mogli oprzeć się namowom znajomych, a jeszcze — co bardzo charakterystyczne — że nie chcieli, by uważano ich za chorych. Ileż niebezpieczeństwa dla zdrowia mieści się w tych wyrażeniach!

Pacjenci zbyt mało mają wytrwałości, by opierać się pokusom życia i zbyt mało osobistej odwagi, by odsunąć kolidujące z ich zdrowiem i przyszłością opinie otoczenia. Tak się zachowują w środowisku, gdzie właściwie choroba płuc nie jest dla nikogo piętnem Kaina. Jak taki człowiek będzie zachowywał się w Warszawie, Lwowie, Krakowie i Poznaniu?

Czy z powyższego nie wynikają wielkie korzyści leczenia sanatoryjnego?

Czyż powtarzany przez szereg lat pobyt choćby kilkutygodniowy w Sanatorium nie uświadomi pacjentowi konieczności innego trybu życia? Kontrolując przypadkowo stan zdrowia pacjentów, którzy dawno i bezpowrotnie opuścili Sanatorium i teraz pracują w warunkach często trudnych, jako inżynierowie, nauczyciele, handlowcy lub prawnicy — często spotykam się ze zdaniem: „Teraz rozumiem, co znaczy tryb życia dla gruźlika. Gdybym żył, jak inni...!!!“ Z satysfakcją wypominam zwykle pacjentowi przykre chwile zetknięcia się z regulaminem sanatoryjnym i wówczas dowiaduję się znowu z ust byłej ofiary o wielu, wielu zaletach pedagogicznej strony życia sanatoryjnego. I proszę nie sądzić, że odprawiając chorego z Zakładu zmuszamy go do wysłuchania całej litanii rad i wskazówek, co do postępowania poza Zakładem. Pacjent sam szuka lekarza, by mu jeszcze raz przypomnieć, iż ma prowadzić tryb życia jak najbardziej zbliżony do sanatoryjnego.

Z zagadnieniem zachowywania się pacjenta ściśle wiąże się kwestia, tak ogromnie ważna dla społeczeństwa — kwestia szerzenia się gruźlicy. Chory uczy się w Sanatorium strzec drugich przed zakażeniem, a szczególnie najbliższą rodzinę.¹ Długie tygodnie obserwacji współtowarzyszy uczą go jakim społecznym i osobistym nieszczęściem jest gruźlica — i wzruszającą bywa troska opuszczającego Zakład o swoje najbliższe otoczenie w domu lub w pracy. Jakże często dobrowolnie pacjent zgadza się na pogorszenie

¹ Niebezpieczeństwo zakażenia w stosunku do pozostałej ludności jest dla krewnych, otaczających pacjenta, chorego na otwartą gruźlicę m. w. 4-krotnie, a śmiertelność, jak wykazują statystyki niemieckie — 2,4—30,5 razy większa.

swych warunków mieszkania i życia, li tylko dlatego, by uchronić najbliższych przed zakażeniem.

Ogrom różnicy w zachowywaniu się chorych na płuca w stosunku do otoczenia ocenić mogę przeprowadzając porównanie tego, co widziałem pracując przez kilka lat w Ubezpieczalni Społecznej w Zagłębiu Dąbrowskim. A przecież obecni moi pacjenci należą do tej samej sfery społecznej. Różnicy nie można kłaść na karb wyższej kultury, gdyż styczność miałem w dużym procencie wypadków z urzędnikami kopalń i zakładów handlowych. Rady moje przyjmowane były z całą uwagą, lecz stosunek otoczenia nie zmieniał się; a gdy byłem zbyt natrętny — po prostu przestawano mnie wzywać do domu; w rezultacie — wymieranie rodzin, złożonych z 5—6 osób, na gruźlicę płuc w czasie kilku lat. Na leczenie sanatoryjne czekało się bardzo długo i przychodziło ono zwykle w czasie, gdy stan pacjenta uważać trzeba było za beznadziejny; dzielić się więc z otoczeniem tym, co nauczyło go Sanatorium, nie miał już sił. Kto rozumie, jak ważną sprawą społeczną jest uświadomienie i umiejętność chronienia zdrowych członków społeczeństwa przed masowym wchłanianiem do organizmu prątków Kocha, ten zgodzi się z wielką wagą wychowania sanatoryjnego, gdyż chory winien chcieć i umieć chronić zdrowych.

Nie doceniamy, a nawet zupełnie opacznie rozumiemy sprawę wpływu życia sanatoryjnego na psychikę chorego. Często spotykany pogląd, że Sanatorium dopiero robi ludzi chorymi, należy zaliczyć do rzędu poglądów — że nie należy kłaść się do łóżka przy niedomaganiach, gdyż wtedy dopiero człowiek rozchoruje się naprawdę. Ileż smutnych konsekwencji takiego dość częstego mniemania. Przyznam, że zdarza się, iż pacjent po pewnym okresie pobytu w Zakładzie zaczyna czuć się źle psychicznie i fizycznie i po wyjeździe do domu z radością konstatuje, że samopoczucie zupełnie się zmieniło; przestał czuć się chorym. Są to wyjątki, a zrozumieć takiego pacjenta nie trudno. Są to zwykle neurastenicy, którym nie brak trosk życiowych, a każda zmiana otoczenia i wrażeń pozwala im na jakiś czas czuć się zdrowymi. Większość wchodzi po raz pierwszy do Sanatorium — trzeba przyznać z wielkim strachem, ale jeden pobyt wystarcza, by Sanatorium dobrze wspominać i cieszyć się nadzieją przyszłego wyjazdu. A przecież pacjent nie tylko pocieszające słowa słyszy z ust lekarza; jakże często dopiero w Zakładzie uświadomiony zostaje o powadze swej choroby. Jakim wstrząsem psychicznym jest na przykład wiadomość o konieczności założenia odmy sztucznej. Jakże inaczej przyjmuje tę wiadomość pacjent sanatoryjny i o ileż łatwiej skłonić go do tego zabiegu nam, lekarzom sanatoryjnym. Zasluga to życia sanatoryjnego i jego dobrego wpływu na psychikę pacjenta, popartego naocznym przykładem osiągniętych rezultatów u Kolegów i pewność stałej opieki zamieszkałych w tymże gmachu lekarzy. Jakże inaczej wyglądają te sprawy w leczeniu ambulatoryjnym, a nawet klinicznym, czy szpitalnym. Sanatorium uczy pacjenta ufać lekarzowi i leczeniu. Lekarze sanatoryjni są w tym szczęśliwym położeniu, że dłużej i dokładniej mogą obserwować pacjenta, z większą więc pewnością siebie mogą ocenić postępy choroby, jak i rokowanie na przyszłość. Iluż pacjentów wyjechało z zupełnie zmienionym pojęciem o swym zdrowiu, jakież odprężenie psychiczne sprowadza świadomość uleczalności swej choroby, lub świadomość dobrośliwości sprawy. A trzeba przyznać, że lekarze ambulatoryjni często nie są w stanie ocenić stopnia choroby płuc. Wystarczy przytoczyć wyniki kontrolnych badań Hollmana i Redekera; pacjentów, skierowanych jako chorych na czynną, wymagającą leczenia gruźlicę szczytów płuc uznano: na 100 osób — 66 bez objawów schorzenia płuc, 7 — niegruźlicze schorzenia płuc,

7 — nieczynne ogniska i blizny, pozostali chorzy — mniej lub więcej rozległe czynne zmiany płuc. Naturalnie przy sprawności i wyzyskaniu nowoczesnych sposobów diagnostycznych lekarz ambulatoryjny nie popełni tak dużych błędów, jednakże charakter schorzenia, skłonność do postępowania choroby i rokowania na przyszłość może ocenić przede wszystkim stały lekarz sanatoryjny. Uczciwy i doświadczony lekarz zawsze będzie odnosił się z rezerwą przy stawianiu wniosków z wyników badania chorego na płuca. Tę niepewność wyczuwa natychmiast pacjent i to jest wielkim plusem leczenia sanatoryjnego, że lekarze mogą na skutek dłuższej obserwacji z wielką pewnością ocenić stan zdrowia chorego. O zaufaniu pacjentów do sanatorium świadczą łzy wylewane przy odjeździe, (naturalnie przez pacjentki) i gwałtowne, często wprost natrętne naleganie o skierowanie do Zakładu w razie wystąpienia jakichkolwiek powikłań w leczeniu.

STEFAN WERNER

SANATORIUM AKADEMICKIE W ŚWIECIE CYFR

Rok 1927 — jako rok jubileuszowy „Pomocy Bratniej“ w Zakopanem jest punktem zwrotnym w działalności pierwszej instytucji społecznej w zwalczaniu gruźlicy.

Podjęcie uchwały przez Zjazd Jubileuszowy, z inicjatywy dyr. dra Stefana Jasińskiego i grona byłych kuracjuszy, budowy nowego sanatorium miało za zadanie nie tylko upamiętnienie 25-lecia istnienia tej placówki, lecz także rozszerzenie jej dotychczasowej działalności. Trzeba przyznać, że pierwszych 25 lat zapisało się nie mniej pięknymi sukcesami na kartach historii, od lat następnych. Praca ofiarna i pełna poświęcenia wydała owoce wielkie. Owoce, które możemy mierzyć jedynie wynikami działania tych ludzi, którzy tu leczyli się. Zdobyte bowiem niejednego z nich na polu wiedzy i nauki przyniosły nie tylko chlubę im w kraju, lecz również rozśławiły imię Polski na terenie zagranicznym. Nie można pominąć i tych, którzy choć cicho i niepostrzeżenie przeszli przez życie, nie byli jednak ciężarem dla społeczeństwa, dzięki tu odzyskanemu zdrowiu. Liczba natomiast leczących się, obejmująca dotychczas ponad 10.000 osób, niech będzie dowodem ilu szukało pomocy i ją znajdowało.

Sukcesy odniesione w ciągu 25 lat, oraz gorące nalegania inicjatorów przyczyniły się do tego, że Rada Naczelna przystąpiła do budowy gmachu wyposażonego w najnowocześniejsze urządzenia lecznicze.

Zapytajmy się, jakie miał Zjazd w chwili uchwały środki do rozpoczęcia tego dzieła? Odpowiedź: żadne!

A zatem wiara i ufność we własne siły, oto pierwszy fundament gmachu, który dziś dumnie spoziera ze stoków Gubałówki.

Do zebrania funduszy na niesienie pomocy chorej młodzieży zabrała się cała niemal młodzież akademicka i społeczeństwo, a Władze przychylnie odniosły się do realizowanego projektu. W 1927 roku 7000 studentów stanęło w Tygodniu Akademika, by szerzyć propagandę na rzecz budowy nowego sanatorium. Wszyscy zaś członkowie wszystkich Bratniaków opodatkowali się w kwocie 7 zł rocznie. Pieniądze z tego podatku, pobieranego odtąd przez Kwestury Wyższych Uczelni napływają przez pełnych 8 lat.

Akcja ta w pierwszym roku przynosi nieznaczny dochód, bo zaledwie 5.740 zł z opłat

akademickich, a 1.650 zł z ofiarności społeczeństwa. Suma 7.390 zł mogła przerazić i zmrozić poczynania inicjatorów. Nikt jednak nie zraża się tak nikłym „sukcesem”. Przygotowuje się plany budowy, mającej pochłonąć kwotę 3 ½ tys. razy większą, aniżeli zebrano w pierwszym roku zbiórki. Daleko zatem było organizatorom do osiągnięcia 2 mil. 400 tys. zł. Następny już rok, dzięki wydatnej pomocy społeczeństwa przyniósł nieoczekiwane rezultaty w postaci 256.470,48 zł z czego społeczeństwo dało 172.943,07 zł, a 83.527,41 zł młodzież akademicka.

Działalność społeczeństwa polskiego na rzecz Sanatorium w Zakopanem, odtąd z każdym rokiem słabnie i mimo lat odznaczających się korzystniejszymi wpływami, nigdy już nie osiąga poziomu z roku 1928. Tymczasem opodatkowanie się młodzieży akademickiej wzrasta i potężnieje, obejmując coraz większe szeregi i uzyskuje punkt kulminacyjny w roku 1931, wybijającym się na czoło opłat — kwotą — 251.611,53 zł. W rezultacie młodzież akademicka zebrała na budowę 1.041.198,47 zł. Jest to wysiłek młodego pokolenia duży, który tym mocniej należy podkreślić, bo 7 zł u niejednego studenta stanowi poważną pozycję w budżecie rocznym.

Spółeczeństwo dało duży dowód zrozumienia, dając 519.955,42 zł, lecz niewspółmiernie słabszy od młodzieży, ofiarując zaledwie połowę tego, co ona dała.

Zapał społeczeństwa i młodzieży udzielił się Władzom i instytucjom, które z wydatną pomocą przyszły Komitetowi Budowy — udzielając subwencji i pożyczek.

Wielką zasługę i wdzięczne wspomnienie pozostawił Bank Gospodarstwa Krajowego, udzielając w okresie wznoszenia budowy pożyczek na sumę 1.270.000 zł. Obecnie, na skutek usilnych starań miarodajnych czynników część długu obejmującego 900.000 zł umorzył. Szlachetny ten czyn uwypukla jeszcze ta okoliczność, że Sanatorium Akademickiemu groziła przymusowa sprzedaż, która położyłaby kres 37-letniej historii i działalności popularnego „Bratniaka”.

Resztę zobowiązań wobec B.G.K. przyjęło na siebie Ministerstwo Wyznań Rel. i Oświec. Publ.

Dziś, gdy uratowanie tej placówki uchroniło od poważnych strat ogół akademicki, musimy dołożyć wszelkich sił, by wykończono jej budowę.

Dotychczas włożono wiele wysiłku i pieniędzy, lecz własnym sumptem Sanatorium nie można wykończyć, ono bowiem nie jest instytucją dochodową, lecz głównym jej celem — niesienie pomocy przy dużym poparciu zewnętrznym.

A jak wielkie sumy pochłonęła budowa i ile na ten cel zebrano, niech zilustruje załączona poniżej tabela wpływów i wydatków:

Wpływy :

Rok	Opłaty akad.	Subw. rząd.	Ofiarność społeczeństw.	B. G. K.	Odsetki	Ogółem
1927	5.740,—	—	1.650,—	—	—	7.390,—
1928	83.527,41	—	172.943,07	—	—	256.470,48
1929	123.393,63	40.000,—	121.891,—	300.000,—	—	585.284,63
1930	134.810,81	36.500,—	55.510,90	800.000,—	—	1.026.821,71
1931	251.611,53	53.000,—	61.216,—	—	15.073,04	380.900,57
1932	237.885,55	17.500,—	75.036,50	100.000,—	550,36	430.972,41
1933	175.360,19	—	27.665,95	70.000,—	212,76	273.238,90
1934	28.869,35	—	4.042,—	—	—	32.911,35
Razem	1.041.198,47	147.000,—	519.955,42	1.270.000,—	15.836,16	2.993.990,05

Wydatki:

Rok	Kupno parceli	Budowa	Urząd- zenie	Kierow- nictwo robót	Odsetki i koszty kred. budowli	Splata kap. poż.	Różne	Ogółem
1927	—	—	—	—	—	—	500,—	500,—
1928	11.000,—	178.000,—	—	—	—	—	13.952,74	202.952,74
1929	—	532.792,62	—	—	14.790,72	—	6.949,50	554.532,84
1930	—	537.510,60	—	92.406,06	39.689,06	—	5.817,43	675.423,15
1931	—	689.700,—	2.000,—	—	39.881,53	—	9.581,78	741.153,31
1932	—	266.669,50	61.915,81	—	100.366,87	—	5.395,55	434.347,73
1933	—	153.178,73	34.878,36	—	139.189,68	25.000,—	834,60	353.081,37
1934	—	17.200,—	500,—	—	8.171,44	—	832,30	26.703,74
Razem	11.000,—	2.375.051,45	99.294,17	92.406,06	342.089,30	25.000,—	43.863,90	2.988.704,88

Z zestawień tych jasno wynika, że preliminowaną sumę 2 mil. 400 tys. zł przekroczono. Przekroczenie to jest pozorne, gdyż w preliminarzu objęte były sumy tylko samego gmachu, bez wewnętrznego wyposażenia i robót ubocznych, które trzeba było wykonać. Wymienimy tu choćby dwie pozycje jak: 1) Koszt budynku oczyszczalni ścieków i kanalizacji wynoszący 48.100 zł oraz 2) drenażu terenu i ujęcia źródeł — obejmujący 30.000 zł. Pozycyj tych zebrało się na sumę 259.000 zł.

Przy tworzeniu preliminarza nie liczone się z koniecznością zaciągnięcia poważniejszej pożyczki na dłuższy okres czasu. W zestawieniu tymczasem czytamy, że odsetki pochłonęły ponad 340.000 zł i poważnie podwyższyły koszt budowy. Zatem niezależnie od dobrej woli Komitetu Budowy ogólny stan rachunków wzrósł niezmiernie, uniemożliwiając w konsekwencji ukończenie Sanatorium, a co gorsza, długi uniemożliwiły dalsze prace na okres 5 lat.

Zwolnienie więzów krępujących wszelkie poczynania, jakimi były długi zaciągnięte w B.G.K., daje większą swobodę działania. Dlatego już w obecnym roku Dyrekcja Sanatorium przystępuje do wykończenia i wyposażenia 12 pokoi i 8 ubikacyj pomocniczych wraz z korytarzami na wysokim parterze i I piętrze. Prace te będą wykonane przy pomocy subwencji Min. Oświaty kosztem 20.000 zł. Wykończenie ich zapewni 26 dalszych miejsc kuracjom. Jest to jednak zaledwie piętnasta część kosztu, koniecznego do wniesienia, by oddać cały gmach do użytku chorej młodzieży.

Na podstawie preliminarza z 1937 r., sporządzonego przez prof. inż. J. Gałęzowskiego i dyr. dra Stefana Jasińskiego, potrzeba do wykończenia:

I.	Głównego gmachu	152.000,00 zł
II.	Do przeniesienia i zmontowania zabudowań gospodarczych i służbowych	48.000,00 „
	Prócz wyżej wymienionych kwot niezbędne są pieniądze na:	
III.	Wyposażenie wewnętrzne techniczne i gospodarczo-sanitarne	27.000,00 „
IV.	Inwentarz lekarski	25.000,00 „
V.	„ ruchomy jak: łóżka, leżaki, szafy, stoły itd.	43.475,00 „
	Razem:	295.475,00 zł

W pierwszej części przedstawiliśmy wpływy i wydatki, oraz pieniądze potrzebne do wykończenia budowy. W następnej postaramy się uzasadnić danymi korzyści, jakie przyniesie jak najwcześniejsze uzyskanie pieniędzy i wprowadzenie Sanatorium w normalny stan użytkowania.

Korzyści te będą dwojakiego rodzaju:

- a) materialne b) społeczne.

Sprawozdania Sanatorium Akademickiego co do ruchu kuracjuszy podają jako przeciętną miesiąca 95—100 osób. Przy takiej frekwencji koszt dzienny utrzymania osoby wynosi 6,00 zł. Według nowego preliminarza przy 125 kuracjuszach przeciętnie, budżet wzrośnie z 246.000 zł do 263.800 zł, a koszt utrzymania zmniejszy się do 5,78 zł bez uwzględnienia wydatków budowlanych. Z chwilą gdy Sanatorium zostanie wykończone i pomieści 180 chorych, budżet powiększy się maksymalnie o $\frac{1}{3}$ od preliminowanego na rok przyszyły, a zatem z 263.800 zł do sumy 351.730 zł. Koszt zaś dzienny utrzymania kuracjusza opadnie do 5,35 zł.

Dla zobrazowania racjonalnej gospodarki podajemy porównanie kosztów dziennych w podobnych zakładach.

1)	Sanatorium Akad.	przy frekwencji 100 osób	koszt utrzymania	6,00 zł
2)	„ w Bystrej			
	Śląsk.	220	7,09	„
3)	„ Staszycówka			
	Ludwikowo	191	6,65	„
4)	„ Nauczycielskie			
	Zakopane	180	10,95	„
5)	„ Akad. Zakopane	180	5,35	„

Po skutecznieniu zatem potrzebnych uzupełnień, da to znaczną oszczędność 117 zł dziennie, a w stosunku rocznym 42.705 zł. Jest to poważna kwota i tej obecnej straty rocznej nie wolno bagatelizować. W przeciągu 5 lat ubiegłych straciliśmy — śmiało to możemy twierdzić — ponad ćwierć miliona zł. Gdyby pieniądz potrzebny zainwestowano pięć lat temu, już zamortyzowałyby się dawno. Trzeba bowiem przy obliczaniu amortyzacji wziąć pod uwagę nie tylko zyski wypływające z kosztów utrzymania, lecz także korzyści społeczno-narodowe odnoszone przez leczenie 300 chorych rocznie więcej.

Porównanie kosztów dziennych utrzymania jednej osoby daje jasny i niezbitý dowód przeprowadzenia dodatniej kalkulacji cen, tak dla młodzieży, jak i dla organizacji subwencjonujących. Wiadomo ogólnie, że kalkulację cen można tym dogodniejszą przeformować w tego rodzaju instytucjach, im większą jest frekwencja.

Drugą ujemną cechą, która rzuca się w oczy w instytucjach sanatoryjnych i szpitalnych przy małej frekwencji, to stosunek liczbowy personelu i kuracjuszy. To niedomaganie występuje szczególnie jaskrawo przy obecnej liczbie kuracjuszy w Sanatorium Akadem. w Zakopanem. Celem uwypuklenia tej wady, chwilowo trudnej do usunięcia, uczynimy porównanie.

San. Akad. Zakopane	przy frekw.	100 kuracj.	pers. 38 osób	— 38%
„ w Bystrej	220	74	— 29,7%	
„ Staszycówka	191	62	— 30,8%	
„ Akad.	180	50	— 27,7%	

Po zwiększeniu liczby kuracjuszy do 180 osób otrzymamy zmniejszenie procentowe liczby personelu, i ekonomiczniejsze rozłożenie kosztów jego utrzymania.

Dalszym defektem w sprawnym działaniu Sanatorium to nikła frekwencja kuracjuszy w pewnych miesiącach spadająca nieraz od 21—22 osób. Redukcję personelu w tym okresie można przeprowadzić w nieznacznym stopniu. Poszczególne bowiem działy pracy i urządzenia sanatoryjne są obsługiwane i muszą obsługiwać gmach podobnie, jak w trybie normalnym. Z tego jeden możemy wysnuć wniosek — koszt dzienny utrzymania osoby wzrasta wybitnie — prawie trzykrotnie. Stan ujemny kasy z takich miesięcy wpływa niekorzystnie na budżet całoroczny.

Dla przykładu podajemy cyfry z października dwu różnych lat. W pierwszym wypadku liczba kuracjuszy obejmowała 21 osób. Koszt utrzymania osoby wyniósł 17,95 zł.

Rozchód w ciągu miesiąca obejmował . . .	11.739,30 zł
Wpływy	5.170,50 „
Saldo ujemne	6.568,80 zł

W drugim wypadku liczba kuracjuszy wzrosła do 23 osób. Koszt utrzymania jednej osoby obniżył się nieznacznie do 16,06 zł.

Wydatki wyniosły	11.531,08 zł
Wpływy	6.924,92 „
Saldo ujemne	4.606,16 zł

Mały napływ kuracjuszy daje się szczególnie we znaki w trzech miesiącach każdego roku, a to w czerwcu, październiku i listopadzie. Dlatego cyfrę niedoboru możemy przyjąć jako wahającą się w granicach 10—12 tys. zł rocznie. Niedobór ten muszą pokryć nadwyżki innych miesięcy. Czy taki stan jest wskazany ze względu na dobro społeczne i Państwa, niechaj rozpatrzą ci, którzy mogą przyczynić się pod tym względem do pewnych zmian na lepsze.

Winy w tym wypadku Dyrekcja Sanatorium nie ponosi. Komu ją należy przypisać, tej kwestii tu nie będziemy rozpatrywali. Stwierdzamy tylko na podstawie cyfr i sprawozdań, że nie zawsze wyzyskuje się miejsca wolne. Dzieje się to ze stratami materialnymi Sanatorium i organizacji subwencjonujących z jednej strony, a z drugiej niepowetowanymi — zdrowia wśród studentów. Błąd ten należy bezwzględnie usunąć z wyżej wymienionych przyczyn, oraz szkód społecznych, jakie przynosi. Młodzieży chorej nie zabraknie do spełnienia tego warunku i wówczas, gdy zakład ten będzie oddany w całości do użytku. Przeciwnie nie pomieści on połowy tych, których leczyć trzeba.

Dziś przez mury jego przewija się 550 osób rocznie. W przyszłości ma znaleźć tu opiekę 800 kuracjuszy w ciągu roku.

Zapytajmy, co zrobi reszta spośród 2.000 szukających ratunku dla swego zdrowia? I tymi trzeba będzie się jak najwcześniej zaopiekować. Bo im mniejsza będzie ilość chorych z otwartą gruźlicą, tym mniejszy odsetek zakażeń, — mniejsze niebezpieczeństwo jej nabycia.

Dziś wszelkie zakłady zbyt mało miejsca mają, by pomieścić starszych i młodzież nie-

uniwersytecką. Przychodzi to tym trudniej, że zaledwie dwa łóżka wypadają w sanatoriach przeciwgruźliczych na każde 10.000 mieszkańców.

Jeżeli zatem przyjęcie chorego studenta do jakiegokolwiek zakładu przeciwgruźliczego jest utrudnione brakiem miejsca, to po cóż marnuje się ich beczynnienie aż 60 w Sanatorium Akademickim w Zakopanem bitych 5 lat?!

— Pieniędzy nie ma! — Odpowiedź słyszymy. Odpowiedź, jakże często wypowiedziana bez rozpatrzenia sprawy i zastanowienia się nad nią. A warto tu zastanowić się, co lepsze — wykończenie Sanatorium i ochrona zdrowia młodzieży, czy niewykończenie i pozostawienie dużej części jej na pastwę losu.

Niewykończenie zabiera i będzie zabierało już nie setki, lecz miliony złotych rocznie. Bo 120 umierających studentów rocznie, to strata zbyt dotkliwa i wielka, którą należy roztrząsać nie tylko z punktu widzenia ubywania młodych sił, lecz także z punktułożonych kapitałów na wychowanie ich i wykształcenie. Straty te wobec tego dotyczą bezpośrednio tak rodziny zmarłych, jak Naród i Państwo.

One szczerbią i czynią wyłomy w szeregach młodego pokolenia, oraz kapitale społecznym, tak potrzebnym dziś przy inwestycjach kraju.

Mamy tu przeciwstawienie dwóch rozchodów z punktu widzenia społecznego: pierwszy — to inwestycja potrzebna do wykończenia Sanatorium, drugi — to umierająca przedwcześnie młodzież. Który z tych rozchodów mniejszym złem, niechaj rozsądzi czytelnik, — wytworzywszy sobie swój własny sąd o kwestii, będącej zagadnieniem nie tylko akademickim, lecz także społecznym.

DR STEFAN JASIŃSKI
i DR NATALIA SINICZENKOWA

SPRAWOZDANIE LEKARSKIE SANATORIUM AKADEMICKIEGO IM. J. PIŁSUDSKIEGO W ZAKOPANEM ZA ROK 1937

Pozostało chorych z roku 1936 113 osób

Przybyło w ciągu roku 1937 399 „

Razem leczono . . 512 osób

Dni leczenia było 34.514 (w tym 29.330 dni leczenia akademików i 5.184 prywatnych i uczniów szkół średnich).

Koszt dzienny utrzymania chorego w Sanatorium wynosił zł 6.46.

Opuściło Sanatorium z poprawą. 382 osób

„ „ bez poprawy. 4 „

„ „ z pogorszeniem. 4 „

Zmarło 8 „

Pozostało na dzień 1 stycznia 1938 r. . 114 „

Razem j. w. 512 osób

Przeciętna pobytu w Sanatorium 67 dni, czyli ponad 9 tygodni.

Przeciętna dzienna frekwencja w roku 1937 wynosiła 95 osób.

Przeciętna dzienna frekwencja w poszczególnych miesiącach:

styczeń	111 osób	lipiec	125 osób
luty	112 „	sierpień	123 „
marzec	113 „	wrzesień	80 „
kwiecień	108 „	październik	47 „
maj	78 „	listopad	64 „
czerwiec	72 „	grudzień	100 „

W miesiącach od grudnia do kwietnia i od lipca do września czeka stale na miejsca od 40 do 60 osób.

Z liczby 512 osób odbyło kurację sanatoryjną w ciągu 1937 r.

1. 2-krotnie	97 osób
2. 3-krotnie	6 „
3. 4-krotnie	2 „

Z liczby 512 osób leczono w ciągu roku:

Akademików (czek)	456 osób
Uczniów szkół średnich	24 „
Prywatnych	32 „

Razem . . . 512 osób

Z liczby leczonych akademików było:

Mężczyzn	328 osób
Kobiet	128 „

Razem . . . 456 osób

Ilość akademików leczonych z poszczególnych środowisk:

Warszawa	171 osób
Lwów	107 „
Poznań	95 „
Kraków	52 „
Wilno	19 „
Lublin	8 „
Łódź	1 „
Praga Czeska	1 „
Brno „	1 „
Gdańsk	1 „

Razem. . . . 456 osób

Pod względem wyznaniowym leczono akademików:

1. Rzymsko-katolików	421 osób
2. Grecko-katolików	8 „
3. Prawosławnych	11 „
4. Ormiano-katolików	2 „
5. Ewangelików	5 „
6. Wyznania mojżeszowego	9 „

Razem. . . . 456 osób

Stan zdrowia przybyłych na kurację sanat. przedstawiał się następująco:

1. Gruźlica początkowa, gruczołowa i nieczynna włóknista.	46 osób
2. „ rozwinęta	427 „
3. „ rozpadowa.	39 „
<u>Razem 512 osób</u>	

Na ogólną liczbę 512 osób leczonych, 165 osób przy przyjęciu miało K+ co stanowi 32% ogólnej liczby kuracjuszy.

Z tej liczby (165) przy wyjeździe u 50 osób stwierdzono gruźlicę zamkniętą czyli 30% pierwotnie prątkujących wyjechało z gruźlicą zamkniętą.

Na gruźlicę innych narządów oprócz gruźlicy płuc przypada:

1. Gruźlica krtani.	9 osób
2. „ ucha wewnętrznego	2 „
3. „ kości i stawów.	5 „
4. „ jelit	3 „
5. „ otrzewnej	1 „
6. „ opon mózgowych	1 „
7. „ nerek	3 „
<u>Razem. . . . 24 osoby</u>	

Powikłanie gruźlicy z innymi chorobami:

1. Cukrzyca	1 osoba
2. Asthma bronchialna	2 „
3. Rozstrzeń oskrzeli	1 „
4. Sclerosis disseminata	1 „
5. Ropień płuca	1 „
6. Lymphogranuloma	1 „
<u>Razem. . . . 7 osób</u>	

- I. 1. Leczono odumą sztuczną powietrzną 202 osoby
 - a) z tego prawostronną 103 osoby
 - b) „ lewostronną 80 „
 - c) „ obustronną 19 „
2. Leczono odumą sztuczną oliwną:
 - a) obustronną 1 osobę
3. Założono odm sztucznych w Sanatorium 52 osobom
4. Dopelnień odm sztucznych wykonano. 2.030
5. Powikłań odmy sztucznej wysiękiem surowiczym

opłucn. było u 23 „ (11%)
6. Odm samoistnych naturalnych 2 „

Z powodu zrostów opłucnowych nie udało się założyć odmy sztucznej. 11 „

Przepalono zrosty opłucnowe przy niekompletnym ucisku odumą sztuczną u 21 „

II. Z innych metod uciskowych zastosowano
(w miejscowym szpitalu klimatycznym):

- a) wyrwanie nerwu przeponowego 1 osoba
- b) Thoracoplastykę 2 „

III. Lecząno:

- 1. Zastrzykami dożylnymi wapna z cukrem, których wykonano w ciągu 1937 r. — 2.985 250 osób
- 2. Zastrzykami dożylnymi soli złota 10 „
- 3. „ domięśniowymi soli złota 3 „
- 4. „ dożylnymi Cajasa 2 „
- 5. „ podskór. preparatów arsenowych, których wykonano 1.600 50 „
- 6. „ domięśniowymi wyciągu z wątroby 2 „
- 7. „ „ Rezilu 10 „
- 8. „ dożylnymi natrium benzoicum 8 „

IV. Lecząno:

- 1. Promieniami Roentg. (krtai i gruczoły szyjne). 5 osób
- 2. „ „ (opon mózgowych) 1 „

Z metod diagnostycznych pomocniczych wykonano:

1. Pracownia Roentgena:

- a) Fotografie klatki piersiowej i kości 435
- b) Prześwietlenia klatki piersiowej 786

2. Laboratorium chemiczno-bakteriologiczne wykonało:

- 1. analiz plwociny 1.200
- 2. „ moczu 1.500
- 3. „ wysięków opłucnowych 21
- 4. rozbioru krwi 30
- 5. opadanie czerwonych ciałek krwi metodą Biernackiego 986

Podstawową metodą leczniczą w Sanatorium dla wszystkich chorych jest leczenie higieniczno-klimatyczne. W myśl powyższego — ściśle się przestrzega trybu życia w Sanatorium i godzin werandowania. Sprawy te normuje regulamin wewnętrzny.

Żywnienie chorych powoduje zwykle wiele skarg z ich strony, jak zresztą we wszystkich zakładach dla chorych gruźliczych, gdyż podstawowym objawem chorego na gruźlicę rozwiniętą (który to objaw można wprost zaliczyć do metod diagnostycznych) jest brak apetytu a stąd jako skutek skargi na niesmacznie przyrządzone posiłki i nieświeże produkty. Skarg tych udało się uniknąć prawie zupełnie dzięki wprowadzeniu wyboru przez chorego potraw, których jest zawsze kilka przy każdym posiłku. Dla zilustrowania podaję:

1. śniadanie do wyboru:

- a) kawa, b) herbata, c) mleko,
prócz pieczywa i masła do wyboru:
- d) wędliny lub zimne mięso, — e) miód, f) ser, itp.



Sanatorium Akademickie im. J. Piłsudskiego.

Obiad do wyboru :

2 zupy, 2 rodzaje mięsa, legumina lub kompot.

Kolacja do wyboru :

a) potrawa mięsna, b) potrawa jarska, c) jaja, d) kaszki lub grysiki,
e) herbatniki lub kompot.

Całkowicie indywidualne wyżywienie à la carte (prawie-że bez względu na koszt) stosujemy u ciężko chorych i gorączkujących.

Chorzy o większym apetycie dostają za zezwoleniem lekarza oddziałowego zwiększoną porcję posiłków całodziennych lub poszczególnych.

Posiłki 5-razowe, dziennie — wynoszą na osobę 5.360 kaloryj, co odpowiadałoby metodzie tuczającej 3. stopnia według Rubnera i Nordena.

Przypada na :

1. mięso	1.152	kaloryj
2. jaja	300,15	„
3. masło	826,80	„
4. inne tłuszcze	230	„
5. chleb	609	„
6. bułki	538	„
7. mąka	264	„
8. kasze	133,20	„
9. mleko	511,70	„
10. cukry	324,28	„

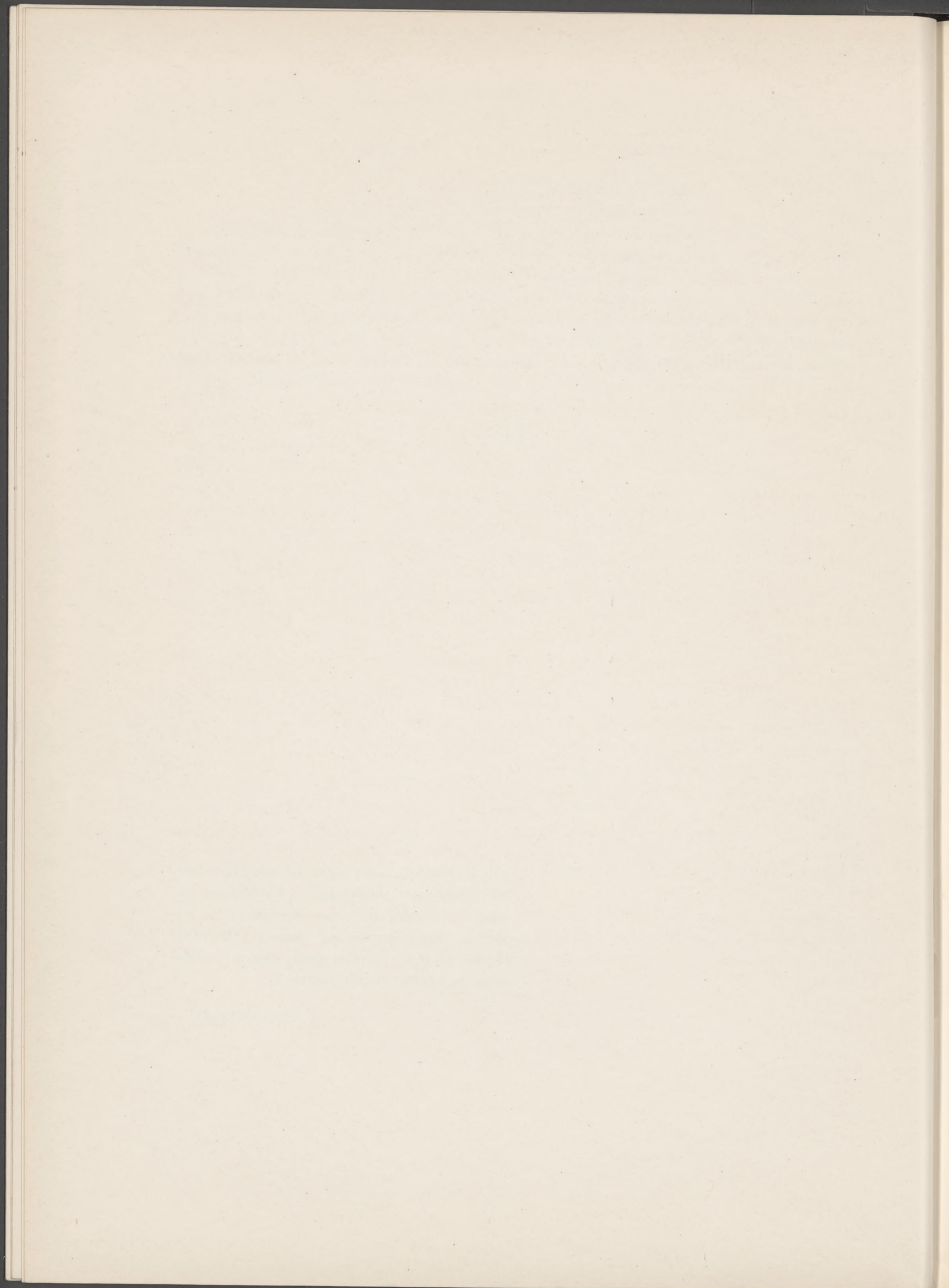
11. śmietana	20,10 kaloryj
12. owoce	450,89 „
<u>Razem</u>	<u>5.360,12 kaloryj</u>

Ze ścisłych metod leczniczych szeroko stosujemy leczenie uciskowe (odma sztuczna), dające możliwość szybkiego powrotu do studiów, z dalszym kontynuowaniem jej przez środowiskową poradnię przeciwgruźliczą i zwiększającą rokowanie co do całkowitego wyleczenia. Bardzo ważną zaletą odmy jest, że szybko odprątkowuje chorego akademika i nie zagraża zakażeniem zdrowych kolegów podczas dalszych studiów. Toteż na 512 leczonych w 1937 r. chorych, odma sztuczną leczylimy 202 osoby. Na podkreślenie zasługuje fakt, że 30% naszych pacjentów pierwotnie prątkujących opuściło Sanatorium w stanie niezakaźliwym dla otoczenia.

II

„W dzieciństwie moim ciągle mi szeptano w uszy tak zwane mądre przysłowia: „Nie dmuchaj pod wiatr!“, „Głową muru nie przebijesz!“, „Nie porywaj się z motyką na słońce!“ Doszedłem później do tego, że silna wola, energia i zapał mogą te właśnie zasady załamać“...

(Józef Piłsudski)



PROF. DR WOJCIECH ŚWIĘTOSŁAWSKI

Minister Wyznań Rel. i Oświecenia Publicznego

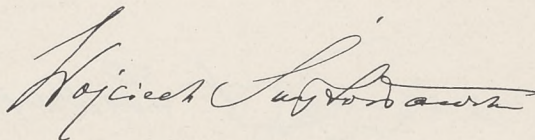
Gdy myślę o Sanatorium im. Józefa Piłsudskiego w Zakopanem, stają mi przed oczami suche, jednak jakże wymowne zestawienia statystyczne.

Badania lekarskie przeprowadzone przez specjalną Komisję przy czynnym współudziale Departamentu Sanitarnego Ministerstwa Spraw Wojskowych wykazały, że zaledwie 30% młodzieży szkolnej posiada budowę ciała i stan zdrowia zupełnie zadowalniający, 4% stanowią chorzy, którzy w późniejszym życiu będą zapewne zmuszeni korzystać z pomocy społeczeństwa. Pozostaje grupa bardzo liczna młodzieży, stanowiąca niemal $\frac{2}{3}$ ogółu, która mimo tych czy innych braków fizycznych i skłonności do schorzeń, posiada wszelkie dane, aby w przyszłości stać się użytecznymi obywatelami swego kraju. W tej grupie młodzieży znajdują się również studenci wyższych uczelni akademickich.

Wiemy jednak wszyscy, jak wiele braków finansowych a często nawet nędza komplikuje życie przeciętnego akademika, po ukończeniu zaś studiów w jak niesłychanie prymitywnych warunkach musi on nieraz pełnić pracę zawodową, niszcząc swój niezbyt mocny organizm i tym samym skracając swe życie.

Tę smutną rzeczywistość życia polskiego potwierdzają dane statystyczne dotyczące długowieczności, gdyż jest ona w Polsce, w porównaniu do innych krajów Europy, znacznie obniżona i wynosi zaledwie lat 48. Społeczeństwo nasze powinno zrozumieć, że twórcza i produkcyjna praca zależy w znacznej mierze od warunków, w jakich człowiek pracuje, że człowiek wyczerpany fizycznie podlega schorzeniom, których mógłby uniknąć, mając normalne warunki życia.

Sprawa przedłużenia przeciętnego wieku obywateli Rzeczypospolitej — to sprawa pierwszorzędnej wagi i to zadanie spełnia właśnie każde Sanatorium, a więc i Akademickie im. Józefa Piłsudskiego, ratując zdrowie, a często nawet życie ludzi, którzy z tych czy innych powodów osłabili swój organizm i potrzebują dlań wypoczynku, pomocy i regeneracji straconych zasobów sił fizycznych. Rola Sanatorium Akademickiego jest tym ważniejsza, że opiekuje się ona młodzieżą akademicką, a więc tą, która ma z natury rzeczy objąć kierownicze stanowiska i pracować z czasem nad rozwojem Polski i jej kultury duchowej. Sanatorium ratuje zdrowie młodzieży, spełnia więc najbardziej zaszczytne posłannictwo humanitarne i społeczne.



MARIAN ZYNDRAM-KOŚCIAŁKOWSKI

Minister Opieki Społecznej

Sanatorium Akademickie jako jedno z niezbędnych ogniw w łańcuchu instytucyj przeciwegruźliczych winno być tak urządzone, by młodzież przebywająca tam dla odzyskania zdrowia nie tylko miała najlepszą opiekę lekarską, ale również była otoczona rodzinną troskliwością i atmosferą braterskiej życzliwości tak bardzo potrzebną dla odzyskania pełni sił fizycznych i duchowych.

Sanatorium Akademickie w Zakopanem ma wszelkie warunki, aby być takim właśnie zakładem przywracającym młodzieży zdrowie fizyczne, odporność życiową, optymizm i pełną zdolność do pracy i czynu.

M. Kościółkowski

KS. BISKUP PROF. DR ANTONI SZLAGOWSKI

Kojarzy się tu życie z młodością, ale niestety i z chorobą.

Co młodość dała, niemoc odebrać się sili. —

Młodość radości przysparza, niemoc smutkiem napęlnia.

Młodość podnieca, niemoc przygnębia.

Niemoc napada, młodość i życie bronią się, wszystkich sił dobywają, aby ostać się i zwyciężyć. —

W tych zapasach przychodzi im ze skuteczną pomocą wielowładna wiedza współczesna, opatrzona we wszelakie środki lecznicze, opieka staranna i stała, podtrzymywana serdeczną troską o młode życie zagrożone.

A to życie i młodość jest skarbem dla akademika najcenniejszym, wiążą się z nimi często i zdolności nieprzeciętne, umiłowanie wiedzy i wielkie nadzieje na przyszłość.

Życie to i młodość jest skarbem narodowym, bo w nich tkwi zadatek przyszłej pracy i zasług, na które czeka cała Ojczyzna utęskniona.

Daj Boże, aby każde życie i młodość każda odnosiły tu pożądane, a chwalebne zwycięstwo na hejnał wielkiej przyszłości naszej.

Życie chce żyć, młodość chce działać. Życie ma prawo żyć, a młodość ma prawo bujne swe zapędy urzeczywistniać.

Życiu więc należy dać możność żyć, a młodości działać.

Boże błogosław życiu i młodości.

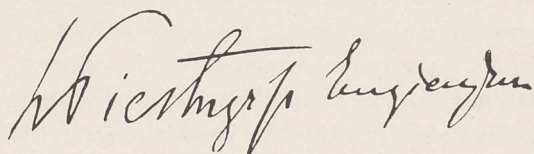
+ Biskup Antoni Szlagowski

DR EUGENIUSZ PIESTRZYŃSKI

Wiceminister Opieki Społecznej

Kilkuletnia obserwacja pracy Sanatorium Akademickiego im. Józefa Piłsudskiego w Zakopanem, wśród naszej młodzieży od lat wielu zwanego „Bratniakiem“, pozwala mi na jak najlepszą ocenę wartości leczniczych i społecznych „Bratniaka“. — Nasza młodzież akademicka winna niezapomnianą wdzięczność tym, którzy ongiś powstanie „Bratniaka“ inicjowali, tym, którzy Sanatorium do obecnego stanu doprowadzili, i tym, którzy się nim dalej opiekują. — O potrzebie prowadzenia Sanatorium, o konieczności powiększenia ilości łóżek dla chorego polskiego akademika mówić jest zbytecznym.

Oby przyszłość najbliższa była dla nas starszego pokolenia i dla Was młodych łaskawsza, a skoro nauka nie może doszczętnie zniszczyć wroga ludzkości — gruźlicy, niechaj ci, którzy zostaną przez tego wroga ranni, znajdą wszyscy potrzebną pomoc w „Bratniakach“. Nie wątpię, że za opiekę odpłacą stokrotnie społeczeństwu po powrocie do zdrowia swą wyteżoną pracą dla Dobra Najjaśniejszej Rzeczypospolitej.



PROF. DR INŻ. ANDRZEJ PSZENICKI

Prezes Rady Nacz. T. P. M. A.

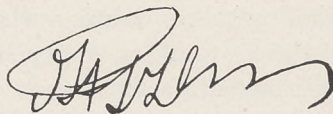
Z okazji 35-lecia pracy Sanatorium Akademickiego im. Józefa Piłsudskiego w Zakopanem nie mogę oprzeć się chęci, by nie wyrazić swego dla tej placówki uznania.

Wspaniały gmach, dzieło pracy i wysiłków b. Rady Naczelnej Pomocy Młodzieży Akademickiej, dzieło ofiarności społeczeństwa i Rządu, chlubną w swych dziejach poszczycić się może pracą.

Jako profesor i Prezes Rady Naczelnej Towarzystwa Przyjaciół Młodzieży Akademickiej poznałem wroga młodzieży — GRUŻLICĘ.

T-wo P. M. A., doceniając rolę, jaką w walce z gruźlicą odgrywa Sanatorium Akademickie, otoczyło tę placówkę szczególną opieką. — Rezultaty są już dziś widoczne, młodzież korzysta w całej pełni z pomocy sanatoryjnej, i brak miejsc dla potrzebujących.

Rada Naczelna T-wa, której mam zaszczyt prezydować, nie będzie szczędzić swych trudów i zwróci się do społeczeństwa o pomoc, by wykończyć budowę, by wszyscy potrzebujący pomocy sanatoryjnej, a chorzy na gruźlicę korzystać mogli z tego naszego doskonałego sanatorium.



W ZAKOPANEM — DWA ŚWIATY

Gdy myślą biegnę do Zakopanego, w cudny kraj pod Tatrami, dokąd wciąż od nowa wzbierająca tęsknota tak często zda się wołać, zawsze tam widzę dwa światy. Jeden, obdarzony przez Boga w czary i w pełne mocy piękno natury, gdzie człowiek nawet bardzo znękany, przygnębiony i zmęczony przez troski i trudności życia, odzyskuje swobodę i siłę ducha, poczucie wolności i potrzebę wzlotów. — Nie potrafią mu zepsuć tego odradzania się nawet szpetoty i tandety pseudokultury zakopiańskiej, która boli i gniewa, lecz o której się zapomina wobec wspaniałej krasy gór i lasów. — Wśród zgiełkliwych zaś tłumów międzynarodowych na ulicach zakopiańskich, nawiedzonych ponad miarę przez do głębi przejmującą inwazję żydostwa, można nierzadko dostrzec ten świat ludzi innych a złączonych nierozzerwalnymi węzłami właśnie z Zakopanem: ludzi nauki, kultury i sztuki, ludzi gór, ludzi, szukających i znajdujących tutaj ukojenie i odświeżenie myśli, zbliżenie się i wniknięcie do kręgu nieposkromionej i nie zawsze łatwej do przezwyciężenia przyrody, wejście w szranki podnoszącej wartości moralne walki z ścianami i graniami skalnymi, wśród których o tyle łatwiej znaleźć się zarówno wobec własnej małości i ułomności, jak i wobec wielkości, potęgi i niezmierzoności Stwórcy. To jeden świat.

A drugi — to świat nadziei, świat zmagania o zdrowie, świat zwycięstw nad wrogami młodości i jej przyszłości, świat skoncentrowanych wysiłków umysłu, wiedzy i woli w walce z gruźlicą. — Dumnie i pogodnie wznoszą się bastiony tej bezustannej walki: Sanatorium Nauczycielstwa Polskiego, „Odrodzenie“ i „Bratniak“ polskiej młodzieży akademickiej, współzawodniczące ze sobą chyba tylko dążeniem ku słońcu, ku widokom górskim, ku czystości powietrza.

Na tym ważnym froncie walki z gruźlicą zwartą armię stanowią: młodzi pacjenci, przepojeni wiarą i wolą życia i możliwości aktywnej, twórczej pracy, oraz lekarze, uzbrojeni w ostatnie zdobycze nauki, w zrozumienie i miłość młodości, w nieprzepartą troskę o poprawę zdrowia ciała i duszy swoich kuracjuszków, w cierpliwość, szczerość, prostotę i pogodę w codziennym współżyciu z chorymi. — Walka rozgrywa się na całym froncie o jednostkę, która jest najcenniejszym obiektem opieki, wytężonego starania i nieustannej myśli. — A wśród sztabu lekarzy toczy się nadto ciągła walka z szablonem leczenia, z brakami urządzeń i aparatów leczniczych, z niedostatkiem finansów, krępującym tak często zindywidualizowanie zabiegów i pomocy leczniczych. — Istnieje nadto armia odwodowa, daleka nieraz od Zakopanego, ale „Bratniakowi“ tak bliska: to zastępy przyjaciół, profesorów i kolegów, którzy z dużym zazwyczaj wysiłkiem starają się ulżyć „Bratniakowi“ w zakresie najważniejszych nieomogów i potrzeb. Tu rozciąga się niejednokrotnie pole głębokiej i ofiarnej bratniej miłości i pomocy, cichego nieraz bohaterstwa, odejmowania sobie dla „Bratniaka“ nawet kęsa chleba. W pomocy bliźniemu, w trosce o los i zdrowie kolegów, w głęboko chrześcijańskiej chęci dzielenia się z kolegami nawet mizernymi własnymi dochodami, — wyczuwa się wzruszającą u polskiej młodzieży akademickiej potrzebę realizowania idei braterstwa i zrozumienie konieczności ratowania dla narodu często najlepszych, najbardziej twórczych i silnych moralnie istnień. — Na powszechności ruchu bratniackiego można budować i można nań liczyć

w najcięższych nawet chwilach. — I do wzmagania go nie trzeba zgoła nawoływać; ruch ten zawsze istniał i zawsze trwać będzie, bo porywom szlachetnym młodzieży nie ma końca. A to musi dawać i „Bratniakowi“ zakopiańskiemu, jako instytucji, i kolegom-kuracjuszom, jako serdecznej i ważnej dla Polski treści istnienia, życia i rozwoju „Bratniaka“ dużo satysfakcji, pewności w działaniu i serdeczności w kontaktach osobistych, jako też i swobody w żądaniach i wezwaniach. To poczucie wzmacnia bardzo znacznie morale całej zwartej armii w walkach frontowych z gruźlicą i zapewnia jej stanowcze zwycięstwo.

A gdy następuje najbardziej pożądanym i przez wszystkich oczekiwany etap zwycięski, w którym dokonywa się przejście z zamkniętego świata sanatoryjnego w otwarty świat swobodnego korzystania z darów Bożych, z nieprzebranych bogactw natury i kultury, wówczas dokonywa się wielki akt obiektywnego spełniania się, ziszczania się Bratniej Pomocy dla dobra jednostki, częstokroć tak cennej dla Polski. A że ten czyn dokonywa się niemal co dnia i to już od lat kilkudziesięciu, więc polska społeczność akademicka wzrasta ciągle w zastępy członków uzdrowionych fizycznie, pogłębianych duchowo i ulepszonych moralnie choćby o uczucie niezniszczalnej wdzięczności Bogu i ludziom, oraz gotowości do wzajemnej pomocy swym następcom, których łańcuch niestety wciąż jest nieprzerwany.

Tak w pewnych chwilach zwierają się te dwa światy w Zakopanem. Niechaj więc te szumy drzew i potoków, te góry i krzesanice wapienne i granitowe, opromienione blaskami słońca, fioletowawe, czerwieniejące czy srebrzące się czapami śniegów i lodów, będą dla mieszkańców uzdrowisk na stokach Gubałówki symbolem siły fizycznej i radości życia, zapowiedzią powrotu do zdrowia i do ożywionego działania dla dobra Ojczyzny, do czego mają drogę otwartą na oścież wszyscy z „Bratniaka“, dzięki wyteżonej i skutecznej walce z gruźlicą lekarzy i kuracjuszów, oraz dzięki nieustającej, gorącej i z serca płynącej „Bratniej Pomocy“, która potrafi cuda działać.

Włodzisław Antkowiak

KS. ALEKSANDER WÓJCICKI
Rektor Uniwersytetu Stefana Batorego

O Z D R O W I E A K A D E M I K A

„Wiek nasz będzie miał więcej niż inne stulecia starania o maluczkich. — Niepokojony troską pójścia im z pomocą, będzie czynił trzy wielkie rzeczy: będzie zwalczał chorobę, nędzę i ciemnotę“.

Te słowa wielkiego Pasteur'a wskazują na konieczność fizycznego wychowania nowych pokoleń w murach szkoły w ogóle, a w wyższej w szczególności.

Już młodzi Rzymianie z surową nauką łączyli dyscypliny, które urabiały ducha, ćwiczenia jazdy konnej, marszu, biegu, walki, oręża. — Kiedy w wieku 17 lat życia przedsiębiorali „Tirocinium Militiae“, byli gotowi fizycznie i moralnie otrzymać tytuł i stopień legionisty.

Tacyt przypomina, że za IV-go Konsulatu Nerona i Korneliusza Cossusa Rzym zorganizował „Ludi quinquennales“, mające te same cele, co greckie olimpiady.

Wiedza nowoczesna potwierdziła konieczność tego wychowania.

Twórca współczesnej eugeniki Franciszek Galton rozumiał eugenikę, jako naukę o uszlachetnieniu rasy i dał temu wyraz w swej pracy, ogłoszonej w r. 1869 p. t. „O dziedziczeniu geniuszu“. — W ciągu swej 40-letniej pracy badał Galton właściwości duchowe szeregu rodzin i doszedł do przekonania, że grupy lepiej rozwinięte fizycznie, umysłowo i etycznie muszą zdobyć przewagę nad niżej stojącymi.

Naukę tę pierwsi w lot chwycili Niemcy: wszystkie bez wyjątku rządy niemieckie zawsze popierały publiczne czy po wojnie tajne stowarzyszenia, mające na celu kształcenie dla ojczyzny ludzi o sercu mocnym i mięśniach wytrenowanych. — Obchodzono tam rocznice Steinów, Scharnhorstów, Gneisenauów, zachowując wierność przykładowi, jaki otrzymali z przed wielu laty.

W dziedzinie wychowania choroba, na którą trzeba znaleźć lekarstwo, jest o wiele cięższa jeszcze z powodu jej głębokości i ze względu na następstwa. — Musimy wychować rasę zdrową, przeto nie można wychowania fizycznego pominąć milczeniem. — Już trzeba uważać za przesadną formułę Herberta Spencera „pierwszym warunkiem pomyślności narodowej to być narodem dobrych zwierząt“.

Ale obojętność Polaka dla wychowania i kultury fizycznej nie polepszy naszej rasy. Nie wolno nam zaniedbywać nic w dziedzinie sportów, dobrze rozumianych zawodów i tworzenia zakładów racjonalnej profilaktyki w dziedzinie ochrony zdrowia młodzieży akademickiej.

U sportowców pomyślnie rozwinęły one zamięłowanie do wysiłku, ducha zespołowego i lojalnej gry, jak również rozszerzenie tak pożądane stosunków naszej młodzieży z młodzieżą zagraniczną. Niekiedy dzienniki polskie umieszczają fotografie naszych atletów w ruchu, które przypominają piękno i harmonię statui antycznych. Ale są to wyjątki. — By przekonać się o tym, wystarczy rzucić dokoła siebie wzrokiem: ilu młodych ludzi jest już bez sprężystości, bez giętkości: ile kroków ociężałych, zgarbionych grzbietów!

A cóż dopiero mówić o tysiącach akademików anemicznych, wynędzniałych, zagrożonych gruźlicą! Jeśli Sanatorium nie da im pomocy, młode to życie zwiędnie, zniknie do reszty i na nic pójdą całe lata studiów.

Sanatorium Akademickie tedy spełnia już nie tylko funkcję dobrego Samarytanina, ale przede wszystkim funkcję wysiłkową organizmu narodowego, który broni się przed groźbą utraty swych najcenniejszych sił po to, aby zachować je i rozwinąć jako najdroższy skarb Narodu. — Każdy więc, kto przyczynia się w czymkolwiek do rozwoju Sanatorium Akademickiego, tym samym przymnaża nowych sił polskiej elicie społecznej, która w odrodzonej Polsce stanowi niczym niezastąpioną dźwignię wszechstronnego postępu materialnego, duchowego i państwowego naszej Wielkiej Ojczyzny.

Alexander Wójcicki

PROF. DR ADOLF JOSZT

Rektor Politechniki Lwowskiej

Kto wspomni, w jakich warunkach spędzała najmłodsze swe lata nasza dzisiejsza młodzież akademicka, kto patrzy na bardzo ciężkie nieraz i nędzne warunki życia, w jakich ona dziś uczy się i pracuje — tego nie zdziwi, a tylko głęboko zasmuci i wielką troską o przyszłość napelni jej zdrowotny stan. Jakże konieczną zatem, największej wagi i znaczenia społecznego i narodowego pełną rolę odgrywa zakopiańskie Sanatorium Akademickie!

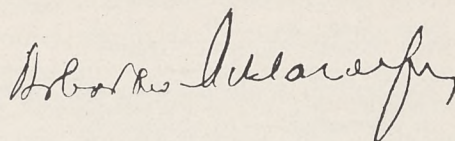
Jest więc obowiązkiem obywatelskim największej miary pamiętać o szczytnej, często zbawczej misji tego Sanatorium, wspierać je czynnym wysiłkiem, materialnie wspomóc w rozwoju, by jak najprędzej znikły smutne kolejki akademików, oczekujących możliwości dostania się tam i ratowania swego zdrowia tak bardzo Polsce potrzebnego.

BOLESŁAW MIKŁASZEWSKI

Rektor S. G. H. w Warszawie

Od wielu pokoleń Młodzież Polska stawiała do apelu w walce o Niepodległość i w obronie granic Rzeczypospolitej. Trudy wojenne oraz wytężona praca nad zdobyciem najwyższych uzdolnień do twórczego wysiłku dla dobra Państwa, spowodowują często utratę zdrowia.

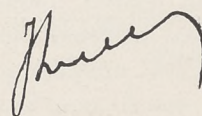
Zdrowie młodzieży powołanej w przyszłości do wzmocnienia przez wytężoną pracę podstaw bytu Państwa, jest troską całego społeczeństwa. — Stąd konieczność otoczenia opieką instytucji, służącej temu właśnie celowi.



PROF. DR J. ZAWADZKI

Rektor Politechniki Warszawskiej

Przepraszając za opóźnienie w nadesłaniu odpowiedzi na pismo Komitetu z dnia 5 b. m. spowodowane nawałem pracy, miło mi jest stwierdzić, że w łańcuchu instytucji walczących z jednym z najgroźniejszych wrogów ludzkości — gruźlicą, Sanatorium Akademickie im. Józefa Piłsudskiego w Zakopanem winno się cieszyć specjalną miłością i opieką społeczeństwa, gdyż obrało sobie za cel obronę przed tym wrogiem największej nadziei narodu — młodzieży akademickiej, otaczając ją atmosferą komfortu, czulej opieki i troskliwości prawie rodzinnej.



INŻ. W. J. TAKLIŃSKI

Rektor Akademii Górniczej w Krakowie

Zdrowie bezsprzecznie jest najcenniejszym skarbem, jaki człowiek posiadać może i dlatego każda instytucja dbająca o podniesienie zdrowotności społeczeństwa zasługuje na pełne poparcie.

Ponieważ zaś młodzież akademicka stanowi kwiat i przyszłość Narodu i Państwa i od stanu jej zdrowia zależy cała przyszłość, dobrobyt i rozwój społeczeństwa, przeto Sanatorium Akademickie im. Józefa Piłsudskiego w Zakopanem, które systematycznie i skutecznie od tylu lat walczy o zdrowie młodej społeczności akademickiej, zasługuje zawsze a szczególnie w dobie obecnej na jak najpełniejsze i najgorętsze popieranie jego celów i pracy, tak cennych dla całego społeczeństwa.

W. J. Takliński

X. A. SZYMAŃSKI

Rektor Katol. Uniwersytetu Lubelskiego

Sanatorium im. Józefa Piłsudskiego w Zakopanem oddaje wielkie usługi młodzieży akademickiej, broniąc ją przed tak groźną i bardzo rozpowszechnioną chorobą gruźlicy. Spełnia to zadanie dzięki nowoczesnym urządzeniom i troskliwej opiece lekarskiej w wielkim gmachu, wybudowanym w świetnym miejscu. Obok doskonałych warunków odpowiednia opieka moralna i religijna wpływać zawsze będzie dodatnio na stan psychiczny chorych.

WŁADYSŁAW SOŁTAN

b. Prezes Rady Naczel. T. P. M. A.,
Prezes Polskiej Macierzy Szkolnej

Korzeniem społeczeństwa jest przeszłość, zaś jego koroną — przyszłość.

A przyszłość — to młodzież!

O ile młodzież kształcić i rozwijać się będzie w warunkach normalnych, zdrowotnych i kulturalnych, o tyle przyszłość narodu rozkwitnie jasna, potężna i nieskażona.

Nie dajmy młodzieży marnować się i ginąć na manowcach nędzy, zwątpienia, daremnych wysiłków ku wyższym celom.

Podajmy jej silną dłoń starszej braci i wspólną pracę rzetelną, ofiarną a wierną, idźmy razem. —

Ku życiu, ku mocy, ku światłu!

* * *

Sanatorium Akademickie w Zakopanem, przedmiot mojej serdecznej troski od chwili powstania myśli o jego budowie, jest obecnie żywym potwierdzeniem mego głębokiego przekonania, że tylko zespolonymi siłami starszego i młodszego pokolenia da się wzniesć gmach mocny, trwały i z zamierzonym celem zgodny.

Niechże i nadal, nie tylko przy dokończeniu tego gmachu, ale przede wszystkim przy wykonywaniu wielkich zadań narodowych utrwała się rzetelna współpraca obu pokoleń.

Sołtan

PROF. DR FR. CZUBALSKI

Proroktor Uniwersytetu J. Piłsudskiego,
Przewodniczący Komisji Opieki Zdrowotnej T. P. M. A.

Dziękując serdecznie inicjatorom wydania publikacji o Sanatorium Akademickim im. J. Piłsudskiego w Zakopanem za zwrócenie się do mnie z racji mej działalności na terenie opieki zdrowotnej nad młodzieżą akademicką o skreślenie kilku słów co do znaczenia i roli tej instytucji w życiu akademika, chętnie pospieszam życzeniu temu zadość uczynić.

Opieka zdrowotna nad młodzieżą akademicką jest bezspornym obowiązkiem starszego społeczeństwa, a w szczególności tych, których los postawił najbliżej tej młodzieży — jej wychowawców i nauczycieli tj. profesorów. — Spełnienie tego obowiązku jest dobrze pojętą pracą społeczną i państwową na jednym z najważniejszych odcinków życia narodowego, sięgającą poprzez młodzież w przyszłość narodu. — Toteż troska o zdrowie naszej młodzieży akademickiej, studiującej w przeważającej liczbie przypadków w niezwykle ciężkich warunkach materialnych i moralnych, jest dźwignią pracy, która z natury swej nie może budzić w nikim żadnych zastrzeżeń, oporów, czy protestów. — Przeciwnie, praca ta wnosi w tak wrażliwe środowisko akademickie pewną dozę ukojenia i spokoju, — zmniejsza cierpienie, budzi otuchę, wyzwala mdlejącą energię chorego i opuszczonego człowieka, któremu bezinteresownie podano rękę pomocną. — Praca ta napewno rozładowuje psychicznie wiele zgorzknienia i niechęci, które musiałyby się w przeciwnym razie nagromadzić i budzi raczej uczucia radości, życzliwości czy nawet wdzięczności. — Wychowuje ona również człowieka, stawiając mu przed oczy przykład osobistej bezinteresowności oraz korzyści, wypływających z solidarnego działania społecznego.

Czynniki te rodzą niewątpliwie w duszy każdego akademika, któremu los narzucił konieczność szerszego korzystania z opieki zdrowotnej, często nawet podświadome przygotowanie psychiczne do pracy społecznej w przyszłości — powstaje w nim chęć spłacenia swym następcom długu moralnego, dziś zaciągniętego. — Na tle całokształtu opieki zdrowotnej nad młodzieżą akademicką wybija się niewątpliwie rola centralnego Sanatorium Akademickiego w Zakopanem, którego zadaniem jest nieustępliwa i jak najskuteczniejsza walka z tak groźną chorobą, jak gruźlica. Gruźlica dotyka masy, grozi wyrwaniem młodego życia z szeregów, kto wie, może niezwykle cennego przez swe uzdolnienie i walory moralne dla przyszłego rozwoju i wielkości narodu. — Któż w tych warunkach, mający w sobie choć trochę poczucia więzi społeczno-narodowej i odpowiedzialności za przyszłość, mógłby być obojętny. — Rozumieli i odczuwali to zasłużeni inicjatorzy budowy Sanatorium, rozumieli to także ci, na których barki i sumienia spadł dzisiaj ciężar opieki nad zdrowiem polskiego akademika. Początkowo, dzięki usterkom organizacyjnym Sanatorium to, zbudowane dużym wysiłkiem dobrej woli i dużym kosztem, nie było w całej pełni wyzyskiwane na rzecz akademików, nie dziw więc, że tu i ówdzie rozlegały się nieraz głosy, czy taka właśnie forma realizacji pewnych celów opieki zdrowotnej nad młodzieżą akademicką była w naszych warunkach najodpowiedniejszą. — Ten stan rzeczy należy już do przeszłości. Dzisiaj Sanatorium Akademickie im. J. Piłsudskiego w Zakopanem, dzięki lepszej i bardziej celowej organizacji przydziału wolnych miejsc, służy przez cały rok jedynie polskiemu akademikowi, przywracając mu zdrowie i siły do pracy i nie obciążając go ponad miarę finansowo.

Nie ma już miejsc niezajętych — przeciwnie w pewnych okresach roku miejsc tych jest za mało w stosunku do istotnych potrzeb świata akademickiego. Toteż obecnie kierownictwo akcji zdrowotnej odczuwa jako głęboką troskę i ciągły wyrzut sumienia, że pewna część Sanatorium do obecnej chwili nie jest wykończona. — Całe społeczeństwo wraz z czynnikami rządowymi faktem tym powinno się zainteresować i musi pomóc do jak najszybszego ukończenia niewyzyskanej części Sanatorium, co umożliwi zaspokojenie potrzeb chorego akademika z jednoczesnym obniżeniem kosztów utrzymania i prowadzenia zakładu. — Życzę Wam z całego serca, aby Wasza publikacja, zrodzona z miłości do instytucji i jej znakomitego Kierownika, trafiła do serc i umysłów wszystkich ludzi dobrej woli, którym los polskiej młodzieży akademickiej nie może być obojętny i dając plon obfity, umożliwiła dokończenie dzieła, które powstało z najszlachetniejszych pobudek i dobrze pojętej miłości narodu.

Fr. Łukowski

WŁADYSŁAW RACZKIEWICZ

b. Marszałek Senatu, Wojewoda Pomorski,
b. Prezes Rady Naczelnej T. P. M. A.

Gruźlica jest jedną z największych klęsk społecznych, niszczącą dobrobyt niezliczonych jednostek i rodzin, zabierającą społeczeństwu olbrzymie rzesze ludzi w najbardziej czynnym i produktywnym okresie ich życia. Dlatego też sprawa zwalczania gruźlicy jest nie tylko zagadnieniem humanitarnym i lekarskim, ale i zagadnieniem społecznym, wymagającym zbiorowego i zorganizowanego wysiłku wszystkich obywateli Państwa.

W imię tych wielkich zadań zbiorowym wysiłkiem zostało powołane do życia Sanatorium Akademickie im. Józefa Piłsudskiego w Zakopanem.

Z radością należy podkreślić, że wysiłek, jaki włożony został w utworzenie tego zakładu, dał w rezultacie wielkie osiągnięcie, a rozwijające się stale Sanatorium może pochwycić się dziś, że podjęta pionierska praca daje owocne wyniki w walce o zdrowie drogiej nam młodzieży akademickiej.

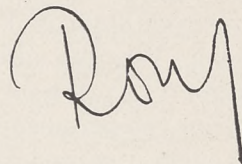
Władysław Raczyński

GEN. BRYG. DR STANISŁAW ROUPPERT

Szef Departamentu Zdrowia M. S. Wojsk.,
Wiceprzewodniczący Rady Naukowej Wych. Fiz.

Bratnia Pomoc rozumiana słusznie w sensie ratowania najcenniejszego skarbu każdego człowieka, jakim jest zdrowie, posiada istotną wartość w życiu społeczeństwa.

Sanatorium Akademickie im. Marszałka Józefa Piłsudskiego w Zakopanem, nazwane „Bratniakiem“, ratując zdrowie młodzieży spełnia wielkie zadanie wobec społeczeństwa — chroni bowiem jego Nadzieję — Młodzież.



GEN. BRYG. A. HUBICKI

b. Minister Opieki Społecznej,
b. Prezes Rady Nacz. T. P. M. A.

Polska jest krajem szczęśliwym — bo jest w posiadaniu najcenniejszego na ziemi surowca — posiada olbrzymi zasób ludzi. — Surowiec, jeżeli nie lepszy od surowca ludzkiego innych krajów, to na pewno jeden z najlepszych.

Polska jest krajem nieszczęśliwym — bo nie umie należycie zużyć tego surowca.

Ta dysproporcja jest chyba najbardziej zasadniczą cechą obecnej Wielkiej Tragedii Polski.

Surowiec ludzki w Polsce marnuje się. Tu i ówdzie złoża jego gniją, lub tłą się niebezpiecznie.

Zdrowy instynkt narodu wyczuwa, że w takich miejscach szerzą się ogniska niebezpieczeństwa, zagrażające spokojowi, a nawet całości niedawno odzyskanej Niepodległości. — I ktoś, prawie zawsze na ochotnika, stara się doraźnymi środkami tłumić zarzewie, lub uzdrawiać miejsca zakażone.

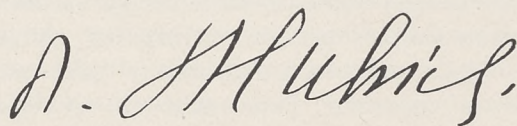
Słabe nieskoordynowane wysiłki. — Odruchy raczej, niż świadome i planowe poczynania.

Takim odruchem ratowniczym jest maleńka komórka dobrej woli społeczeństwa, upostaciowana w instytucji zwanej: Sanatorium Akademickie im. Józefa Piłsudskiego w Zakopanem.

Instytucja, jakże bardzo nikła dla całości wielkiego zagadnienia społecznego, którym jest Zdrowie Polskiej Młodzieży Akademickiej, a jednocześnie jakże wielka, w przerażającym miarę swych środków, wysiłku.

Patrzę od lat paru na pracę ludzi dobrej woli i tych, którzy tam wewnątrz Sanatorium trudzą się nad przywracaniem Polskiej Młodzieży zdrowia i tych, którzy z olbrzymim wysiłkiem zabezpieczają możliwość egzystencji tej placówki.

Patrzę i wiem, że jak jedni tak i drudzy stoją bardzo samotni na tym przyczółku walki z potężnym wrogiem człowieka — gruźlicą. — Bo dbanie o zdrowie ogółu ludzi w Polsce nie jest jeszcze w świadomości społeczeństwa obowiązkiem, lecz natrętnym ciężarem, chętnie spychanym na barki słabych organizacyj lub wręcz jednostek.



WACŁAW SIEROSZEWSKI
Prezes Polskiej Akademii Literatury

P A M I Ę C I S I L N Y C H D U C H E M

Długi czas Zakopane było „salonem“ myśli polskiej. Chorzy niejednokrotnie leczyli tam nie tylko ciało, ale i duszę.

Długi czas Dom Bratniej Pomocy był schroniskiem, do którego zła choroba spędzała z różnych krańców Polski i z różnych sfer młodzież różnych zawodów, zdolności i przekonań. Wspólna niedola, wspólne życie, wspólne braki i wspólne radości, wspólność leczniczych zabiegów i posłuszeństwo tym samym rygorom — pouczyły najbardziej rozrzucone temperamenty do umiarkowania, najbardziej twarde i kanciaste charaktery — do oglady, najzacieklejsze fanatyzmy do tolerancji.

Tu właściwie tworzyła się ta opinia i ten obyczaj koleżeński i dobrotliwy, cechujący lepszą część naszej młodzieży, oraz ten „dowcip na ustach śmierci“, który tak bardzo ułatwiał ciężkie walki na czołowych pozycjach. Dodam, że znaczny procent legionistów byli to właśnie suchotnicy, którym na zasadzie choroby udało się zwolnić z szeregów austriackich...

„Bratnia Pomoc“ odegrała wybitną rolę w tworzeniu się ideologii Legionów, świadczących czynem, iż duch panuje nad ciałem i daje mu zawsze zwycięstwo w walce z materią i liczbą...

DR JÓZEF ŻYCHOŃ

b. długoletni Dyrektor „Bratniaka“
zakopiańskiego i jego członek założyciel

Kochani Panowie!

Zawiadomiliście mnie pisemnie, a potem i ustnie, że „grono Kuracjuszy Sanatorium Akademickiego im. Józefa Piłsudskiego („Bratniak“) w Zakopanem ma zamiar w porozumieniu z Dyrektorem Sanatorium Drem Stefanem Jasińskim wydać publikację obrazującą działalność Sanatorium, historię jego powstania, życie sanatoryjne oraz doniosłą rolę, jaką odgrywa w strukturze społecznej.

Celem tej publikacji jest najszersze spopularyzowanie Sanatorium, jako jednej z nieicznych w Europie instytucji walczącej o zdrowie młodej społeczności akademickiej“. Jako do jedyne go żyjącego z tych, co myśl ratowania młodzieży przed gruźlicą już w roku 1900 podjęli i w czyn wprowadzili, zwróciliście się do mnie, „o skreślenie kilku słów, które by akcentowały doniosłą rolę Sanatorium, jaką odgrywało i odgrywa obecnie w życiu społeczeństwa“.

Nie odpowiem na to. Przejrzyjcie Panowie dawne sprawozdania — przestudiujcie statystyki Wasze, które zapewne prowadzicie, a znajdziecie na to pytanie wyczerpującą odpowiedź. Stwierdzicie, że wielu, bardzo wielu zawdzięcza życie i zdolność do pracy temu Waszemu Zakładowi. Więc piszcie o tym sami.

Ja pragnę dzisiaj zwrócić uwagę na inne rzeczy — nie bezpośrednio — ale pośrednio z powstaniem i życiem tej Instytucji związane.

Organizacja tego Zakładu od pierwszej chwili istnienia miała kolosalne wychowawcze znaczenie. Podawanie ręki choremu koledze, zaopiekowanie się nim serdeczne

i oddanie go do odpowiednio prowadzonego Zakładu, gdzie znajdował pomoc bratnią, to była idea, która wydała owoce.

Bo nie obchodziły nas nigdy przekonania pacjenta, tylko i jedynie stan jego zdrowia. I jakże cudownie te różne przekonania się wyrównywały, i jakże wytwarzało się i pogłębiało prawdziwe koleżeństwo! Nie myślę się chyba, że to było powodem, iż tylu naszych pacjentów zajęło tyle wybitnych stanowisk w odrodzonej Polsce.

Twierdzę, że Sanatorium nasze nie tylko leczyło, ale i wychowywało ludzi. Dotąd mówi się ciągle o walce z gruźlicą, o konieczności ustawy, tę walkę normującej — ale jeszcze tej ustawy nie ma. A więc było nieprawdopodobieństwem czekać z rozpoczęciem tej walki na wydanie odpowiednich paragrafów. Pierwsza zrozumiała to młodzież polska i pierwsza już przed 37 laty, przez kordony wyciągnęła do chorych kolegów rękę „z pomocą bratnią“. I tak powstało pierwsze w Polsce Sanatorium o charakterze społecznym. Powstało w warunkach trudnych, a jednak nie upadło — przeciwnie rozwijało się i rozrastało i teraz mieści się już w wspaniałym, murowanym gmachu. Przeszło w swym życiu pewne wstrząsy, zmieniło nieco wykreślony przez założycieli kierunek, ale służy zwalczaniu gruźlicy, więc spełnia swoje zadanie.

Ale teraz ja Wam zadam pytanie.

Dlaczego ten Dom nie jest jeszcze wykończony, dlaczego nie mieści tylu chorych — ilu mieścić powinien. Kandydatów przecież nie ubywa — więc niechże ci, którzy wzięli pieczę nad tym Domem na swe barki — zakrzętną się energicznie.

A Wy, Młodzi, pomagajcie. Ja wierzę, że nie ma rzeczy, którejbyście stworzyć nie mogli.

Serdecznie wam tego życzę

Zakopane, w grudniu 1937.

Dr Józef Żychon

DR TADEUSZ GRABOWSKI

Profesor Uniwersytetu Poznańskiego

ROLA SANATORIUM IM. J. PIŁSUDSKIEGO W ŻYCIU MŁODZIEŻY AKADEMICKIEJ

Z postępem materialnej i duchowej kultury, z nagromadzeniem ludzi w miejskich środowiskach, z rosnącym napięciem pracy umysłowej idą w parze rozliczne trudności w utrzymaniu zdrowia stojącej przed mnóstwem zadań a znajdujące się w trudnych ekonomicznych warunkach akademickiej elity. Jej duchowa sprawność zależy przecież od fizycznej, której grożą niebezpieczeństwa, na jakie nie jest narażona w tym stopniu młodzież wsi a nawet miasteczek.

W opiece nad młodzieżą akademicką nie idzie o okazywany chorym ludziom samarytanizm ani o państwową pomoc szpitalną dla ludzi popadłych w trudno uleczalną niemoc. Idzie raczej o zapobieganie chorobie i niemocy u jednostek mających być wkrótce członkami intelektualnej elity. Nie humanitaryzm wchodzi tu w grę, ale obowiązek społeczny względem tych, którzy mają być największym skarbem narodu. Dobrze zorganizowane społeczeństwo nie może nie myśleć o otoczeniu umiejętną opieką lekarską młodzieży, której wykształcenie w zawodzie prawniczym, lekarskim, przyrodniczym, humanistycznym kosztuje państwo olbrzymie sumy.

Wiadomo zaś, że między terapią chirurgiczną i wewnętrzną istnieje duża różnica. Pierwsza jest raczej morfologiczną, druga biologiczną. Jeżeli chirurgiczna dokonywa zmian w anatomicznym składzie ludzkiego ciała, wewnętrzna ma na oku życiowe przebiegi i organiczne funkcje a zmierza do doprowadzenia zachwianej równowagi ustroju do normy.

Na przebiegi i funkcje można zaś działać całym splotem podniet, które mogą być naturalne lub sztuczne, jak powietrze, światło, woda, leki i zabiegi. Cały szereg podniet składa się na to, by chorzejący organizm uzdrowić, usprawnić, unormować.

By tego dokonać, trzeba organizmowi dostarczyć fizycznych i psychicznych podniet, które odbudują nadniszczoną fizyczną a także duchową strukturę jednostki. Jeżeli powietrze, światło, woda, higiena, komfort są jej niezbędne, do psychicznych wypadów zaliczyć przyjazną atmosferę otoczenia, którą słusznie nazwano ważnym komfortem chorego. Bez niej nie mógłby on bronić się skutecznie przed niemocą. Jeżeli już niegdyś wielki klinicysta Charcot powiedział, że wiara i modlitwa wytwarzają psychiczną pomoc choremu, niemniej znaczy tu i ludzkie serce dyrektora sanatorium oraz całego lekarskiego personelu.

Do pełnego rozwoju dynamiki środków lekarskich, jest jeszcze daleko. Często waży wśród nich intuicyjna wnikliwość niż świadome stosowanie mniej lub więcej uznanych metod. Skomplikowane zaś są indywidualne struktury ludzkie, skoro człowiek jest w ogóle największą zagadką życia a nie martwym i szablonowym schematem. Psychiczna terapia jest dla niego często bardziej cenną od biologicznej, jeżeli ma odzyskać swą dawną życiową siłę. Kto umie je stosować, jest większym dobroczyńcą od mistrzów na katedrach uniwersyteckich. Tamten leczy ciało i ducha, ci rozwijają drogą zabiegów intelektualnych jego zawodowe przygotowanie.

Kto poznał, jak podpisany, terapię stosowaną w sanatorium, kierowanym przez dr Stefana Jasińskiego, nie może nie stwierdzić publicznie, że spełnia ono wzniosłą misję społeczną w odrodzonym państwie polskim.

Wie zaś, jak opuszczoną, zaniedbaną, skazaną na cierpienie i śmierć była akademicka młodzież przedwojenna. Nowa Polska nie mogła stanąć w tyle poza innymi narodami. Musiała stworzyć instytucję, która poparta przez rząd i ofiarne ciało profesorskie, dałaby młodzieży to, czego odmawiały jej rządy zaborcze. Nie samarytanizm, nie humanitaryzm, ale zdrowy instynkt społeczny pozwolił zrealizować dzieło niepodobne niczym do przedwojennych fundacyj, które wychodziły tylko na korzyść zarządzającego personelu.

Antyczna mitologia przekazała nam legendę, że Apollo był ojcem boga medycyny Asklepiosa. Apollo i Asklepios wiązali się zaś z Heliose, jako personifikacje — wszechpotężnej siły słońca. Trzeba teraz zapytać, czy medycyna odnosząca triumfy w zakopiańskim sanatorium nie ma w sobie coś boskiego, nadludzkiego, apollinijskiego w swej terapii chirurgicznej, biologicznej i psychicznej. Powierzona opiece sanatorium najdroższa istota wraca tam do życia, mocy, normy, by stać się radością jej bliskich a załęczonych o jej byt i przyszłość. W ten sposób sanatorium promieniuje zdrowiem fizycznym i duchowym nie tylko w kręgu swych bezpośrednich pacjentów, ale i w szerokiej sferze tych, dla których ci pacjenci stanowią warunek życia, równowagi i szczęścia.

Jeżeli helioterapia i warunki klimatyczne są największymi podnietami naturalnymi, niemniej znaczy psychoterapia, czyli to przyjazne otoczenie, które daje choremu czy rekonwalescentowi sanatorium zakopiańskie. Stosując ją, idzie jego dyrektor za wznio-

słymi hasłami, które głosił kiedyś Mickiewicz, gdy tępił martwe prawdy i zalecał żywe, bo wtedy tylko dokonać się może — cud uzdrowienia. W znaku tych żywych prawd stwarza on też cuda, zgodnie z mickiewiczowskim nakazem:

Miej serce i patrzaj w serce!

Teoleun Grobowski

DR K. JONSCHER

Profesor Uniwersytetu Poznańskiego

Jedną z najważniejszych cech człowieka jest stępienie się wrażliwości na powtarzające się stale bodźce, chociażby nawet były one bardzo silne. — Po pewnym czasie potrzebnym do przyzwyczajenia się żołnierz potrafi spać a włościanin uprawiać ziemię w czasie największego nasilenia działań wojennych. — W ten sam tylko sposób możemy sobie wytłumaczyć spokój i dużą obojętność z jaką większość społeczeństwa odnosi się do jednej z największych plag społecznych jaką jest gruźlica, pochłaniająca stale znacznie większą liczbę ofiar niż wszystkie inne choroby zakaźne razem wzięte, i to najczęściej wśród dzieci, młodzieży i dorosłych w sile wieku. — Zanotowanie kilku przypadków choroby Heine-Medina stawia na nogi cały aparat sanitarny, pojawiają się alarmujące artykuły w gazetach, podczas gdy liczne przypadki schorzeń i zgonów z gruźlicy nie wruszają nikogo, bo to „tylko“ gruźlica.

U nas jest pod tym względem niestety znacznie gorzej niż w wielu innych krajach — w szeregu państw zajmujemy jedno z pierwszych miejsc pod względem umieralności z gruźlicy. Zdobycie tego mało zaszczytnego rekordu tłumaczymy sobie stale skutkami zaniedbań w czasach niewoli politycznej, zniszczeniem podczas wielkiej wojny, niskim stanem kulturalnym szerokiego ogółu, a przede wszystkim brakiem środków finansowych, niezbędnych jak wiemy w dużej ilości do prowadzenia każdej wojny, a więc i kosztownej walki z gruźlicą. — Jest to naturalnie słuszne, ale tylko do pewnego stopnia. Nie ulega bowiem najmniejszej wątpliwości, że poświęcenie więcej uwagi temu zagadnieniu przez naczelne władze sanitarne spowodowałoby zwiększenie dotacji, zaoszczędzonych na znacznie mniej ważnych pozycjach, że zrozumienie niebezpieczeństwa przez ogół społeczeństwa wzmogłoby w znacznym stopniu ofiarność na ten cel, że wreszcie skłoniłoby do jednolitego i celowego prowadzenia całej akcji, rozproszkowanej obecnie pomiędzy licznymi organizacjami. — A wtedy mielibyśmy na pewno możliwość zanotowania wybitnej poprawy na tym ważnym odcinku życia społecznego. Wtedy nasze środki do walki z gruźlicą, tak zwany arsenał przeciwegruźliczy, będzie odpowiadał swemu zadaniu pod względem ilościowym i jakościowym. — Wtedy zwiększy się znacznie liczba przychodni przeciwegruźliczych, tych sztabów generalnych w tej walce, wtedy będą one lepiej zaopatrzone, każda bez wyjątku będzie prowadzona przez lekarza wyspecjalizowanego w tej dziedzinie i higienistkę dyplomowaną, każda będzie miała aparat rentgenowski i laboratorium w stałym użytku, każda będzie miała w swej kartotece możliwie duży odsetek gruźlików i ich rodzin, będzie mogła opiekować się nimi skutecznie i będzie rozporządzała bezpośrednio dostateczną liczbą łóżek szpitalnych i sanatoryjnych, bez potrzeby uciekania się do pośrednictwa licznych urzędów pośredniczących.

Ale po zdaniu sobie sprawy z krzyczących braków i niedociągnięć, po przedstawieniu

w zarysie pożądaney wizji przyszłości, możemy i powinniśmy zatrzymać się na nielicznych jasnych punktach terażniejszości. Do tych zaliczyć musimy niewątpliwie pomiędzy innymi również istnienie Sanatorium Akademickiego im. Józefa Piłsudskiego w Zakopanem. — Jak wynika z szczegółowych badań lekarskich młodzieży akademickiej w latach ostatnich gruźlica szerzy spustoszenia również i w tym środowisku, i to tym większe, że młodzieńczy wiek, często złe warunki ekonomiczne, obciążenie pracą zarobkową już w ostatnich latach szkolnych stwarzają dla tej choroby bardzo podatne podłoże. — Leczenie ambulatoryjne w przychodni przeciwgruźliczej z pozostawieniem chorego w dotychczasowych złych warunkach może opanować sprawę chorobową tylko w nielicznych przypadkach. — W wielu razach natomiast jedynym ratunkiem celem uzyskania jako tako trwałego polepszenia lub też całkowitego wyleczenia jest leczenie sanatoryjne. — Powietrze górskie, opieka lekarska, sanatoryjny tryb życia, brak trosk życia codziennego — wszystko to zapewnia uzyskanie poprawy, nieosiągalnej w innych warunkach. Posiadanie własnego sanatorium akademickiego pozwala na udostępnienie tego leczenia znacznie większej liczbie młodzieży niż w razie konieczności korzystania z jakiegoś sanatorium ogólnego, a poza tym zapewnia młodzieży pozostanie we własnym środowisku, co ma niewątpliwie dodatni wpływ na stan psychiczny chorych, a przez to samo wpływa dodatnio na ich stan zdrowia.

Sanatorium Akademickie im. Józefa Piłsudskiego spełnia więc bardzo doniosłą rolę w życiu społeczności akademickiej i całego społeczeństwa. Nie wystawiamy już sobie prawie możliwości zwalczania gruźlicy bez posiadania tej ważnej placówki.

Dlatego też chętnie zgodziłem się na skreślenie tych kilku słów dla projektowanej publikacji, ilustrującej działalność i znaczenie Sanatorium Akademickiego. Zgodziłem się tym chętniej, że inicjatorami i realizatorami projektu są w dużej mierze akademicy-kuracjusze. Wynika z tego bowiem, że do konieczności propagowania tej idei doszli oni na podstawie własnych doświadczeń i przeżyć na miejscu, że zrozumieli w pełni wagę zagadnienia i że pragną zaznajomić z nim jak najszersze warstwy społeczeństwa.

Niechaj szerzą te poglądy również w społeczności akademickiej, z której wyjdą przecież przyszli sternicy naszych spraw państwowych i społecznych, niechaj przez to samo nowe pokolenie zrozumie w całości konieczność intensywnego i celowego zwalczania gruźlicy jako plagi społecznej, i niechaj Mu dane będzie doprowadzenie tej walki do zwycięskiego końca.

K. Frankiewicz

PROF. DR STANISŁAW MAZIARSKI

Rektor Uniwersytetu Jagiellońskiego w latach akad.

1933/4, 1934/5 i 1935/6

Sanatorium... Jakżeż to słowo brzmi smutno i złowrogo, jakąż trwogą i lękiem napęnia niejednego akademika, który wyrokiem badającego lekarza skazany został na krótszy lub dłuższy pobyt w sanatorium? Czy w tej dusznej atmosferze, wśród licznych chorych kolegów wytrzyma? Czy wróci rychło do zdrowia i nauki, czy może stan jego, przecież chyba nie tak groźny, aby wymagał pobytu w sanatorium, nie pogorszy się jeszcze więcej tam, w tym wielkim zbiorowisku ciężko chorych?

Niezawodnie takie były myśli, takie obawy i pytania tych wszystkich, którzy po raz pierwszy jechali do Zakopanego, do Sanatorium Akademickiego, do „Bratniaka“.

Młodzież akademicka odnosiła się niewątpliwie do „Bratniaka“ z mniejszym lub większym sceptyzmem, zwłaszcza przed laty, kiedy mieścił się on w skromnym i ciasnym budynku, w warunkach niezbyt korzystnych, kiedy nie było tam ani tego rygoru, ani tego zrozumienia dla konieczności racjonalnego sanatoryjnego leczenia gruźlicy.

Dzisiaj Młodzież Akademicka, która bierze czynny udział w walce, jaką prowadzi całe społeczeństwo z tą groźną chorobą, rozumiała cele walki i zorientowała się dobrze, jak wielką klęską jest dla niej gruźlica. Młodzież wie dzisiaj dobrze, że gruźlica jest chorobą, do której leczenia przystępować należy jak najwcześniej, że jest ona nawet zupełnie uleczalna, że najlepsze wyniki daje leczenie w sanatoriach, w których chorzy poddani ścisłemu i rygorystycznemu regulaminowi, z dala od wszelkich zewnętrznych wpływów, mogą się oddać całkowicie i wyłącznie tylko leczeniu.

Dodatknie wyniki leczenia sanatoryjnego przekonały wszystkich o jego zaletach i dzisiaj chora Młodzież Akademicka o każdej prawie porze roku zapęnia wielkie, wspaniałe, ślicznie położone, ku całemu cudnemu łańcuchowi Tatr zwrócone, zbyt koźnie urządzone Sanatorium Akademickie im. Józefa Piłsudskiego.

Dzisiejszy gmach — to przybytek jasny i wesoły słońca i powietrza, pełen wesołego i beztroskiego rozgwaru w godzinach nieobjętych nakazem ciszy, w którym liczni kuracjusze i kuracjuszki tworzą jakby jedną wielką rodzinę, żyjącą w zgodnej harmonii i prawdziwym koleżeństwie, — złączyły ich bowiem razem choroba, chęć do życia i wspólna walka o zdrowie.

Spędzając przygodnie choć kilka chwil w sanatorium, słysząc te wesołe rozmowy przy stolikach w jadalni, patrząc na te miłe zabawy i imprezy, urządzone w związku z różnymi okazjami, odnieść się musi wrażenie, że wszystkim kuracjuszom jest tutaj dobrze, że żyli się serdecznie z personelem lekarskim, że pogodzili się z trybem i rygiorem sanatoryjnego życia i że po opuszczeniu sanatorium z pewnością zachowają dla niego żywe wspomnienie i wdzięczność.

Te wszystkie okoliczności są niewątpliwie motywem i celem publikacji, poświęconej zobrazowaniu życia w Sanatorium Akademickim przez długi szereg lat jego istnienia. Znajdą się w tej publikacji zapewne różne szczegóły z codziennego życia tego tak ważnego dla zdrowia Młodzieży Akademickiej Zakładu, oświetlone odpowiednio przez tych, którzy w nim pracowali, w nim się leczyli i zdrowie i zdolność do pracy jemu zawdzięczają.

Podczas mojej pobieżnej wizyty w Sanatorium Akademickim, prócz zewnętrznych miłych i dodatnich wrażeń, nie mogłem wynieść dokładnego obrazu codziennego życia

tej instytucji, zasługującej ze wszech miar na poparcie szerokich warstw społeczeństwa ze względu na ten doniosły cel, jaki ona spełnia.

Sanatorium powinno rozwijać się i rozrastać, by zapewnić miejsce wszystkim zgłaszającej się do leczenia Młodzieży Akademickiej, powinno mieć zapewniony, wystarczający na wszystkie potrzeby byt finansowy, który by pozwalał przyjmować młodzież biedną — a wśród tej właśnie jest najwięcej chorych — bez żadnej dodatkowej dopłaty, bo ją na to najczęściej nie stać, — wreszcie powinno przedłużać kuracjom pobyt aż do zupełnego wyzdrowienia.

Niechaj tych kilkanaście lat istnienia Sanatorium Akademickiego staną się już końcowym etapem tego pierwszego najtrudniejszego okresu utrwalenia jego bytu finansowego, niechaj Sanatorium zdobędzie pełne zaufanie, na jakie zresztę dzisiaj zasługuje, u starszego społeczeństwa, które powinno otoczyć tę placówkę jak najtroskliwszą opieką i dopomóc jej materialnie, i u młodzieży, niechaj gromadząca się w widnych i słonecznych murach Sanatorium, chora Młodzież Akademicka z całej Polski jednoczy się ideowo i w zgodnej harmonii walczy o to najwyższe dobro, jakim jest zdrowie, gdyż tylko powrót do zupełnego zdrowia zapewni jej możliwość dalszych uniwersyteckich studiów, a po ich pomyślnym ukończeniu pozwoli jej pracować ku pożytkowi i dobru ojczyzny.

DR J. TYMIŃSKI

Wojewoda Krakowski

Badania stanu zdrowia studentów szkół wyższych wykazują, że około 5 % cierpi na poważniejsze zmiany gruźlicze. Stan ten niepokoi wszystkie odpowiedzialne czynniki i zmusza do największych wysiłków, by zdrowie naszej młodzieży akademickiej otoczyć najtroskliwszą opieką.

Okazało, choć jeszcze nie wykończone, Sanatorium Akademickie w Zakopanem jest najlepszym świadectwem, że społeczeństwo polskie nie stoi bezradnie wobec potrzeb narastających nowych pokoleń, ale chce i umie walczyć z największą klęską społeczną, jaką jest gruźlica.

4² Tymiński

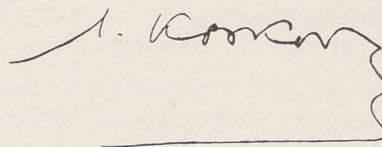
PROF. DR W. KOSKOWSKI

Przewodniczący „Opieki Zdrowotnej
Lwowskich Szkół Akademickich“

„Opieka Zdrowotna Lwowskich Szkół Akademickich“ pozostaje od kilkunastu lat w ścisłej współpracy z Sanatorium Akademickim w Zakopanem.

Współpraca ta ma wspólny cel — zdrowie polskiej młodzieży akademickiej. Idea tej współpracy, tak dla Opieki Zdrowotnej cenna, opiera się na zasadzie harmonijnego współdziałania tworzącego podstawę, na której wznoszą się zawsze pożyteczne dzieła w służbie największych dóbr narodu. Dokoła poczynąń harmonizujących pomoc dla młodzieży akademickiej wytworzyła się już specjalna pożyteczna atmosfera, której źródłem były prace środowisk, wśród nich zaś i Sanatorium Zakopiańskiego pod znakomitym kierownictwem Dyrektora Dra Jasińskiego.

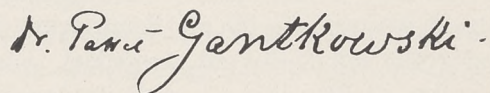
Atmosfera ta ułatwi niewątpliwie dalsze rozszerzenie ram pomocy dla studentów tak bardzo opieki potrzebujących.



PROF. DR PAWEŁ GANTKOWSKI

Profesor Uniwersytetu Poznańskiego

Sanatorium Akademickie w Zakopanem nie tylko wypełnia cel szlachetny, lecząc młodą polską inteligencję, mającą stwarzać i pomnażać tak niezbędne i pożyteczne dla Ojczyzny naszej kadry przyszłych przewodników społeczeństwa, lecz równocześnie przyczynia się pośrednio do innej pożytecznej dla zdrowia publicznego pracy. Otóż pacjenci sanatorium, pod wodzą dyrektora, jako wybitnego i wytrawnego fizjologa i przy pomocy sztabu jego współpracowników, poznając tło schorzenia i drogi, prowadzące do zwalczania go, stają się na całe przyszłe swe życie czynnikami, uświadamiającymi społeczeństwo dla walki z wielką klęską społeczną.



STEFAN GOŁĘDZINOWSKI

Dyrektor biura Rady Naczelnej
T. P. M. A.

Mija 35 lat od chwili, gdy młodzież akademicka postanowiła leczyć swych kolegów chorych na gruźlicę we własnym Sanatorium.

Wiele zmian zaszło od tego czasu zanim młodzież osiągnęła swój cel.

Dziś potężny gmach czuwa! Pracuje i pomaga tym, których mogłaby zgnieść ta tak straszna choroba.

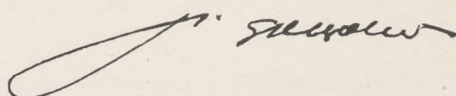
Z zagadnieniem walki z gruźlicą wśród młodzieży akademickiej zetknąłem się bliżej przy mej pracy w Towarzystwie Przyjaciół Młodzieży Akademickiej. Sanatorium Akademickie im. Józefa Piłsudskiego w Zakopanem stoi dziś na czele akcji zwalczania gruźlicy wśród młodzieży akademickiej, toteż oparci o tę naszą placówkę mogliśmy w ośrodkach uniwersyteckich podjąć realne próby zorganizowania racjonalnej akcji zapobiegawczej.

Niestety, Sanatorium nie jest wykończone, odczuwamy brak miejsc dla chorych, lecz mamy nadzieję i dolożymy wszelkich starań, by T-wo P. M. A. zwalczyło piętrzące się trudności, a wtedy żaden akademik nie będzie oczekiwał na wolne łóżko.

Sanatorium Akademickiemu im. Józefa Piłsudskiego w Zakopanem i jego długoletniemu Dyrektorowi, dr Stefanowi Jasińskiemu życzę dalszej owocnej pracy nad przywróceniem społeczeństwu uzdrowionych obywateli, Ojczyźnie — pełnych sił obrońców.

DR WALERIAN SPYCHAŁA

Kierownik Opieki Zdrowotnej
nad młodz. akad. w Poznaniu



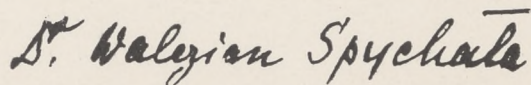
Dzięki wytrwałym wysiłkom i szlachetnemu zrozumieniu niesienia pomocy młodzieży akademickiej zagruźliczonej, powstał swego czasu skromny Dom Zdrowia w Zakopanem, którego głównym pionierem i inicjatorem był dr J. Żychoń.

Jak ważną była idea stworzenia takiego ośrodka leczenia klimatycznego świadczy dzisiejsze Sanatorium Akademickie im. J. Piłsudskiego, które nie tylko budzi podziw swą wspaniałością budynku, lecz każe zachwycać się jego wewnętrznym urządzeniem, wyzyskującym wszelkie zdobycze higieny i celowości leczenia klimatycznego.

Do tak wysokiego poziomu pobudowania Sanatorium jak i stosowania lecznictwa przyczynił się głównie od kilkunastu lat dyrektor dr Stefan Jasiński, którego zasługi podnoszą wszyscy z najwyższym uznaniem.

Młodzież korzystająca z leczenia sanatoryjnego zrozumie z pewnością jak wielkim dobrodziejstwem jest dla niej Sanatorium, finansowane przez Radę Naczelną Towarzystwa Przyjaciół Młodzieży Akademickiej, oraz ile zawdzięcza oddanemu jej opiekunowi w osobie p. Dyrektora i gorliwie z całym poświęceniem współpracującym lekarzom.

Na ważność istnienia Sanatorium wskazuje wysoki procent zagruźliczenia młodzieży akademickiej, stwierdzony w wszystkich ośrodkach uniwersyteckich, stanowiący cyfrę około 6%, z czego około 3% młodzieży wymaga leczenia klimatycznego. Ze względu na to, że leczenie klimatyczne daje możność skutecznego wyleczenia i zalecenia gruźlicy oraz pozostaje dotąd niezawodnym środkiem zapobiegawczym kielkującej gruźlicy płuc, powinna tak młodzież jak i ogół społeczeństwa zrozumieć ważność leczenia klimatycznego i przyczyniać się swą współpracą do popierania wszelkich podjętych działań, które służyć mają do zwalczania tego wielkiego wroga ludzkości, jakim jest gruźlica.



DR HANNA ROZENÓWNA

Kierownik „Centralnego Akademickiego Biura
Przeciwgruźliczego w Warszawie“

AKADEMICKIE SANATORIUM W ZAKO- PANEM W WALCE Z GRUŻLICĄ

Jak wielkie znaczenie ma leczenie sanatoryjne gruźlicy, nie należy chyba uzasadniać. Akcja zwalczania tej choroby byłaby nie do pomyślenia bez możliwości leczenia klimatycznego. Akademickie Sanatorium w Zakopanem — to twierdza, w której skutecznie walczą z gruźlicą setki młodzieży akademickiej.

Niezmiernie ciekawą jest rzeczą wyjaśnienie, komu zawdzięcza młodzież powstanie i utrzymanie Sanatorium.

Obserwując przejawy życia ludzkiego zauważyć się dają pewne uspołecznione jednostki, w promieniu oddziaływania których inni zaczynają tchnąć potrzebą ideowej, twórczej pracy — dzięki temu pewne zagadnienia niedoceniane dotychczas stają się palące, podejmowana akcja przełamuje najcięższe przeszkody — ...i powstają „rzeczy wielkie“.

Wysiłkiem młodzieży przy ofiarnej pomocy społeczeństwa powstał w Zakopanem drewniany „Bratniak“ — sanatorium dla ratowania studentów zapadających na gruźlicę. Ale już w krótkim czasie „Bratniak“ nie zaspakał rosnących coraz bardziej potrzeb. Wówczas to dr Stefan Jasiński, ówczesny Dyrektor „Bratniaka“, potrafił sprawą budowy Akademickiego Sanatorium zainteresować ludzi, którym sprawy młodzieżowe nie były obojętne, i którzy wspólnie z nim przyczynili się do powstania tak potężnego dzieła. Trzeba było mieć głębokie przekonanie o wartości i wiarę w powodzenie sprawy, przeogromną wytrwałość i siłę woli, żeby rozpocząć, nie bacząc na kolosalne trudności w zdobywaniu potrzebnych funduszy, i... wybudować Akademickie Sanatorium.

Ale zasługą Dyrektora dr Jasińskiego jest nie tylko to, że powstała placówka do walki z gruźlicą, którą umiał utrzymać pomimo bardzo ciężkich nieraz załamań finansowych, — ale potrafił On zawładnąć całkowicie duszą kuracjusza-studenta, potrafił go nauczyć umiejętności leczenia się oraz rozumienia i podnoszenia kultury zdrowia. Dzięki Dyrektorowi dr Jasińskiemu pobyt w Sanatorium podnosił studenta nie tylko fizycznie, ale i duchowo.

Wielu już kuracjuszy Akademickiego Sanatorium skończyło studia i poszło w życie nie jako inwalidzi, ale jako ludzie pełnowartościowi.

Młodzież swój pobyt w Sanatorium, okres tragicznego przerwania studiów, okres bezczynności, oczekiwania na powrót do zdrowia, dzięki specjalnemu nastrojowi, jaki tam panuje, wspomina mile, serdecznie, pełna wdzięczności dla swego Opiekuna.

Sanatorium Akademickie w Zakopanem walczyło z nadzwyczajnymi trudnościami finansowymi, głównie z powodu niewłaściwej polityki Studenckich Kas Chorych, które kierowały studentów chorych dopiero w daleko posuniętym procesie gruźlicy i tylko na okres czterech tygodni — co wpływało ujemnie na frekwencję i stan samowystarczalności Sanatorium, pomijając fatalne skutki zaniedbania zdrowia chorej młodzieży. Szczęśliwe wyjaśnienie sytuacji zawdzięczać należy powstaniu T. P. M. A. i zainteresowaniu się tą sprawą, zorganizowanej w ramach Towarzystwa, Komisji Opieki Zdrowotnej.

Na czele Komisji Opieki Zdrowotnej stanął Profesor dr Franciszek Czubalski, człowiek

o wielkim sercu, serdecznie kochający młodzież, który nie szczędził wysiłków, aby nareszcie racjonalnie zorganizować pomoc i opiekę zdrowotną nad młodzieżą akademicką.

Na czoło tych zagadnień wysunęła się przede wszystkim akcja zwalczania gruźlicy. Jednym z pierwszych posunięć Komisji Opieki Zdrowotnej było stworzenie „Funduszu Sanatoryjnego” na pokrywanie kosztów leczenia studentów, którzy wskutek złego stanu materialnego nie mogli ponosić żadnych opłat lub tylko częściowe za pobyt w Sanatorium.

Poza tym stworzona została w Warszawie Akademicka Poradnia Przeciwgruźlicza, bezpłatnie udzielająca porad i pomocy wszystkim studentom i kierująca ich przy istnieniu odpowiednich wskazań na leczenie sanatoryjne na okresy uzależnione od potrzeby. Zorganizowano również Centralne Akademickie Biuro Przeciwgruźlicze, mające za zadanie zarejestrowanie i opiekę nad wszystkimi studentami, chorymi na gruźlicę w środowisku warszawskim. Obecnie pod opieką Centralnego Akademickiego Biura Przeciwgruźliczego pozostaje przeszło 1.000 studentów. Akademickie Sanatorium nie zaspakaja już potrzeb, studenci oczekują na miejsce po kilka miesięcy. Sprawa wykończenia Sanatorium staje się palącą.

DR STANISŁAW HORNING

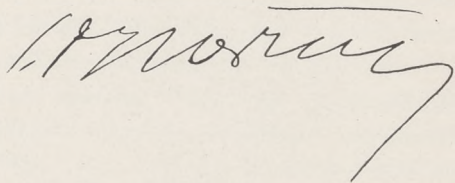
Kierownik Przychodni Przeciwgruźl.
„Opieki Zdrowotnej Lwowskich Szkół Akadem.”

Gdy dziś walka o zdrowie polskiego studenta rozgrywa się na wielu frontach, a najważniejszym odcinkiem jest zagadnienie gruźlicy, gdy środki nie wystarczają na najpilniejsze potrzeby i gdy w środowiskach uczelnianych akcja przeciwgruźlicza toruje sobie drogę wśród wielkich trudów i przeciwności — oczy młodzieży i starszego społeczeństwa zwrócone ku wspaniałemu Sanatorium w Zakopanem, widzą w nim symbol.

Powstanie i istnienie tego zakładu dowodzi bowiem, iż wielkie kłęski wymagają dla ich odwrócenia wielkich środków i stanowczych pociągnięć i że realizowanie tych zasad jest w naszych warunkach możliwe.

Poza bezpośrednimi, materialnymi korzyściami, jakie daje leczenie sanatoryjne młodzieży — wartość samego istnienia Sanatorium polega na torowaniu wśród społeczeństwa zrozumienia dla idei ochrony zdrowia młodzieży.

A walka o zdrowie młodzieży — to nie tylko walka o dobro jednostki, lecz walka o przyszłość Polski, to zagadnienie jej bytu.



INŻ. RUSIN

Dyrektor Tramwajów Miejskich we Lwowie

Są pewne rzeczy i pewne opinie na ogół ustalone, wszystkim znane z nieprzemijających swoich wartości. Do takich niewątpliwie należy rola Sanatorium Akademickiego w Zakopanem.

Wspaniały rozwój Sanatorium, które zbudowano już w wolnej Ojczyźnie, zawdzięczać należy nie tylko wydatnej pomocy społeczeństwa, lecz zarówno nieugiętej woli i ofiarnym, niestrudżonym wysiłkom Jednostek, stojących na czele Sanatorium, przepelnionych wiarą w trwałość szlachetnej idei, mającej jasno wytknięty cel: uzdrawiać chorych — leczyć cierpiących.

Sanatorium Akademickie w Zakopanem jest wyrazem wielkiej tendencji społeczeństwa do zachowania siły i żywotności oraz powiększenia wartości duchowych i fizycznych narodu, jest wyrazem realnej troski o los przyszłego pokolenia.

Głębokie są przyczyny i powody, dla których społeczeństwo polskie powinno pamiętać o swojej młodzieży, bo dbając o młodzież polską dba o przyszłość Polski — a młode serca płacą przyjaźnią za przyjaźń, wdzięcznością za pomoc i radę.

Dlatego nigdzie tak nie jest słuszną prawdą wdowiego grosza jak tutaj, nigdzie tak los przyszłego człowieka nie wiąże się głębiej ze społeczeństwem jak w tej dziedzinie.

W dziejach każdego narodu bodaj czy nie najważniejszą rzeczą jest troska o wychowanie zdrowego pokolenia, które obejmie placówki na rozłogach życia państwowego i placówki te rozszerzy, pomnoży i wzmocni.

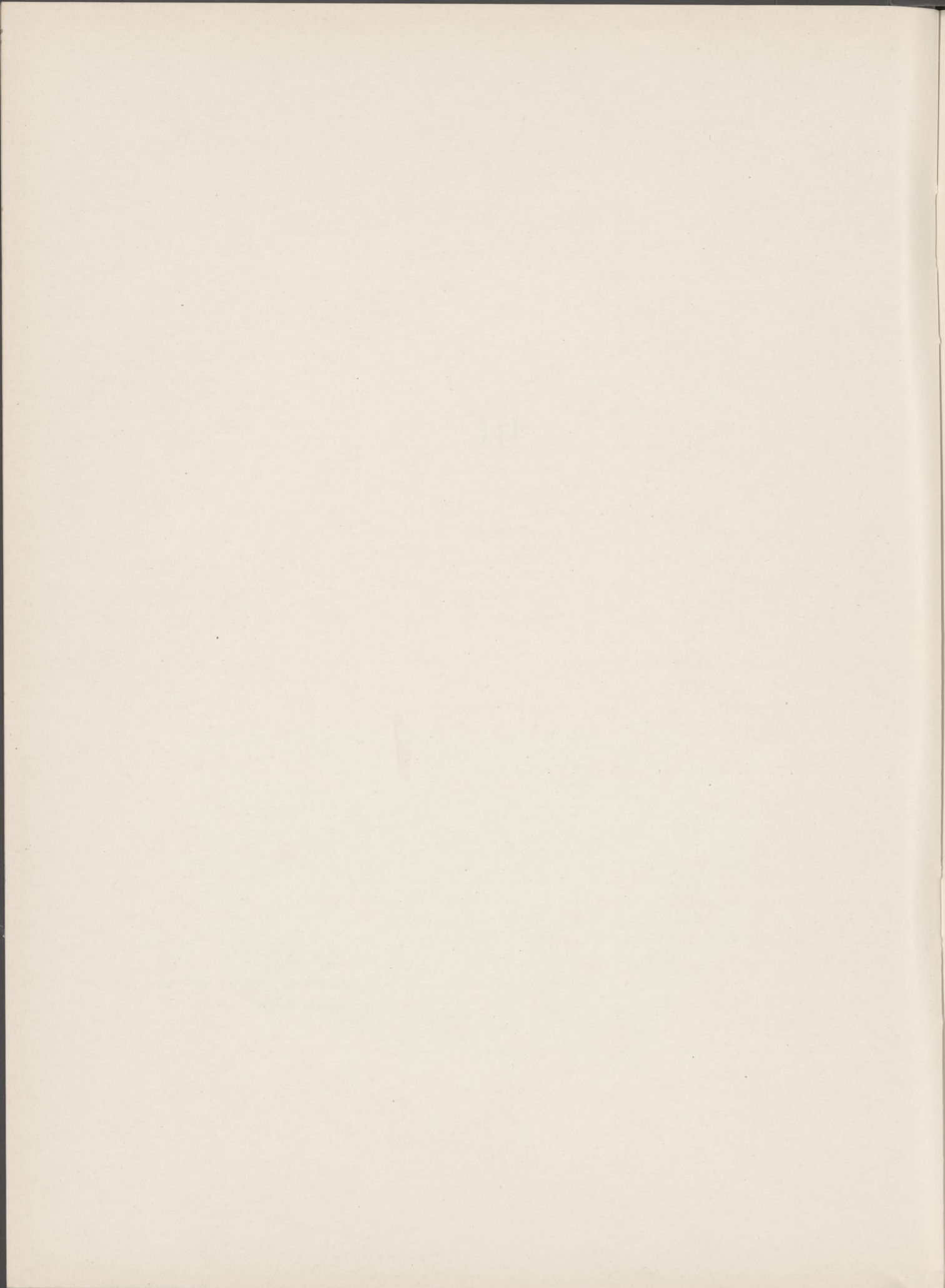
Z tych względów Sanatorium Akademickie w Zakopanem zasługuje ze wszech miar na jak najdalej idące poparcie i opiekę nie tylko ze strony czynników państwowych, ale również każdego obywatela, dbającego o przyszłość Narodu i Państwa Polskiego.

Inż. Rusin

And the

III

*„Niechaj nie dzieli nas to,
co ma nas łączyć“ —*



DR STEFAN JASIŃSKI
Dyrektor Sanatorium Akademickiego

TAKIE SOBIE TROSKI CODZIENNE

(Wspomnienia z lat 1925—1937)

18 marca 1925 r. po raz pierwszy wstąpiłem w progi „Bratniaka“ zakopiańskiego, obecnego Sanatorium Akademickiego im. Józefa Piłsudskiego, które w roku 1935 winno było obchodzić 35-lecie swego istnienia.

Pierwsze wrażenia: 18 stopni mrozu, pokryte śniegiem 3 drewniane budynki, stojąca otworem połamana brama. Ogród przez całą długość przecięty głębokim kilkumetrowym wykopem — to ślad pracy zakopiańskiego montera, poszukującego fatalnego miejsca, gdzie rura kanalizacyjna połączyła się z wodociągową.

Wchodzę do budynku przedstawić się chorym. W 5-osobowym pokoju rzuca się w oczy mizerna, dawno niegolona twarz o palających oczach, zarost szronem pokryty, sprawia wrażenie przymarzniętego do szronem pokrytego koca. Woda w karafce i miednicy zamrożona, pomimo zamkniętych okien. Chory od paru tygodni gorączkuje do 40 stopni, zaś centralne parowe ogrzewanie „kaprysi“ mimo stałych reperacji „fachowca“ z miasta. — W pokojach chorych przy zamkniętych oknach temperatura utrzymuje się poniżej zera — brak pieniędzy na gruntowny remont ogrzewania. W drugim budynku „Gospodarczym“ kuracjusze w sali jadalnej przy obiedzie w ciepłych płaszczach, futrach, a nawet w ciepłych rękawiczkach... Talerze blaszane z łuszczącą się emalią, trafiającą nieraz z posiłkiem do ust. Widelce aluminiowe o 2 zębach tylko! Pomnę umeblowanie...

Z narzędzi lekarskich znalazłem jedną 10-centymetrową strzykawkę w zardzewiałym pudełku i dwie zardzewiałe igły. Znalazł się jednak mikroskop w stryżkowym pokoju, nawet niezły, z immersją i po oczyszczeniu z rdzy i kurzu był jeszcze zdalny do użytku.

W wydany w 1926 r. pamiętniku z racji 25-lecia „Bratniaka“ pisałem na wstępie mego artykułu „Czasy wojny i ogólnego kryzysu finansowego odbiły się na ogólnym stanie zakładu — młodzież nie miała pieniędzy na prowadzenie i inwestycje w zakładzie, starsze społeczeństwo o nim zapomniało...”

Lecz rok 1925, nawet 1924 nie należały do najgorszych, gdyż od roku 1924 zaopiekowała się już Sanatorium „Rada Naczelna Pomocy Młodzieży Akademickiej“ i chociaż przeważnie na kredyt — jednak zawsze znalazł się odpowiedni posiłek dla chorych. W roku 1923 pamiętam jak objeżdżał zakopiańskie pensjonaty wózek sanatoryjny i zbierał dla chorych akademików produkty żywnościowe, gdyż nie było ich za co kupić.

Czemu się zawdzięczało stan powyższy, w okresie, gdy młodzież w miastach uniwer-

syteckich już budowała dla zdrowych kolegów domy akademickie, nieraz luksusowe? Przecież wtedy Sanatorium było własnością „Ogólnopolskiego Związku Bratnich Pomocy“! Myślę, że złożyło się na to wiele czynników właściwych psychice ludzkiej i brak uświadomienia młodzieży i starszego społeczeństwa o istocie gruźlicy i jej zastraszającym szerzeniu się. Nie uświadamiała sobie młodzież i starsze społeczeństwo, ile istnień ludzkich zabiera gruźlica, a jak podaje prof. Tomasz Janiszewski w 1927 r. „w przeciągu 9-letniego istnienia naszego odbudowanego Państwa straciliśmy na gruźlicę przeszło ½ (pół) miliona ludzi, tj. więcej niż wskutek całej wielkiej wojny“ a dalej wysnuwa wniosek ze statystyk: „że w wieku największej zdolności do pracy zarobkowej każdy co 3. (trzeci) umierający — umiera wskutek gruźlicy“.

Nie wiedzieli zapewne też, że gruźlica wcześniej wykryta (przy uwzględnieniu też rentgenoskopii) i wcześniej racjonalnie leczona, może dać więcej niż 90% wyleczenia! Brak uświadomienia społeczeństwa o konieczności zwalczania gruźlicy i o rezultatach osiągniętych przez racjonalne jej zwalczanie spowodowało, że w roku 1925/6 T-wo Pomocy Młodzieży Akademickiej i Ogólnopolski Związek Bratnich Pomocy mieli zamiar Sanatorium zlikwidować, z powodu zbyt dużych kosztów jego prowadzenia i przekształcić go w „Dom Wypoczynkowy“ dla zdrowych — otwarty tylko w czasie ferii akademickich. Gdy udowadniałem w tych latach konieczność nie tylko dalszego prowadzenia tego Sanatorium, lecz dalszego rozszerzenia jego, przynajmniej o dalsze 50 miejsc, prezes „Ogólnopolskiego Zw. Bratnich Pomocy“, a w jednej osobie i sekretarz generalny Twa Pomocy Mł. Akademickiej, oświadczył mi, że „przedzaj mu włosy na dłoni wyrosną, aniżeli do tego dopuści“. Ludzie jednak się zmieniają.

Tenże p. Leszek Robowski w roku 1928 formalnie „wysiedział“ w poczekalni Banku G. Kr. pożyczkę na budowę nowego sanatorium w kwocie miliona złotych.

Krańcowo się jednak zmieniają poglądy na pewne sprawy, gdy się je bliżej i lepiej pozna.

Okres mej 14-letniej pracy w Sanatorium Akademickim, to okres nieustannej troski i walki w wielu kierunkach, okres wielu zwątpień i wielu radości. Walka o zdrowie a często i życie setek, a nawet tysięcy młodych istnień. Walka nie tylko z punktu widzenia czysto lekarskiego, jak badanie i zapisanie odpowiedniej recepty, lub założenie odmy sztucznej, lecz stokroć cięższa, stała i powtarzająca się walka z rwącym się do życia młodym istnieniem, które trzeba utemperować i zmusić do odpowiedniego regularnego trybu życia — bez wyładowań w sporcie, nadmiernych zabawach i „użyciu“, by zaoszczędzić siły fizyczne i nerwowe organizmu, który dopiero tak wzmocniony zaczyna zwalczać gruźlicę.

Nie zawsze niestety lekarz bywa zrozumiany w swych usiłowaniach przez pacjentów. Nieraz byłem zmuszony wydalić z Sanatorium oporne jednostki (skazując je może na śmierć), lecz był to zawsze krok konieczny, ostateczny, by dać innym przykład i pohamować wybujałe temperamenty. Wydalałem przeciętnie od 3 do 5 rocznie, lecz niektórych znowu przyjmowałem po paru miesiącach do Sanatorium. Przed laty jeden z wydalonych absolwent medycyny zapytał mnie, „czy jestem w porządku ze swoim sumieniem, wydalaając chorego, przez co skazuję go na śmierć?“ Oświadczyłem mu że skazując na śmierć jednostkę, ratuję dziesiątki istnień — więc nie mam wyboru. Po latach otrzymałem od niego list, już jako od lekarza, wyrażający mi wdzięczność za wydalenie w swoim czasie: twierdził w swym liście, że wydalenie spowodowało za-

sadniczy zwrot w jego psychice i że unormowawszy tryb życia, zdołał odzyskać zdrowie i jest mi za to niezmiernie wdzięczny. Byli i inni, niestety, którzy do dnia dzisiejszego liczą mnie za osobistego wroga. W ciągu ostatnich 3 lat los mi sprzyjał i nie byłem zmuszony wydalić nikogo.

Nieraz słowa otuchy są więcej warte, niż szereg kosztownych leków. Wszedłem raz do pokoju, gdy chory zamierzał popełnić samobójstwo. Manipulując bronią, oświadczył mi, że odebranie rewolweru nie przeszkodzi jego zamiarom, „ma drugi, który mu na żądanie dostarczą“. Po dłuższej dyskusji zgodził się wstrzymać z samobójstwem, o ile dam mu słowo honoru, że powiem, gdy już ja sam nie będę miał nadziei utrzymania go przy życiu. Sytuacja była przykra. Chory od szeregu tygodni gorączkował do 40 stopni, zajęte miał oba płuca, na jedno miał założoną oddech sztuczną — niekompletną, powiększoną wysiękiem, prócz tego leczony był preparatem złota. Nie miałem żadnej nadziei na jego wyzdrowienie, lecz słowo honoru dałem. Po pewnym czasie temperatura zaczęła stopniowo opadać, pacjent od szeregu lat jest zdrow zupełnie, ożenił się, ma dwoje zdrowych dzieci, uprawia sporty, skończył politechnikę i jest od paru lat dyrektorem tramwajów w jednym z większych miast.

Druga codzienna troska w ciągu tych 14 lat, to stała walka o byt finansowy zakładu. Z reguły przyjeżdżali do Sanatorium najniezamożniejsi, zresztą zamożniejsi w opisanych na wstępie warunkach nie chcieliby mieszkać.

Opieka zdrowotna w środowiskach akademickich nie była zorganizowana. Pobyt w Sanatorium częściowo opłacali „Bratnie Pomoce“ odnośnej uczelni, lub studenckie kasy chorych — niejednokrotnie wypłacając odnośną kwotę wprost na ręce chorego. Chory nie zawsze wpłacał otrzymane pieniądze do kasy zakładu, a były różne powody ku temu... Jedni woleli wprost je zużyć na rozrywki w Zakopanem, inni sądzili, że zamiast 6, 8 tygodni, wystarczy pobyt 2—4 tygodniowy, więc część pieniędzy można zużyć na osobiste wydatki. Byli i tacy, którzy na leczeniu nawet zarabiali — biorąc subwencję jednocześnie z Bratniej Pomocy, Uniwersyteckiej Kasy Chorych i zapomogę z Ministerstwa Oświaty. Z trudem udało się dopiero wywalczyć, by powyższe instytucje przesyłały przyznane subwencje wprost do zakładu na pokrycie rachunku kuracjusza.

Wyłoniły się jednocześnie inne trudności: kuracjusz otrzymywał subwencję na pobyt 4-tygodniowy, stan jego zdrowia wymagał pobytu kilku miesięcy, więc składał podanie do Br. Pomocy swej uczelni lub Kasy Chorych, Opieki Zdrowotnej o pokrycie kosztów leczenia na dalszy miesiąc lub dwa — i czekał czasem 2—3 miesiące nic nie płacąc i nie otrzymując żadnej odpowiedzi od powyższych instytucji. Wyjeżdżał, pozostawiając dług, którego nikt pokryć nie chciał. Budżet zakładu tych niedoborów nie przewidywał, stąd stałe życie na kredyt i podrożenie kosztów utrzymania o 15%, stąd życie na weksle i to prywatne moje, gdyż T-wo zabroniło mi weksłami operować, — zastosowanie się zaś do zarządzenia T-wa spowodowałoby zupełny brak posiłków dla chorych.

Często byłem w sytuacji bez wyjścia z powodu powyższych trudności z opłatami, gdyż niejednemu dalszy pobyt miesięczny mógł uratować życie, więc nie miałem sumienia go wydalić za niepłacenie! A rezultat tego? Niewykonanie budżetu i stała walka o pokrycie niedoborów przez T-wo Pomocy Mł. Akad. w nowym roku budżetowym. Prócz tego Sanatorium miało dużo braków, których taka gospodarka deficytowa nie pozwalała naprawić. W T-wie Pom. Mł. Akad., zawdzięczając temu, zyskałem opinię

człowieka, który każdy budżet przekroczy, „więc należy mu obciążyć preliminarz jak najwięcej — by nie miał z czego wydawać“. Opinia ta doszła i do Ministerstwa Oświaty. A nieraz z własnej kieszeni musiałem opłacić (lub dodać pensji) asystenta, pielęgniarkę, — a kiedyś przez cały rok opłacałem palacza w kotłowni.

W okresie tym duże zasługi położyła dla naszych niezamożnych chorych pani Maria Karczewska, zbierając rocznie w Zakopanem około 5.000.— zł na utrzymanie w Sanatorium tych, którzy już znikąd pomocy nie mogli otrzymać.

Warunki powyższe uległy kardynalnej zmianie dopiero od roku 1933, gdy za pobyt kuracjuszy odpowiadają finansowo nowoorganizowane „Komitety Wojewódzkie“ „T-wa Przyjaciół Młodz. Akademickiej“, a opłaty reguluje Rada Naczelna tegoż T-wa w Warszawie, przelewając zobowiązania finansowe kuracjuszy na Komitety Wojewódzkie i przekazując je w gotówce co kwartał do Sanatorium. Zawdzięczając temu spadły koszt utrzymania (osobodniówka) z 8—11 zł na 6 zł.

Trzecia walka, — to stały brak miejsc dla chorych, z powodu wciąż wzrastającej frekwencji i stała troska o powstanie wzorowego Sanatorium, mogącego zaspokoić frekwencję, oraz odpowiadającego wymogom współczesnej higieny i lecznictwa.

Od roku 1927 do 1932 musiałem zakontraktować 5 pensjonatów na mieście, nieraz bardzo oddalonych od siebie, by choć półśrodkami dopomóc młodzieży chorej, ciągnącej po zdrowie do Zakopanego. Pracy tej nie mógłbym sprostać bez ofiarnej współpracy Pani dr N. Siniczenkowej.

Stary zakład posiadał tylko 50 miejsc, a na mieście mieliśmy w sezonach jeszcze około 90 chorych! Prócz tego sami prowadziliśmy gabinet Roentgena i laboratorium, z reguły robiąc fotografię klatki piersiowej każdego nowoprzybyłego.

Leczenie pensjonatowe było tylko namiastką leczenia sanatoryjnego — brak nieraz odpowiednich werand do leżakowania, leżaków, opieki pielęgniarskiej, a najważniejsze niemożność nakłonienia kuracjuszy do wypoczynkowo-sanatoryjnego trybu życia, nie dawały dodatnich wyników poprawy zdrowia.

Większość kandydatów do przyjęcia wręcz nie nadawała się do leczenia w pensjonatach, więc musieli czekać po 3—5 miesięcy na przyjęcie do sanatorium, bezpowrotnie tracąc nadzieję na odzyskanie zdrowia, a nieraz życia. Sądzę, że w głównej mierze ich kołataniom do odnośnych czynników zawdzięczamy, że myśl o konieczności budowy nowego sanatorium zaczęła kiełkować wśród władz zdrowej młodzieży i wśród starszego społeczeństwa. Wielce pomocnym był też sprawie „Komitet Kuracjuszy Domu Zdrowia Bratnia Pomoc w Zakopanem“, który się zorganizował w zakładzie, pod przewodnictwem ciężko chorego kuracjusza Andrzeja Wrocńskiego, i szeroko rozpowszechnił odezwę w powyższej sprawie wśród zdrowych kolegów i starszego społeczeństwa w listopadzie 1926 r. Inicjatywę tę podjęło też zakopiańskie „Koło Przyjaciół Mł. Akademickiej“ pod przewodnictwem dra Józefa Żychonia. Prof. Antoni Gluziński podaje w owym czasie projekt opodatkowania każdego akademika 50 gr miesięcznie na budowę sanatorium. Wreszcie w 1927 r. udaje się zebrać w Zakopanem zjazd delegatów „Ogólnopolskiego Związku Bratnich Pomocy“, za prezesury Leszka Robowskiego, na którym to zjeździe zapada uchwała o opodatkowaniu się każdego akademika kwotą 7 złotych rocznie na budowę sanatorium. W uchwaleniu tego wniosku wybitną pomoc okazał członek prezydium powyższego „Związku“ Wiktor Martin, obecny Dyrektor Departamentu Minist. Skarbu.

Powyższe inicjatywy z wielkim entuzjazmem podejmuje prezes T-wa Pomocy Młodzieży Akademickiej, ówczesny Wojewoda Warszawski Władysław Sołtan, przystępując z 7.000 zł w kasie T-wa na ten cel, do budowy obecnego sanatorium we wrześniu 1928 r. Zamierzona budowa miała kosztować z górą 2 miliony zł.

Zawdzięczając wielkim wysiłkom skarbnika T-wa Antoniego Wieniawskiego, ofiarność społeczna dała na ten cel około 500.000 zł.

Wysoki protektorat nad akcją budowy objął Pan Prezydent R. P. prof. dr Ignacy Mościcki.

Podkreślić należy fakt, że zaraz po ukazaniu się odezwy w dziennikach, nawołującej do składek na budowę sanatorium, Państwo Zofia i Jan Patzerowie składają samorzutnie na ręce P. Wojewody Sołtana 10.000 zł na ten cel. Sekretarz T-wa Leszek Robowski formalnie „wysiaduje” — jak już zresztą wspomniałem — w poczekalni Banku Gosp. Krajowego pożyczkę w kwocie miliona złotych.

Z powodu stale piętrzących się jednak trudności finansowych, udaje się dopiero w roku 1932, za prezesury w T-wie wielkiego przyjaciela Sanatorium b. Marszałka Senatu Władysława Raczkiewicza oddać połowę nowego Sanatorium dla chorej młodzieży.

Projektodawca i kierownik budowy rektor Józef Gałęzowski, nieraz jest zmuszony do wystawienia własnych weksli na pokrycie rachunków przedsiębiorców, by po 4 latach budowy umożliwić choć połowiczne otwarcie naszego Sanatorium.

Radość nasza i kuracjuszy była przeogromna, gdy przenosiliśmy się do nowego, wzorowego gmachu, chociaż tylko w połowie wykończonego i posiadającego dzięki temu jeszcze wiele braków. Wszak posiadaliśmy już odpowiedni dach nad głową, o 120 łóżkach i pełni byliśmy nadziei, że za parę miesięcy uda się gmach wykończyć, usunąć braki i uzupełnić ilość miejsc do projektowanych 180. Przecież brakowało do wykończenia całości tylko 200.000, a cóż to znaczy w porównaniu z 2.400.000 zł, które zdobyliśmy. Lecz tu czekały dalsze troski i... tych 200.000 już 5 lat zdobyć nie można.

Kryzys finansowy, ogólnoswiatowy, dotknął i Polskę, uniemożliwiając czynnikom miarodajnym przyjsię nam z pomocą. Ofiarność społeczna zamarła. Niewykończona połowa budynku, nieopalana w zimie, grozi zniszczeniem.

Propaganda budowy Sanatorium pobudziła do czynu organizację walki z gruźlicą wśród młodzieży w terenie. Powstaje „Opieka Zdrowotna” w Warszawie dzięki ofiarnej pracy prof. Czubalskiego i dr Rozenówny i także w Poznaniu pod wzorowym kierownictwem dra Spychały. Wynik tej działalności, oraz wyżej omawianej reorganizacji opłat jest taki, że chociaż Sanatorium obecnie posiada 120 miejsc i w ciągu roku potrafimy w nim leczyć 550 osób — w sezonie czeka na przyjęcie do 50 chorych.

Kardynalna więc zasada leczenia gruźlicy, „lecz się wcześniej” znowu nie jest dla młodzieży osiągalna! A przecie gruźlica leczona wcześniej, leczy się szybko i pewnie i leczenie jej mniej kosztuje.

Dzieje sanatorium naszego, to zupełnie jak przebieg za późno leczonej gruźlicy — stan chorobowy długotrwały pełen zwątpień, upadku ducha, to znowu okres wzmocnienia pełen nadziei i długi, przewlekły stan chorobowy, wymagający wielkiej cierpliwości pacjenta i lekarza.

Słyszałem zdania, że leczenie sanatoryjne gruźlicy, wśród wielu dużych braków i usterek w kraju, jest rzeczą małą — lecz ja sądzę, że z szeregu rzeczy małych składają się rzeczy wielkie i by wielkie pokonać — trzeba zacząć od małych.

Sądzę, że nie jest rzeczą małą chęć utrzymania przy życiu szeregu młodych istnień, nieraz bardzo wartościowych dla kraju.

A gdy jest zagrożone Wasze własne dziecko — syn czy córka — jest to też rzecz mała?

Sądzę, że w 10 roku od rozpoczęcia budowy, a w 38 od powstania idei niesienia pomocy choremu akademikowi, znajdą się w Polsce ludzie dobrej woli i znajdą się pieniądze na wykończenie Sanatorium Akademickiego!

IZABELLA PAWLUCIÓWNA

JESIENNY POŚPIECH

*Noce ogień rozsadza
w listach ludzie konają
zatracają się tęcze w spękłych lustrach i łzach.
Ciepłem dłoni naglimy do dojrzewania owoce*

*bo pomieścić musimy
waszą jesień leniwą
w kilku dniach.*

KS. ALEKSANDER GOGOLIŃSKI-ELSTON

Kapelan Wojskowy

W C Z O R A J, D Z I Ś — I J U T R O

Z Sanatorium Akademickim w Zakopanem zetknąłem się po raz pierwszy już w roku 1922 i od tego właśnie czasu datuje się mój kontakt z „Bratniakiem“, trwający nieprzerwanie po dziś dzień, a więc od lat bez mała szesnastu.

Mieszkając przez kilkanaście lat w Zakopanem bywałem w „Bratniaku“ aż nazbyt częstym gościem i to w bardzo różnym charakterze.

Przede wszystkim więc byłem w tym Sanatorium pacjentem, a później — jako że zostałem w międzyczasie księdzem — pełniłem tam dorywczo obowiązki „pierwszego“ kapelana.

Był nawet taki okres podczas moich studiów, związanych ściśle z chemią i bakteriologią, kiedy przez jakiś czas pracowałem w bratniackim laboratorium, odwalając codziennie zwykłą laboratoryjną robotę. Pełniąc wreszcie przez dobre kilka lat obowiązki dyrektora zakopiańskiego Sanatorium dla młodzieży („Odrodzenie“), nieraz bywałem zapraszany przez zarząd „Bratniaka“ na konsultacje w sprawach administracyjnych i budowlanych.

Te, wyliczone przeze mnie, tak bardzo różnorodne kontakty z Sanatorium pozwoliły mi aż nadto dobrze przyjrzeć się niejednemu, co się w „Bratniaku“ i z „Bratniakiem“ w owych czasach działo. I to z rozmaitych kątów i punktów widzenia. Zbyt Zakładowi wiele sam zawdzięczałem, by nie być z nim mocno związanym i w jego życiu nie brać udziału. Najmocniejszą jednak i najmielszą nicią, która najsilniej wiązała mnie z „Brat-

niakiem“ było chyba to, że zawsze czułem się w nim naprawdę jak u siebie i wśród swoich. I tak jakoś się złożyło, że pomiędzy mną a bratniacką młodzieżą istniało coś, co zwykliśmy nazywać po prostu „sitwą“ lub „sztamą“. To właśnie sprawiało, że pomimo dość częstych i gwałtownych kłótni, wybuchających między nami raz po raz z najrozmaitszych powodów, dochodziliśmy zawsze ze sobą do porozumienia i ładu, godziliśmy się na nowo i kochaliśmy się nadal.

Sądzę, że wcale nie będzie przesadą, jeśli powiem, że dobrze znam Sanatorium Akademickie i jego dzieje. Ośmielam się nawet twierdzić, że znam je, jak mało kto inny. A już co jak co, ale dole i niedole zakładowe są mi znane doskonale. Bo i jakże? Przecież to z powodu „Bratniaka“ przeżywałem niejednokrotnie w moim życiu chwile bardzo ciężkie, kiedy po ludzku sądząc zdawało mi się, że Zakład lada dzień runie i nawet śladu po nim oprócz długów nie zostanie. To znowu jakże często serce mi rosło i jakże się cieszyłem, widząc w Sanatorium stały rozwój i te wszystkie doniosłe zmiany na lepsze, jakie dokonywały się w nim ustawicznie, a których ja byłem naocznym świadkiem.

Może poniektóry z dawnych bratniackich pacjentów, należących do tzw. starego pokolenia, westchnie głęboko i uśmiechając się rzewnie wielce się rozczeni na samo wspomnienie, jak to w dawnym „Bratniaku“ bywało za czasów jego sielsko-anielskiej młodości i kuracji. Nie jest nawet wykluczone, że ujrzawszy nowe gmaszysko, co hardo rozsiadło się dzisiaj na Gubałówce, mruknie on sobie pod nosem: „No tak, tak... i komfort teraz, państwo, macie, i łazienki na każdym piętrze i jakieś ta operacyjne sale, zmywalnie i pralnie wymyślne... Ale to wszystko, paniedzieju, całkiem nie to, co dawniej... Dawniej — było wszystko jakoś bardziej swojsko, przytulnie i, że tak powiem, bardziej na łonie przyrody, ot co...“

Co do mnie to przyznaję, że i ja na wspomnienie chwil, spędzonych w dawnym „Bratniaku“, wdycham napewno niemniej głęboko niż inni. Uśmiecham się również i roztkliwiam się nawet. Żaden mój uśmiech jednak ani żadne nawet najbardziej głębokie westchnienie nie są w stanie odpędzić tej straszliwej zmory, która na owo wspomnienie staje mi zawsze przed oczyma w postaci dwóch starych, drewnianych, makabrycznych bud, o bardzo romantycznych może, niemniej jednak wcale do nich niedopasowanych nazwach: „Grażyna“ i... (— słowo daję —) ...„Parnas“.

I pomyśleć tylko, że właśnie w tych strupieszalnych drewniakach, grożących zawaleniem się przy lada halniaku, mieściło się, a raczej gnieździło się dawne sanatorium. Może w to dzisiaj nikt nie uwierzy, ale to prawda! Był czas, kiedy mieszkaliśmy w ciasnych i niskich, parnasowych czy grażynowych klitkach, szumnie zwanych przez nas „salami“. Mieszkaliśmy, w pełnym znaczeniu tego słowa, — przykucnąwszy. A kiedy gwoli rozprostowania naszych zbolących kości, wychodziliśmy na ciemne wąskie korytarze, — następowały tam często nieoczekiwane zderzenia mniej lub więcej miłe, a czasem to nawet i całkiem niemiłe, bo pociągające za sobą konsekwencje w postaci postępowań... honorowych (tak, tak!) i co za tym idzie: niezliczonych jednostronnych protokółów itd. itd.

Hej! Gdybyż to można było zwołać kiedy jakoweś wielkie bratniackie zgromadzenie! Nie duchów oczywiście, lecz rozrzuconych po całej Polsce, żyjących po dziś dzień byłych kuracjuszków.

Obrady nasze poświęcone byłyby wyłącznie wspomnieniom z przeszłości. Żeby jednak nikogo z maluczkich, a szczególnie któregoś z dzisiejszych pacjentów nie gorszyć i w nikim nie wywoływać żadnego fermentu, posiedzenia nasze z natury rzeczy musiałyby się od-

bywać przy drzwiach szczelnie zamkniętych. Wystawiwszy więc czujki, żeby nas nikt podsłuchiwać się nie ośmielił, rzewnie wspominalibyśmy wspólnie i o tym i owym, jak to in illo tempore w tym naszym starym, kochanym „Bratnisku“ było i bywało.

A więc przede wszystkim o tym, jak to naszej godnej gruźliczej braci było w zakładzie zawsze pod dostatkiem. Za dużo nawet! Aż dziw brał niejednego: jakim przedziwnym sposobem taka mnogość ludu pomieścić się może w tych nędznych, małych, kurnikowych budynkach. Próżno byś chciał tam obliczać jakąś kubaturę powietrza, przypadającego na jednego pacjenta. W zakładzie nie było w zwyczaju liczyć nikogo i niczego. Nie liczono tam nigdy pacjentów, a cóż dopiero jakieś tam powietrze. Że z tego powodu higiena szlochała po kątach — to nie wzruszało absolutnie nikogo. Wzruszał natomiast każdego z nas niewątpliwy fakt, że pewne prawa fizyczne istniały niestety i dla „Bratniaka“, który, pomimo wielu innych cudownych swoich właściwości, nie mógł niestety nigdy pomieścić wszystkich akademików ubiegających się o przyjęcie. Z powodu ciasnoty i notorycznego przepełnienia przyjmowano tylko bardzo nieznaczną część zgłaszających się kandydatów. Nieprzyjęci zaś albo czekali na wezwanie, chorując w domowych, rodzinnych pieleszach i umierając zazwyczaj spokojnie, nie doczekawszy się tego wezwania; albo też zjeżdżali bez żadnego wezwania do Zakopanego i lokowali się w góralskich chatynach w bratniackiej okolicy. Ci ostatni stanowili u nas kategorię tzw. „dochodzących“ pacjentów. Oni to, pamiętni skutecznej recepty na zdobycie Królestwa Niebieskiego, — że „gwałtownicy jeno je porywają“ — nie tyle czekali, ile czyhali na miejsce w zakładzie i jak tylko nadarzyła się po temu sposobność, zdobywali je gwałtem.

Więc, jak się już rzekło, było nas w zakładzie wielu. Nie można tego samego powiedzieć o ówczesnym zakładowym porządku, który się odznaczał tym co i ład w dawnym sanatorium. To znaczy, że po prostu nie było go wcale. Z rozczuleniem wspominam dziś bałagan z owych czasów i to czarujące bezhołowie. Żyć tylko było wtedy, a nie umierać! Jakoż i umierać żadnemu z nas ani się śniło, a jeśli komu i zmarło się przypadkiem, to chyba jedynie z powodu karygodnego braku zrozumienia rzeczy i oceny sytuacji. A może i w myśl znanej maksymy, że „przypadki chodzą po ludziach“.

Ponieważ więc nie byliśmy zajęci tzw. umieraniem nawet na raty, czas upływał nam przeważnie na braniu udziału w zebraniach i posiedzeniach. Były one bardzo rozmaite, a więc: orientacyjne, przedwstępne, wstępne, ogólne i walne. Zdarzały się również i takie, które tyczyły się tzw. spraw honorowych. Obradowaliśmy właściwie niejako w permanencji. Nie pamiętam doprawdy, żeby choć jedno nasze zebranie zostało zamknięte normalnie. Zawsze było „przerwane“, „zerwane“ albo „chwilowo tylko odroczone“. Cośmy robili na tych zebraniach? Ano dyskutowaliśmy wszyscy namiętnie, z ogniem, na całego! Dyskutowaliśmy o wszystkim. Dyskutowaliśmy stale, bez żadnej prawie przerwy, o każdej porze dnia i nocy. I to wszędzie, a więc w jadalni, w pokojach, na werandzie, na krokietowym polu i na spacerze. Jedna tylko, — niestety w parze z tymi dyskusjami zawsze idąca, siła wyższa w postaci nagłego, rekordowego zaiste skoku gorączki, krwioplucia itp. historii, potrafiła nas jakoś oderwać od naszych obrad i dyskursów, niby surowo zabronionych regulaminem. „Jakżeto — zapyta blednąc dzisiejszy kuracjusz, któremu, mimo wszelkich zakazów i przedsięwziętych środków ostrożności, udało się jakimś całkiem niewytłumaczonym sposobem wśliznąć się na salę naszego zgromadzenia — „a regulamin?... a cisza?... a...“. — O, święta naiwności! Jedyny egzemplarz sanatoryjnego regulaminu był wówczas bardzo szpetnie spostonowany i poniewierał

się wrzucony za jakąś szafę. „A lekarze? Co mówili na to wszystko lekarze?!...“ — piśnie jakiś inny intruz z nowego pokolenia. Skaranie z tymi młodymi knotami, naprawdę! Ani jednej chwili nie dadzą nam starym pogwarzyć ze sobą w spokoju. O lekarzy mu chodzi! Owszem, lekarze byli, gdzieby tam zaś bez nich się obeszło! Byli, a jakże. Nim jednak uczynimy godny wypominek naszym eskulapom, usunąć trzeba będzie na nowo wszystkich niepowołanych i nieproszonych młodzików, co się zakradli do nas, wiedzeni zdrową całkiem ciekawością. Szsz... O lekarzach trzeba i można wspominać szeptem tylko! *Pianissimo* i *con sordino*!

Ano były czasy, oj były! Był nawet taki okres niejako bezkrólewia i co za tym idzie — bezleczenia.¹

Żeśmy się sami nie leczyli — nie dziwota. Kto by tam głowę sobie zaprzętał takimi drobiazgami, kiedy tyle ważniejszych spraw absorbowało nas zupełnie i bez reszty. Siebie leczyć jednak pomimo wszystko pozwalaliśmy, choć czyniliśmy to na ogół dosyć niechętnie. Ten, co miewał odwagę zabrać się do leczenia naszych popiskujących płuczek, miał bardzo twardy orzech do zgryzienia. Żaden też tego orzecha nigdy nie rozgryzł. Nie dlatego, że nie potrafił, ale nie zdążył po prostu. Bo nasi eskulapi w owych czasach zmieniali się niczym w kalejdoskopie. Jedni, ledwie rozpoczęli swą pracę w zakładzie, wnet machnąwszy ręką beznadziejnie i z całkowitą rezygnacją odchodzili sami, innym znowu my zatruwaliśmy życie różnymi wymyślnymi sposobami, uchwalając im w końcu... *votum* nieufności (a jakże!) i uniemożliwiając w ten sposób wszelką normalną lekarską pracę. W ogóle rozmaicie bywało. Zdarzało się, że leczyli nas nasi rodzeni koledzy, medycy z III lub IV roku medycyny. Bywało i tak, że leczyli nas nawet specjaliści od różnych chorób i to całkiem nieźli, po sprawiedliwości to im przyznaję. Był więc jakiś ortopedolog, a raz to zawieruszył się do nas bardzo nawet dobry ginekolog. Wszystkich eskulapów, którzy nie dokuczali nam zbyt i nie próbowali wprowadzić żadnej reformy w naszym zakładzie, traktowaliśmy z wielką wyrozumiałością i nad wyraz życzliwie. Ba! Życzliwość naszą posuwaliśmy do tego stopnia, że całą naszą wiedzę fizjologiczną, płynącą z naszego długoletniego doświadczenia, przelewaliśmy w nich, kierując się jedynie chęcią dopomożenia tym dobrym ludziom, błakającym się nieraz po omacku w błędnym labiryncie tajników płucnej terapii. Ledwie „to“ jednak poduczyło się czegoś, już wiało od nas czym prędzej i bezpowrotnie. Zdaje się, że to w tym czasie na drzwiach lekarskiego gabinetu zawieszono dantejski napis, tyżący się naszych ówczesnych lekarzy: „*Lasciate ogni speranza voi ch'entrate!* — Pozostawcie wszelką nadzieję, wy, którzy wchodzicie!“

Nie można powiedzieć, by nie usiłowano zaprowadzić w sanatorium jakiegoś ładu. Owszem, próbowano. Ale myśmy nie byli znowu „jacy-tacy“ i mieliśmy rozmaite sposoby, by do żadnych zmian w zakładzie nie dopuścić. Najczęściej zaś na jakąś uwagę,

¹ Żeby uniknąć wszelkich mogących wyniknąć nieporozumień, zaznaczam wyraźnie, że mowa tu o okresie, jaki miał miejsce w „Bratniaku“ przed objęciem dyrektury zakładu przez dra Stefana Jasińskiego, a po ustąpieniu dra Edmunda Brzezińskiego. Dr Brzeziński, długoletni dyrektor (obowiązki swe pełnił bezpłatnie), człowiek o wielkim i czującym sercu, rozkochany w młodzieży i chorym akademikom oddany bezgranicznie, musiał... (o, jakże ciężko wykrztusić to z siebie!...) musiał ustąpić z „Bratniaka“, gdzie przez tyle lat pracował z całym oddaniem i najzupełniej bezinteresownie. Nawet dla Niego, który potrafił i umiał tyle znosić, nie sposób już było pracować w takich warunkach, jakie w pewnym okresie wytworzyły się w zakładzie.

wypowiedzianą nieśmiało przez lekarza, odpowiadaliśmy z naiwną miną i nieco z głupiafrant: „Dlaczego nie, panie doktorze, ja i owszem... Ale głodny teraz jestem i jeść mi się chce, ot co!...” Lekarz po takim powiedzeniu ulatniał się natychmiast. Czy nie było to naprawdę świetne?

„Co znowu! — Powie tu ktoś z oburzeniem — patrzcie go! — Wszystkiego się czepiał, a teraz znowu: nie smakowało mu jedzenie i do jedzenia teraz przyczepić się gotów!”

Raz, że niczego się nie czepiam, a dwa, że i jedzeniu ówczesnemu słusznie osobny wypominek się należy.

Zdawałoby się, że w myśl ewangelicznych przepisów, nam, reformującym w owych czasach porządek świata całkowicie, nie należało wcale troszczyć się „ani o to, co będziemy jedli, ani co będziemy pili”. Tak by się zdawało. Ja jednak, uderzywszy się w piersi, wyznając ze skruchą, że odmówiwszy brewiarz i wyklóciwszy się z moimi kolegami niemal do utraty przytomności, o niczym innym nie myślałem, jak tylko i wyłącznie o... jedzeniu. Co robić — rumienię się teraz, ale tak było! Wiem skądinąd, że wszyscy moi koledzy myśleli o tym samym. Wbrew bowiem wszelkim wzniosłym hasłom i maksymom w rodzaju: „Dobre odżywianie — najlepszym lekiem na gruźlicę!”, „Cukier krzepi!” itp. rzadko kiedy jedliśmy do syta, gdyż jedzenie bratniackie w owych czasach pozostawiało zbyt wiele do życzenia. I to co do jakości i co do ilości. Dość powiedzieć, że wcale rzadkością u nas nie było siadać do kolacji, menu której było zaiste bardzo mało skomplikowane, składało się bowiem z samej herbaty, bardzo cienkiej w dodatku i mało osłodzonej. Nieraz też nasze potężne S. O. S. przebijało bratniackie stropy i dołatywało do przyjaznej nam instytucji, jaką było sanatorium dla młodzieży pod nazwą „Odrodzenie“, która pojękując sama z cicha i mocno robiąc wtedy bokami, zawsze przychodziła „Bratniakowi“ z sukursem, posyłając jego głodującej braci trochę maki, cukru, fasoli i innych podobnych specjalów.

Ach te wspomnienia, wspomnienia!... Ledwie zbudziłeś nieopatrznie jedno tylko, już, wbrew twojej woli, zewsząd zlecają się i cisną się inne i inne, skacząc jedno przez drugie dosłownie na łeb, jak opętane... Zdaje się, że to było tak dawno, a jednak wszystko staje przed tobą tak żywe, jakby to było wczoraj dopiero.

Pamiętam... jak przed trzynastu laty obejmował dyrekturę „Bratniaka“ dr Stefan Jasiński. Byłem ci ja na tej „intronizacji“ dra Jasińskiego na bratniackiego dyrektora i płakać mi się wtedy chciało, wiedziałem przecież, co tam czeka na tego człowieka i co się tam święci. Znałem się już przecież coś niecoś na sanatoryjnej administracji, tyłu też widziałem w „Bratniaku“ rządców, zarządców i lekarzy, na domiar zaś tego nie obce mi były i wewnętrzne stosunki, jakie wówczas panowały w zakładzie. Ze wstydem przyznaję się dzisiaj, że nie miałem wtedy żadnej wątpliwości, że nowy dyrektor, którego zresztą miałem za samobójcę, nie będzie w „Bratniaku“ długo popasał, gdyż ani z długami ani z ludźmi rady sobie nie da po prostu. Spodziewałem się więc, że wnet mnie dojdzie wiadomość o jego rezygnacji i umyciu rąk, jak nakazywała dotychczasowa tradycja. Tymczasem o rezygnacji nie było ani słuchu ani ducha. Ba! Po jakimś czasie poczęli w Zakopanem ludziska szeptać sobie na ucho, że w „Bratniaku“ dzieją się cuda. Nie byłem tym wcale zdziwiony, bo cuda działały się w tym zakładzie i przedtem, ale były to cuda całkiem innego rodzaju. Ale żeby „Bratniak“ nie potrzebował już żadnej pomocy z „Odrodzenia“ — to już było coś! Żeby przestał wyciągać rękę i płacił sam za prowianty gotówką — to było wiele! Żeby jednak — o, Boże! — zaczął spłacać

swoje długi — tego było naprawdę za wiele, by w to uwierzyć! A jednak tak było. Nie koniec na tym, bo oto zakład zakupił sobie aparat Roentgena, dobudował dla niego ładne skrzydełko, zbudował gabinety lekarskie i nowe laboratorium, które urządził znakomicie, co mogłem sam stwierdzić naocznie, gdyż w laboratorium tym sam później pracowałem. W zakładzie — rzecz nie do pomyślenia — było czysto, był porządek, wprowadzono regulamin i... — jak chcecie to wierzyć, a jak nie to nie! mnie tam wszystko jedno! — regulamin ten był przez kuracjuszy respektowany. Kuracjusze zaczęli werandować i — co dla mnie pozostało na zawsze zagadką — „cisza“ odtąd była zachowywana. Wreszcie... Ale to zupełnie inna historia. Myśmy w „Odrodzeniu“ przystąpili wówczas do budowy nowego dużego gmachu. Dzieliłem się więc nieraz z bratniackim dyrektorem i swoją nadzieją i swoimi kłopotami związanymi z ową budową. Radząc się go w niejednym i mówiąc mu o postępach budowy zatruwałem mu życie całkiem widocznie, bo to wszystko niby nic ale w gruncie rzeczy to, choć tego się i nie mówiło, ale rozumiało się łatwo: — „Widzisz, my to budujemy, a wy, — t. zn. „Bratniak“ — szkoda w ogóle gadać!“...

Aż kiedyś, pewnego pięknego dnia (takie rzeczy dzieją się tylko „pewnego pięknego dnia“ — zupełnie jak w bajce!) kiedyśmy z panem dyrektorem całkiem zwyczajnie siedzieli sobie na schodkach, prowadzących do „Grażyny“, on patrząc na obrzydliwy barak, mieszczący sanatoryjną jadalnię, zwierzył mi się, że dobrze byłoby i w „Bratniaku“ przystąpić do budowy nowego gmachu. Gmachu! Czy słyszane to rzeczy!... Dyrektor zawsze był niepoprawnym optymistą i marzycielem, nie zdziwiłem się więc zbyt jego nowymi pomysłami. Kiedy jednak zaczął mi opowiadać, jakie to ma być nowe bratniackie sanatorium i jak cudowne mają być w nim urządzenia, byłem naprawdę bardzo zaniepokojony. Bardzo oględnie i ostrożnie zacząłem namawiać mego dyrektora, by jednak nie zwlekał ze swoim urlopem. Jest bowiem bardzo zmęczony i naprawdę potrzebuje odpoczynku. Dziś można mnie rzucić z najwyższego piętra nowego sanatorium za ten mój wstrętny pesymizm i sceptycyzm. O, ludzie, ludzie!... byłem przecież wówczas świadkiem narodzin nowego gmachu i nie zdawałem sobie wcale sprawy z tego, że oto nowe sanatorium poczyna się w myśli człowieka, który całe swoje życie poświęcił walce z obrzydliwym chorobą. Słyszałem wówczas słowa, które wkrótce stać się miały ciałem!

I ja wiem, Panie Dyrektorze, wiem jak nikt inny, ile trzeba było zwalczyć przeszkód, ile spędzić długich nieprzespanych nocy, ile się namęczyć, by doczekać i zobaczyć to, co dziś dla wszystkich jest tak proste i oczywiste, a co dla nas było niegdyś jakże śmiałym marzeniem. Tak często podziwiają ludzie siwą Pańską czuprynę. Ja wiem dobrze, dlaczego Pańskie włosy są dziś srebrne zupełnie, toteż ja podziwiam w Panu złote Jego serce, które wbrew wszelkim ludzkim obliczeniom i wątpliwościom, na przekór wszystkim i wszystkiemu, z prawdziwym kresowym uporem i ułańską fantazją z niewiarogodnej wprost mrzonki uczyniło istniejącą dziś rzeczywistość.

* * *

Dzisiejsze Akademickie Sanatorium w Zakopanem w niczym nie jest podobne do dawnego. I wewnętrznie i zewnętrznie i w ogóle całkiem. Nawet nazywa się inaczej, bo nosi dziś dumne imię Wielkiego Marszałka, którego Duch patronuje teraz zakładowi.

A jednak... pomimo wszelkiej przemiany sanatorium to zostanie i nadal „bratniackim“. Bo wznosiły go i budowały bratnie serca; młodzież, co się w nim leczy, jeśli już nie jest ta sama, to na pewno jest taka sama jak dawniej, a więc bratniacka. W zakładzie zaś jak i ongiś tak i dzisiaj, — że użyję tu słów Krasińskiego: „...każda chwila wiosny... kwiatem, a człowiek każdy siostrą albo bratem“.

Wielka, naprawdę wielka rzecz to dzisiejsze sanatorium. Stworzone w nim obecnie świetne warunki leczenia sprawiają, że przyjscie do zdrowia nadwyreżonego gruźlicą młodego organizmu nie jest dziś rzeczą ani niezwykłą, ani znowu tak trudną.

I cóż w tym dziwnego? Jeżeli — co zresztą dla wielu pozostanie po wszystkie czasy zagadką nie do rozwiązania — w dawnej bratniackiej budzie, pomimo jej rażących braków, może przeze mnie nieco przejaśnionych, można było odzyskać zdrowie i powrócić nie tylko do życia ale i do pracy, cóż dopiero dzisiaj!

Moi koledzy akademicy mocno nadszarpnęli swoje zdrowie w walce z tzw. życiem, które dla nich było wielce niełaskawe. Dawniej — wszyscy zresztą wiedzą i dobrze o tym pamiętają — przeciętny akademik podczas swoich studiów uniwersyteckich jadał obiady raz albo najwyżej dwa razy w tygodniu, spał przeważnie w wilgotnej suterenie, na zimnym poddaszu lub na kolejowym dworcu. A ponieważ lekcji nawet za dwa grosze wtedy dostać nie było można, trzeba było się imać całkiem nieraz ordynarnej, ciężkiej fizycznej pracy. No i niejedno chłopię-studencina nie wytrzymało takich rozkoszy. Toteż potem... Każdy zresztą wie dobrze, co potem: kaszelek, zakrwawiona chusteczka, usta spalone gorączką i inne podobne przyjemności. Ledwo jednak dało się takiemu choremu akademusowi jaki taki, nawet przeciekający nieco dach nad głową, gorące jedzenie codziennie, trochę spokoju i nade wszystko to cudowne zakopiańskie powietrze, już chore to piskłę zaczynało zdrowieć i zdrowiało, zdrowiało aż wyzdrowiało zupełnie. A takich wyleczonych było naprawdę wielu. Kto ciekaw, niech zapyta o statystykę, — oko mu zbieleje po jej przeczytaniu, że w takiej dziurze tylu odzyskało zdrowie... Tak, tak!

Nowy gmach pozwala na przyjęcie daleko większej ilości pacjentów niż dawniej. Ale i on niestety nie może przyjąć wszystkich zgłaszających się kandydatów. Tym bardziej, że całe, calusieńskie skrzydło tego gmachu stoi po dziś dzień wcale niewykończony, bo na wykończenie i urządzenie zabrakło gotówki. Ile? Niedużo! Marnych 200 tysięcy! Cóż znaczą te setki nawet tysięcy wobec $2\frac{1}{2}$ milionów, wydanych na budowę całości? Ale jak dotychczas — to znikąd tych dwóch setek wydostać nie można. Słowem bieda i tyle! A to skrzydło trzeba wykończyć koniecznie, bo wówczas w zakładzie przybędzie 70 łóżek, zaś koszt dziennego utrzymania spadnie o 15 do 20%! Dokładnie zdaje sobie sprawę z tego zarząd sanatorium i wyłazi wprost ze skóry, żeby ten do zarznięcia potrzebny grosz wydostać choćby spod ziemi. Cóż kiedy kiesy ludzkie są zamknięte na pięć spustów i nikt monety na wykończenie nie kwapi się dawać. Pieniądze jednak muszą się znaleźć. Muszą! Jeśli nie dadzą mamony tej banki, albo jakieś inne instytucje, to te pieniądze powinno dać samo społeczeństwo.

Ja wiem, wiem... — że dzisiejsze społeczeństwo jest już i tak ponad miarę obciążone. Ale ta chorująca młodzież, toć przecież część tego samego społeczeństwa. O niej to się mówi, że jest „nadzieją i przyszłością narodu“ i temu podobne, szablonem tchnące powiedzonka.

Niech mi tylko nikt nie próbuje mówić, że tak się mówi tylko o z d r o w e j młodzieży.

Nie ma dziś całkiem zdrowej młodzieży, a przynajmniej jest jej niesłychanie mało. Każde dziecko wie, że gruźlica jest chorobą społeczną, że jej macki obejmują 10% społeczeństwa, a młodzież w 25% jest nią dotknięta lub zagrożona.

Tylko ktoś bardzo niemądry ośmieli się twierdzić, że każdy leczący się w sanatorium akademik, to 100% inwalida i półtrupek. A choćby się kiedy i zaleczył, to i tak na zawsze pozostanie niezdolnym do żadnej pracy ułomkiem.

Myśmy mieli stokroć gorsze warunki leczenia się, a jednak nie tylko żyjemy po dziś dzień, ale pracujemy i to wcale nie gorzej. Społeczeństwo na nas wcale nie łożyło, nie łoży i nie jesteśmy dlań żadnym ciężarem. Mogę bez trudu wymienić dawnych bratniaków, zajmujących dziś stanowiska sędziów, prokuratorów, inżynierów, bankowców, oficerów itd. Są wśród nich ludzie na bardzo ważnych placówkach, nie brak premierów, generałów i ministrów. Wszyscy zaś pracują nie tylko normalnie, lecz nieraz daleko więcej niż przeciętni ludzie, którzy w życiu swoim nie chorowali nigdy. I niech nikomu się nie zdaje, że stale na siebie chuchamy, że wkładamy nawet latem kalosze, że chodzimy w ciepłej bieliźnie, z parasolem nad głową nawet przy pogodzie i z termoforem na brzuchu w największe choćby upały. Jesteśmy zdrowi! Naprawdę zdrowi! A zawdzięczamy to naszemu kochanemu, staremu „Bratniakowi“.

Dzisiejsze bratniackie pokolenie jest w daleko szczęśliwszych od nas warunkach, więc i szanse na najzupełniejsze wyleczenie ma o tyle większe. Trzeba tylko tym chorym akademikom dopomóc, trzeba im to leczenie umożliwić, a później to już sami z gruźlicą dadzą sobie radę doskonale.

Ta pomoc jest obowiązkiem społeczeństwa. Młodzież akademicka nie choruje na gruźlicę z powodu jakichś szaleństw, pijatyk lub rozpusty. Myśmy chorowali — co tu ukrywać — z nędzy, chłodu i głodu. Wielu z nas nabawiło się płucnej choroby w wojsku podczas frontowej służby w latach 1918—1921. Dzisiejsze zaś akademickie pokolenie choruje przede wszystkim dlatego, że rosło w ciężkich powojennych czasach a i dziś, chyba gwoili tradycji, tak jak zresztą przystało na akademika, podczas swoich studiów nieraz głoduje i ledwie, ledwie wyżyć może. Któż o tym nie wie, że i dzisiejsze uniwersyteckie studia nie są bynajmniej dla młodzieży ułatwione. Czyż i dzisiaj nie mało trzeba się nalatać i namartwić, by zdobyć grosiwo, potrzebne na opłacenie czesnego, pokoju i bardzo skromnego utrzymania? Czy aby społeczeństwo w tym wszystkim nie zawiśniło ani trochę? Właśnie tym, że nie potrafiło dotychczas zapewnić tej swojej „przyszłości i nadziei“ normalnych warunków w studiach i bytowaniu.

Niechże to społeczeństwo stara się, by jakoś ratować tych młodych, którzy mogą i muszą być zdrowi!

Chłopak czy młoda dziewczyna, u których zauważono pierwsze objawy płucnej choroby, nie mogą czekać ani jednej chwili na jakieś tam sanatoryjne wezwania, lecz natychmiast powinni być ulokowani w zakładzie i rozpocząć leczenie. Wszelka zwłoka w rozpoczęciu kuracji grozi nieobliczalnymi wprost konsekwencjami, z których najłagodniejszą bodaj jest przedłużenie okresu leczenia. Młodzik blady, niedokrwisty, podejrzan tylko o „słabe“ płuca, a więc wcale jeszcze nie gruźlik, łącznie na „takowego“ może awansować, jeśli nie będzie miał możliwości natychmiastowego wyjazdu do Zakopanego i poddania się tam sanatoryjnej profilaktycznej kuracji, która w zwalczaniu gruźlicy jest najbardziej racjonalna.

To ratowanie młodzieży jest obowiązkiem nie tylko wobec młodych, ale i wobec

kraju i narodu. Właśnie dziś, kiedy wszędzie rozbrzmiewa hasło obrony ojczyzny. Przecież młodzież akademicka to przyszli oficerowie, a więc: dowódcy, lekarze, inżynierowie w wojsku. Trzeba więc, na miłość Boską, żeby ta młodzież, której przypadnie w udziale obrona naszego kraju, była nie tylko dzielna i odważna. Trzeba żeby była mocna i zdrowa! Jak najbardziej zdrowa!

Jest więc palącą koniecznością jak najszybsze wykończenie Akademickiego Sanatorium w Zakopanem. A później trzeba podobne „domy zdrowia“ dalej budować, budować, budować!

* * *

Kiedy byłem małym jeszcze chłopyszką, uczył mnie mój ojciec, że przechodząc koło szpitala zawsze trzeba zdejmować kapelusz. Kiedy zaś wejdzie się w szpitalne progi, to trzeba zachowywać się tam tak, jakby w jakimś kościele. Bo tam — jak mówił — przebywa wielka tajemnica... Cierpienia.

Ile razy, jadąc do Zakopanego, z daleka ujrzę z okien wagonu gmach Akademickiego Sanatorium, ściagam z głowy swoją czapinę. Nie dlatego, broń Boże!, że „Bratniak“ jest jakimś szpitalem. Nigdy szpitalem on nie był i nigdy nie będzie! Niech no spróbuje kto wejść do tego zakładu z namaszczonej miną i pełen powagi. Zaskoczy go od razu i oszołomi panująca tam atmosfera radości, gwaru, śmiechu, młodości i zdrowia. Boć to nie szpital, tylko „Dom Zdrowia“! Zdrowia!

Ja przed „Bratniakiem“ obnażam swą głowę z innych całkiem powodów. Oto, patrząc na dzisiejsze sanatorium, jestem — choć wiem, że tego niegodny — świadkiem najcudowniejszego cudu: to, co wydawało mi się kiedyś jakąś czarowną bajką, przybrało realne zupełnie kształty i istnieje dzisiaj na Gubałówce w Zakopanem.

To... jakby „słowo ciałem się stało“! Jakież to dziwne, jakie dziwne!... I to mnie, właśnie mnie, który kiedyś przed laty, wchodząc do „Bratniaka“ po drewnianych, nadwyrężonych schodach przeskakiwać musiał przez zmurszałe stopnie, żeby czasem się nie zawalić i nie złamać sobie nogi, — mnie dane jest dzisiaj wstępować po szerokich, bratniackich schodach, by w jakimś zaczarowanym pałacu!

Może w przyszłości, za jakieś kilkanaście lat, któryś z dzisiejszych kuracjuszków, odwiedzwszy Zakopane zaglądnie i na Gubałówkę. Stanie wówczas jak wryty... Ujrzy bowiem przed sobą całe szeregi budynków, pawilonów i zabudowań, zgrupowanych w jakieś miasteczko, gdzie akademicka młodzież z całej Polski szukać będzie wzmocnienia i odpoczynku po pracy. Bo wtedy tzw. „chorych na gruźlicę“ napewno już nigdzie nie będzie. Bo i skąd niby? Jeśli chorobę tłumić się stale będzie w samym zarodku, jeśli każdy student-słabeusz, zagrożony gruźlicą, będzie miał możliwość natychmiastowego rozpoczęcia profilaktycznej kuracji — skąd, pytam, wezmą się chorzy?!

Któż może wątpić, że tak będzie? Przecież po wykończeniu obecnego sanatorium nie założą się rąk i na laurach się nie spoczną! Praca dopiero się zaczyna i ludzie, którzy ją rozpoczęli pójdą dalej i dalej, wciąż naprzód i naprzód, aż powstanie nie jeden, nie dwa, lecz całe mnóstwo sanatoryjnych zabudowań.

Tak napewno będzie, bo tak przecież być musi!

I właśnie wtedy dzisiejszy kuracjusz, patrząc na to akademickie miasteczko, ujrzy mały, śmieszny czteropiętrowy budynek dzisiejszego zakładu, w którym on sam leczył

się niegdyś i powrócił do zdrowia. Uśmiechnie się cicho i zrozumie, że i jemu pozwolił Bóg być świadkiem cudu i bajki. Zdejmie wówczas kapelusz swój i pochyliwszy głowę, tak jak ja zwykłem to dzisiaj czynić, szepnie:

— Dziękuję Ci, Boże!

ZBIGNIEW MARKOWSKI

„GROTESKI Z NAD JEZIORA“

Zmierzch.

— *sitowie kloni się na wietrze
i wielkie wieńce kładzie na kryształach;
dalekie słońce błyskami promieni
łamie się w horyzoncie pomarszczonej fali...*

— *od brzegu po widnokrąg rozczłapał się wieczór
i umazany błotem — jak żaba się rozkrzecztał.*

Noc.

— *szara pochylnia powierzchni
zastygła w rozpamiętywaniu wieczoru;
brzeg w twarde szczęki
ujął bryzgi do ciszy nieskore...*

— *księżyc ciszy bryzgów nie zawierał:
w lśnieniu sennych blasków — rozrzucił nietoperze.*

Brzask.

— *w głębi — pod kresą nieba
kottuje się iskra w zygzakach świetlnej strugi;
z wikliny uspiętej wybiega
i zlewa się w niebosiężne smugi...*

— *a seledyn, odbity w tafli, rozwleka oprzędy
aż poza przybladłą — księżycową gębę...*

Wschód słońca.

— *wulkan bryztał promieniami
na wodnym horyzoncie;
wzdłuż piasku wybrzeża
zbudzone sitowie roztrącił...*

*a z górnych mroków powietrza spłynęła pliszka
i cudom słonecznym w wodzie przyziera się z bliska.*

Dzień.

— brzeg w pełni światła
przygląda się sobie w wodzie;
po falach,
młody zagajnik maszeruje — jak co dzień...

— tylko dąb wyciąga nad powierzchnię sekate łapy
i dziwi się rytmowi jeziora — i sapie.

Życie.

— krąg słońca
i kręgi zbiegłe na jeziorze,
dąb, brzeg, sitowie — :
świat rzucony w przestworze!

— bo spoza łądów wybiegli bez pamięci oni,
a śmiech (trzymając się także za ręce),
cały świat rozdzwonił.

„STAPKO“

WSPOMNIENIE LEGIONISTY (Z R. 1915) Z „BRATNIAKA“

W roku 1914 „Bratniak“ zamknął swoje podwoje, zmuszony do tego przez masowy odpływ kuracjuszy do Legionów. Po prostu zabrakło pacjentów! Dzięki staraniom przedstawicieli społeczeństwa zakopiańskiego, z ówczesnym prezesem Tow. „Bratnia Pomoc“ dr. Kazimierzem Dłuskim na czele, w „Bratniaku“ rozgościł się Szpital legionowy... Działalność jego — to promienna karta w historii „Bratniaka“. Niestety, austriackie władze wojskowe pod pretekstem, że „takie kiepskie pomieszczenie nie nadaje się dla takich dzielnych wojowników, jakimi są legionści“ — po rocznej działalności Szpital zlikwidowały.

Pamięć tych czasów przekazujemy we wspomnieniu p. O., legionisty, przebywającego obecnie w Zakopanem.

REDAKCJA

Było to...: przed przeszło 22 laty... W „Bratniaku“ w Zakopanem znalazł przytułek Szpital legionowy. Różne były jego koleje losu. Był rozwiązywany i zawiązywany. Tyle wiem o jego dziejach. Lecz nie o dziejach —, a o tym, co się tam wówczas działo, żywo dotąd pamiętam i napiszę.

Dziwny tam był i chyba wyjątkowy po wsze czasy „Bratniaka“ przychówek. Zganianina odpadków frontu w: $\frac{1}{4}$, $\frac{1}{2}$, $\frac{3}{4}$ „nieboszczykach“ i zgoła — — dosłownie umrzykach, co dziś wokół Pomnika Legionów i „za płotem“ cmentarza w Zakopanem leżą...

Trafił się niekiedy i zdrowy — jak byk „chory“, taki czy inny z N. K. N., czy z c. k. Komendy Legionów, by uzdrowić „ducha legionistów“, lecz różnie wówczas bywało.

— Dyktatorem w owe czasy — którego się setnie kiwało — był dr Krawczyński, —

co nie tylko mamonę, ale i ducha leguńsko, legunom zawszonym oddał, a oni Go popòlicie „Krawcem“ vel — nie zgrywaj się Kochany Doktorze, — „krzywą główką“ nazywali — —

Wespół z „Krawcem“, pogromicielem niesfornych bestii pospolitych legunów, był dr Pracki, co, gdy wgłębiał się w tajniki tego, co legun wypuł — — świecił sobie samorodnie, a gdy „bakcyła“ nie znalazł u kogoś, biegł rozpromieniony: „co z Wami“, „co z Wami“... Owego niemniej kochanego zbieracza laseczników, pasjonującego się nad mikroskopem, brało się zwyczajnie za doktorski chałat i... „Ślusował do glidu sitwy relutońskiej — jak się patrzy“. — Zrazu nowoprzybyli mieścili się w dużej sali (dziś nie istniejącej) — oczywiście zażywając swobody, by łatwiej było „markierantów“ i „łazików“ pospolicie do kadry wyłuskać...

Niesforne polskie leguny w C. K. Armii zwały się w urzędowym języku Vaterlandu: „Undiszipliniert“ — równe: „Civil-bagage“. To też i do owej naszej sali zjechał nauczyciel cesarsko-królewskiej cnoty... Zjawił się i zaraz był anonsowany, że u nas spać będzie, aż: „pan Feldfelbel c. k. Komendy Legionów“, od samego „c. k. pana Obersta Grzesickiego“. — To ci brachu nie lada ge-jubel. — Wybrano mu już honorne — a jakże — łóżko. Najbliższe drzwi, co w istocie okazało się wielką przezornością... Zdrow jak c. k. byk, (z „fasunku“ — „zupok“) a... leczyć się „przybył“. Coraz, to coś „extra“ dla znakomitości nie lada przynoszą, aż leguny coś między sobą mamrają — —: to: „lai-tuch“ na „becie“ bielutki rozesłali, to z samego ponoć prawdziwego „pirza“ —: „kopuśtrok“, w końcu „deke“ prześcieradłem podszytą... Leguny to wszystko oglądali — podziwiali, a gdy się ściemniało — po kolacji — gdy pewien popularny sierżant Enkaenowy mniej do sali zaglądał, szelmy — powiązali to wszystko na sznurkach tak, że owych wiązań jakoś widać nie było. Jeszcze dla godniejszego przyjęcia owej władzy — przez cały czas przygotowań znoszono buty. — Dodać należy, że leguńskie „lakierki“ były setnie podkute. To też — przy pilności — tych pierwszo-drugo brygadowych strategów: marszów, czy to: Kraków—Kielce, czy też: Töczö—Pantyr—Pass i innych było u ćwierć-nieboszczyków więcej, niż ci mieli w ogóle nóg.

Było już dobrze po kolacji. Było na dworze zupełnie ciemno. Zgaszono światło i tylko — co pewien czas, — uchylano drzwi. Podpatrywano, wypatrywano też przez okna i nadśluchiowano stale pod drzwiami, czy „władza“ się nie zbliża. — Wreszcie: idzie! Cisza — ciemno. Ciemno — cisza. Niektórzy się w śmiechu dławią. Drzwi się otwierają, „sympatyczny“ sierżant z N. K. N. zapala światło i woła: „Baczność!“ My — nic. Patrzymy spod koców, co będzie dalej. Woła: — „Mówi się: dobry wieczór Panie Feldfelbel“. — My nic. — Pan C. K. — grzmi: „Co tu za dyscyplina? — Szarzy się nie pozdrawia?“ — My nic.

Władza mruczy — po odejściu kolegi z N. K. N. — chrząka. My nic.

Tylko spod koców pilnie się nowej władzy przyglądamy.

Władza się „rozkitliła“ do bieli, zgasła światło i wlaźła pod „Decke“.

Ciemno — cisza. Chrząkanie — mruczenie. Cisza — ciemno.

Za pewien czas, gdy już „pon c. k.“ chrapać począł — chryja.

Cichutko. Cichuteńko: „Decka“ jedzie z pana władzy. Za nią „Kopuśtrok“ i ..., „Bet-laj-tuch“... Rwetes. Przekleństwa. Śmiech. Wrzask władzy... Naści. Gdzieś pierwszy załomotał, by granat — ciężki but. Za nim już, by „Trommel-feuer“ — „Enkaeno-

komiss-sikoroszuly“... Lecą leguńskie niczego podkucioki... W końcu ryk, bo władza widać oberwała. Szarpła koc, zarzuciła na plecy i z jednym butem w garści wyrwała jak była... wśród ryku-zadowolenia sali. — Ktoś po omacku rzeczy pana ceka Feldfebla wyniósł i więcej-śmy go nie widzieli. I nawet z tego nie było nic, bo ów celny strzał okazał się butem nieboszczyka... Nieboszczyk c. k. „diabła“ wyświecił.

Innym razem chodzi nasz kochany doktor Krawczyński z drem Witoszyńską. — Było to też jakoś przed spaniem, bo już wszyscy w swoich „barłogach“ tkwili. Na widok odzywa się: „A-a-a“. Wtóruje: Aaaaa, wreszcie ktoś musiał się udrzyć: „Eljen“, — a za nim jakby wtór rozkrzyczanych żab: Eljen, — Eljen... i popłynęła — w ślad za przyspieszonym krokiem — pieśń, Eljen nasz porucznik. Eljen jego szabla. Eljen — Eljen jego... którą nie dokończyli, bo dławili się w śmiechu. Dr Krawczyński już zza drzwi okrutnie zaciśniętym kulakiem groził...

Gdzieś w sąsiedztwie onej sali, kwarantannianej niejako, była salka nieco mniejsza. Była jakaś Fest-okazja, że kolega Opalko się forte-pianił, a kochana przez wszystkich od najstarszych do najmłodszych Jagódka z ułanem Homiczem „walczyła“ do upadłego. Opalek, co skończył, to na nowo zaczął ciągle tego samego walca — tak, że mnie się w głowie zakręciło i napisałem wiersz. Byłby to żywy świadek tych czasów — gdy „muskaly buciki w takt walca, a w duszy jakieś chochliki sprawują harce. — Długo, długo — ułan i dziewczyna nie dały spocząć myślom. —“

Ale było już na samej naszej sali jeszcze gorzej. Było zdarzenie niesamowite. Też ułan, ale inny, o ile pomnę — pospolicie zwany Beliniak ...z rozpaczysię upił... Bo... ponoć po nim zrozpaczona jego własna kobyła zdradziła go ze saperami...

Tu jedno jest bezwzględnie historycznie prawdą, że lunatycząc na dachu pod okna sali $\frac{1}{4}$ nieboszczyków podłazących do księżycy „odbył“ taniec nagości...

Stąd. Z tej sławnej sali po przeleżeniu między $\frac{1}{4}$ nieboszczykami, po należytych zbadaniach na wszystkie strony niestety — zawędrowałem nie do kadry i w pole, a do $\frac{1}{2}$ nieboszczyków. Oddział ten mieścił się całkiem w szczycie dachu głównego zabudowania „Bratniaka“ — willi „Grażyny“ dotąd istniejącej. W małym pokoiku jakby celce kamedulej mieszkało nas trzech: ja, Jarema i Mardula — legun-jakajła z „Łolce“... Tu świat boży oglądało się przez maleńkie okienka w szczycie zachodnim, wychodzącym na drogę i potok. Komunikacja ze światem bezpośrednia była możliwa za pomocą sznurka spuszczonego z okienka... Sznurek ten był skarbem pilnie strzeżonym. Tutaj naprawdę to człek poczuł dyscyplinę. — Wypisali coś jakby wyrok, czy przepustkę via „księdzowo łobora“ za płot na Nowotarskiej, wypisali po łacinie, co człek-realista „nijak wyrozumieć ni mógł“ i wpakowali w kompresy, bo „cosik w boku bulgało“ i tak coś trzy miesiące medycejskiego „kryminału“...

Przestudiowałem całą Biblię. Przestudiowałem całe dwa tomy Chamberlaina — „Die

Grundlagen des XIX Jahrhunderts“. Przystudiowałem Żywot Jezusa R..., a potem Niemojewskiego i właśnie wertowałem Burckhardta tom drugi Kultury Odrodzenia, gdy zjawiła się pierwsza niewiasta z miasta... i poczęła coś w rodzaju Misji... Dałem jej do przeczytania ustęp traktujący o klasztorach i zaraz ją djas poniósł może do piekła, bo więcej jej nie widzieliśmy, ku wielkiej całej naszej trójcy uciechu... — Tu w „Grażynie“ to był czas na kontemplację...

Przyszli któryś z naszych doktorów, czasem — nie dowierzając — wyjął swój termometr, obsłuchał, opukał... popatrzył tak strasznie dobrze i... powiedział „musicie leżeć“. — Tak było miesiącami. — Miałem wówczas niespełna lat trzydzieści —, a tu leż i leż...

Raz... jednego z dołu „Grażyny“ — (Rokitnianina) wynosili...

Uknuli Koledzy, że przemówię nad trumną...

Dowiedział się o tym „Krawiec“. Przyleciał i po wszystkim...

I nie po wszystkim, bo treść przemówienia dała osnowę bojowym o lepsze Jutro „Zaduszkom“ moim, które się w druku nie ukazały, bo nie mogły „lunatyczyć“ w swym tańcu nagości...

Bywało też, że ułamki nieboszczyków płatały psie figle, np. paniom z Zakopanego: „Pod Bratniaka się wybrałam...“

Albo „Szalone chwile...“ napisane drowi Prackiemu... za które podziękował: „świnia jesteście“...

Dobrocią nas otaczano. Przedobrzy byli nasi opiekunowie i ratownicy, lekarze. Sam byłem po krwotoku po kontuzji pod Krzywopłotami z r. 14, krwiopłuciu zakończonym wybuchem krwi w r. 15. Otwarcie wyznaję, że życie zawdzięczam drom: Krawczyńskiemu i Prackiemu, a także w losach „umrzyka“, jak mnie śp. Wyrwa nazwał — drom Woyczyńskiemu, Rudzkiemu, Kuczewskiemu i drostwu Dłuskim, bo trzeba wiedzieć ile dopomogli Szpitalowi legionowemu w „Bratniaku“, ile dopomógł dr Brzeziński... — Było w „Bratniaku“ bratnio dobrze przy istotnie rodzicielskiej opiece. Nie mogę pominąć tu... „babci“ Helmanowej — nie mogę pominąć „u-fährnryszonogo“ Winnickiego, gospodarza szpitala...

My ludzie zawszeni w marszach, o spoczynkach w stodółach, ziemiankach, rowach przydrożnych i pod koźmi, bo tam mniej śniegu było ...gdy siły opuściły, tutaj znajdowaliśmy ratunek przed śmiercią...

Coś psuć się poczęło. Nie z powodu głupiej jakiejś, tej czy innej awanturki, a raczej leguńskiego kawału, bo przecież leguny strzelali i w mordę bili i dobrze było, ale była w tym, co się działo z dawną, robotą:

„Hej od Tater wieje wiater, —

„— A

Dość, że pewnego poranku: „Legionisten-Bande: Auf. — Souperrevision“. Część była bez badania „Tauglich — ohne gebrechen“. Ci stali za oknami. My — na gołasa posiniiali z zimna przed „cielencyją“ — która tym razem była dentystą od płuc

ných chorób. Taki sobie c. k. Oberst Zahnarzt z „zeblem i myrdołami...” w cwikierze na sznurku... Nie bresze, jakim legun, w cwikierze na sznurku była cielencyjo... z wielką słuchawką... z dystansem przynależnym cielencyji... odbierała coś w rodzaju „Marodenraportu”. — Pobok stali główka w główkę nasi obrońcy: dr Krawczyński, dr Pracki i... dr Dłuski. — Leguny za szybami się czasem darli: „dać mu rrrrumu”. Pobok cielencyji z „trąbą” i w cwikierze siedział jakiś feldfebel — „zupok” jako — ze „Śriftführender” — jednym słowem wszyskusieńko po Vorśrifcie. Tylko te leguny „daaaać muuuu rrrrru-muuuuu”, — nie.

Przyszła na mnie kolej. Chudy byłem. Goły byłem. Wściekły byłem. Jak nie huknę: „gesund”. — Cielencyjo już dyktuje „Tau...”, gdy „Krawiec” woła „homoptoe”. — Cielencyjo się mnie przygląda i znalazła „Blutsturz”.

Narysowałem w szkicu tę scenę — ale zabrał mnie karykaturę z powodu ponoć „Cielencyjo wysoko” i sąd polowy może być, dr Pracki. W ogóle — ta doktorska cenzura??

Jednak miało być i było w samej rzeczy znacznie gorzej.

Bratniakowi wypisano: zginiesz leguński szpitalu.

— Było tak, że wybuchł tyfus. — Nikt nie rozumiał dlaczego nie cholera? Dlaczego nie dżuma? — W istocie byliśmy obozem trędowatych. — Głupstwa się mnie trzymały. Taki już byłem. Gadam do swoich: „Wiedziecie co? — powiesimy „tyfus”. — Mar-dule powiadam: „Koleżko znoś: gacie, koszule, pantofle, a buciory i czapka są...” — Jarema zeszył koszulę z gaciami i wybił inną „bielizną”, że uformował się „tyfus”. Namalowaną maskę wsadziliśmy pod czapkę, — przytroczyli buciory — i pod „zaprzysię-głą” tajemnicą na znanym sznurku wyciągnęliśmy pod gardło, aż zawisł na pazdurze „Grażyny” od strony drogi... oczywiście po ćmie nocy.

— Raniutko — jeszcze nie rozedniało, gdy wpada „Krawiec” — otwiera okienko i potem do mnie: — Oj stary, stary...“ Taki już był mój los, bo przyszła policja i robiła ruch...

Zaalarmowały kobiety idące z mlekiem, co... na Bratniaku się legun powiesił. Oczywiście po ćmie szarówki rannej nie spostrzegły napisu „tyfus”. Ten tyfus, to było — „Hej od Tater wieje wiater...”

Bo w Bratniaku — Szpitalu legionowym było dobrze, a w innym, też szpitalu woj-skowym było źle i, by nie było porównań, Bratniaka rozbijano... Taki był los...

Z węzłkami i plecakami byliśmy gotowi — do przeprowadzki do owego innego szpitala w Zakopanem... gdy Babcia Helmanowa jeszcze na pożegnanie przy dobrze zaczerwienionych oczach, kakao obiecała...

A gdy go widać nie było — to szła za Babcią piosnka. — —

„Jak kakaa nie dostanę —

„Helmanową rznę o ścianę...”

Bardzo prędko, bo już za parę dni — jeden z naszych ciężko chorych — leżąc w nie-opalanej separatce, przeniósł się na Nowotarską...

A nas „bandę” wnet z owego „Szpitala” — wyrzucili do Rabki — gdzie znowu byliśmy pod opieką „Krawca”, — który swoją pensję na poprawę życia legunom od-dawał... Panny Jagódki i innych strasznie dobrych Kobiet...

ŻDZIŚŁAW KATRA-NIEUCISZONY

(Wiąz: IR)

ŚPIEW MIŁOSNEJ CHĘCI...

Wszystkie ode mnie odeszły siły,
wszystek magnetyzm serca i oczu —
a noce trudem się moim opily
i legły w księżycowym roztoczu...

i świat się ubrał w szarą mgłę czekania,
w godziny, których celu nie rozumiem...
i szumię,
jak drzewa w godzinach konania, —
i, nie rozumiem —
i nic nie umiem...

— — — — —

...albo gdy śniegi:

— białe góry —
— duchy —

: i ludzie na nich; — błędzące okruchy
liniami tnące srebrne błamy śniegu
od brzegu do brzegu...

...albo gdy wiosna:

— wiosna, wiosna —
— kwiaty —

: jeszcze niedawno, ledwie dwoma laty...
a serce wrzało dziką chęcią lotu,
błyskawic i grzmotu...

...albo gdy lato:

— zboża złote —
— ciepło —

: patrzałem w słońce i serce się wściekło,
że całą ziemię nosilem w swych żyłach,
że, aż mnie upiła...

...albo gdy jesień:

— niebo płonie —
— śpiewa —

: a we mnie każda tęsknota dojrzewa
i pryska w barwach, woniach wrzосу, —
z siły i patosu...

.

a dziś...! — gdzież wyscie latem słoneczne dziewanny — ? —
— gdzież, zimą srebrzyste góry — ? —
— gdzież, wiosną i jesienią —: wiosenne i jesienne panny
do których serce moje biło taką siłą (— ? —)
: że się rozbiło... (— ! —)

I stanął czas,
i smutnie zajął w oczy —
i, jak bezruchy głaz
rozpędzony przez ciszę
— serca niszę
zatłoczył nieprzenikłą czernią nocy... (— ! —)
...i właśnie przyszłaś TY: — pachnąca — ...;
w gruźliczym, martwym tkaniu...
i w zaczekaniu —
uśmiechnęła się znów ma twarz do słońca,
i krew się znów rzuciła
do ust, oczu i łona,
o MIŁA! —
i, teraz słona
tęcza — stała się znów chwilą słodczy,
i znów gwiazdy powstały...,
ludzie wokół zmarli —: żyją!!
—: jestem znów cały,
znów z tysiącem obliczy,
i wszystkie we mnie atomy biją...

IRIS, —

— o, tęcza wstaje,
rozpina się kryształy, —
: zatapia kolorowe włosy w gaje
i lasy barwami pali...

IRIS, —

— o, na srebrnych pajęczynach jesieni
niby mleko rozpylone w promieniach...
— — jak z bajki ksieni, —
: zakłętaś mnie w czekających zachwyceniach...

IRIS, —

— o, aż w płucach już przestało boleć gruźlicze konanie
i już śmierć nie straszy mnie natrętna,
i idzie dziwne tęczowanie,

i dusza — staje się znowu namiętna... (—!!—)

— — — — —
— — — — —

*I ruszył czas,
— wyluskał z twarzy złe wypieki
i kwas
ciszy gdzieś zniknął..., i ktoś osuszył powieki...,
i znów jest rytm
i rym do taktu serca wtórzy
a przeszłość widm
nie czerni się, o nie! —: — lazury—;*

*I, przeszła mgła
i wraca siła magnetyczna —
i znowu w ozłoconych snach
motyli dusza ma kosmiczna...*

*I znikł — w księżycowym rozloczu trud
— jak z srebrnych grud
otopione skały, —
i jestem cały
jak z myśli — cud —
: cudowny, —: choć nietrwały... (—! ?—)*

JÓZEF FR. MATŁASZEK

WZDŁUŻ I WSZERZ PRZEZ MŁODĄ DUSZĘ

Mały świat zamknięty szlachetnymi płaszczyznami ściany nowoczesnej budowy. — Te same cuda tatrzańskiej panoramy, grani Tatr niskich. Słońce, chmury, mgły — wszystko wspólne dla tych i tamtych. — Ten sam szum strumienia u stóp płynącego. — Ta sama chwiejba śmigłych smreków i lipcem pachnących lip — dawniej — dziś, może jeszcze i jutro. Coraz to innym ludziom. Los wartko toczy młode jestestwa, jak potok, co u stóp płynie. — Wczoraj byli tamci, dziś inni, by wnet nowym miejsce zrobić. — Tyle już ludzi przewinęło się przez ten Zakład, a u wszystkich wciąż żyją te same obrazy. W na pozór nieruchliwym przybytku coś się przecież dzieje — mimo...

Analiza rzeczywistości.

Pospędzał los różnych ludzi. Samych młodych. — Powinno wrzeć i kipieć od ognia i zapachu młodości. Ale... Przyszli tu inni. To, co ich paliło, zostało na nizinach. Przyszli sami — z sobą. Z myślami: dlaczego i dokąd? Dlaczego stali się wybrańcami tragicznej konieczności? Przecież po raz pierwszy oglądanym własnym indeksem ucieśnieni byli jak wszyscy. Plany roili wielkie. Skończą studia wśród poważnego a beztróskiego „gau-

deamus“, tych kilka lat — — wejdą w to, co im zamięłowanie w ramiona rzuci, życie popłynie. Przecież są na przełomie rozwoju form bytu własnego i masy.

„Vita nostra brevis est“. — Nemini parcat? Tych — już naprawdę ciężko doświadcza. Wyrwani gwałtem z dusznych i ciasnych sal wykładowych, poważnych sal seminaryjnych, laboratoriów, prosektoriów — przyszli odetchnąć. Tak, jak tamci w swobodzie czynu i ruchu, mieszkańcy różnych pensjonatów i schronisk — tym samym przecież górskim i leśnym powietrzem. — Chorymi płucami. Chorymi!

Zagrożeni — i ciężko chorzy. Karmią się marzeniami, które im starczyć muszą za wszystko, co radość życia daje — innym.

Przeważnie młodzi. W trzecim krzyżyku lat. Właśnie: studia. Przy tym gruźlica. Leczą się. Wypoczywają. Żyją zbawczym tlenem i — optymizmem.

Dziś. A: do kiedy? — Ten tylko sześć tygodni. Tamten już trzecie sześć tygodni, a ten, przechodzący tarasem: trzeci rok. I: dokąd jeszcze?

Wszedł „cywil“, „człowiek, który chciał napisać reportaż o sanatorium. Wybrał „Bratnią Pomoc“. Dowiedział się skądś, że tu najłatwiej podglądać to, co jest właściwe takiemu zakładowi. Trzeba mu pomóc. Oprowadzić go, niech widzi sam bezpośrednio, może dojrzy wycinki, których inny nie widzi, choć patrzy na nie tygodniami. Nie zdradzą, na jego żądanie, celu jego pojawienia się tutaj. Będzie znajomym. Po prostu: zwykłym znajomym „z miasta“. Był na werandzie, był w pokoju, w saloniku i korytarzu, na klatce schodowej poczynił ostateczne zapiski spostrzeżeń. Żegnając się, w roztargnieniu zostawił skromną kartkę w nowowydanym tomiku, który mi dedykował:

— „Budynek: po prostu pałac. Czysto (przesadnie). Higiena (oczywiście nie luksus). Jasno, dużo słońca. Ściany właściwie się śmieją. — Ludzie jacyś dziwni. — Czy to sanatorium: pierwszych czterech spotkanych: — zdrowi (narysowany młody człowiek w pyjamie). — Na werandzie (podkreślone) dużo leżaków. Werandujący. Dziwne: każdy z książką, albo z gazetą. (Jeden w rogu — zamknięte oczy — pewnie chory). Słowniki obcych języków. Widzę: Céline, Maurois, Tolstoj — Goethe (!) — Uay! Co panowie robią cały dzień? „Jak pan widzi, — to jest prawie cały dzień“. — Aha! bezruch — wypoczynek.

Miasto? — Rzadko, prawie nie, właściwie przeczy temperament..., zależne, — niech mnie pan dobrze zrozumie! (podkreślone). Zasłony? — Widzi pan, zazdroszczę opalenizny, ale nie należy, nie wolno. Choć, kto wie? (encyklop. gruźlica — słońce?).

Szachy. Dama pique pod leżakiem (satyra?). Dwa regulaminy: urzędowy i spis dobrych obyczajów (prywatny). Kaszel. Niebieskie puszki z metal. pokrywą. — Chorzy. Dziwnie. Małomówni. — (radio)

Pokoje, kilka. Leży błąd! — Puste, graciarnia, cmentarz kafi i klamek. — I weranda. II p. kobiety. — III p. — okaz („na kawernie“, „na papie“) bez wody i instalacji. W pokoju — tylko dla snu. — Obecnie 13 leży — 73 zdrowych (15%). Pokój miły. Jasno, wysoko, prosto — serdecznie. — Mają zniżkę 3 zł. T. P. M. A. — zawsze pełno. Uczą się. (Umierają też!). Co pan powie o sobie: zdrowy! — Oczywiście, mówi, że nawet ma za wiele o... gruźlicę. — Władze?: szalenie. — Towarzystwo?: niemniej. Zadowolony bez granic. — Nadzieje: żyć. — Pragnienia: żyć. Studia: prawo — blisko końca. Kraków. Ciężko o pomoc sanatoryjną. — Brak kredytów własnych i społecznych. Lwów, Warszawa, doskonale, Poznań, — Wilno, Lublin... Dziwnie nie chce mówić o sobie.

Tra — la — la — nie uda się. — — —

Zdumiałem się po przeczytaniu tego świstka. Zresztą... co mógł więcej spostrzec? —

Widział to wszystko w momencie statycznym. A chciał pewnie widzieć ludzi w działaniu! — Wleźć w środowisko. Wżyć się w koło dnia, może wgryźć się w psychikę kuracjusza. Oczywiście siądzie po przetańczonym five'ie w zacisznym pokoiku, który od kilku dni zamieszkuje i napisze do poważnej prasy wywiad z sanatorium. Okrasi te brednie słówkami podłego współczucia, przyklei roześmiane twarze widzianym ludziom, litować się pewnie będzie najbardziej nad tym jednym „w rogu“, że „myśli“, że „ma oczy zamknięte“, że „pierś mu się wzrusza niezdrowo“, że „tam spokój i wypoczynek“, że „kompleksy freudowskie“, które wyczuwa, psychologizując uczenie. Nie! Rzeczywistość jest tylko jedna, ale inna, niż ją widział. — Gdy przestąpisz te progi, jako kuracjusz, ujrzysz wszystko z bliska, bo ujrzysz... siebie. A staniesz się solidarnym i na ciekawego cywila spojrzysz z wyżyn dostojeństwa ciężkiej choroby. I pokażesz mu się innym. Takim, jakim byłeś, nim tu przyszedłeś. Atmosfera tego zakładu, wtłaczając cię w ramy wspólnego regulaminu, sprawia, że: fizycznie trwasz w bezruchu, duchowo dojrzewasz. Przygotowujesz się do spodziewanej przyszłości.

Wnikliwy obserwator dojrzałby więcej.

(Proszę mi wybaczyć wszystko, co w moich słowach zawarte koliduje z rzeczywistością osób i sytuacji.)

Żyje się tam tak, jakby przebywanie w sanatorium było dłuższą przerwą w młodym życiu. Bytuje się niesłychanie sympatycznie. Nie wiem, czy istnieje inne zbiorowisko kilkudziesięciu ludzi, tak się rozumiejących, tak przyjaźnie i bezinteresownie czujących wobec towarzyszy doli. To pewnie zasługa tego „wspólnego języka“, jakim jest fakt kształcenia się, wspólności kultury, bez mała jednego stopnia inteligencji, zainteresowań i zamiłowań. — A dalej: wspólnych dążeń życiowych, jednakich nastrojów społecznych (tak!). I — niestety — wspólnej bezsilności i takich samych szans wobec przyszłości. Zresztą: jutro i zdrowym niewiadome. Dlatego optymizm stosuje się i na własny użytek i dla cudzej pociechy. To, że tam kilku odeszło z tej czy poprzedniej „brygady“ — to jeszcze nie dowód, byśmy mieli załamać się. „O! mnie tak dobrze odma idzie!“ — Czas też „idzie“. — Czas nie istnieje. Wiadomo — przerwa w życiu; tego się nie policzy. A wspomnienie o życiu bratniackim złączy np. 3 z 4 rokiem studiów, w latach 1934—1936. Dłuższe wakacje, spędzone nad rzeką własnych doświadczeń, w słońcu bohaterskich nadziei i powietrzu obłocznym marzeń.

Nie ma przesady w powiedzeniu, że poszczególne sceny tych dłuższych wakacji zdrowotnych rozgrywają się w granicach regulaminów. Reporter dostrzegł dwa. Urzędowy. Ten zdobi ściany. Bywa, że samotny mieszkaniec na znak swego gorliwego indywidualizmu i młodego poczucia swobody, wkłada go do szuflady, tekstem w dół. Jeśli to uratuje jego poczucie nieskrępowania? — Owszem. — Istotne jest to, że go szanuje i respektuje nieraz tak gorliwie, że zamiast 6 — weranduje 8 godzin. — Dałoby się zauważyć, że liberalistyczne zachcianki ładu społecznego w Bratniaku pokrywają się właśnie z regulaminem. Można zaryzykować twierdzenie wręcz anarchistycznie brzmiące, że zdetronizowanie „ustawy porządkowej“ ze ścian wykonałoby jej treść tak samo wiernie, jak sobie jej twórcy życzą. A przekorna młodość miałaby poczucie, że też umie się mądrze zorganizować, ale sama, oczywiście tutaj tylko pod kątem wspólnych rygorów, jakie przecież muszą obowiązywać w ruchliwym ilościowo i jakościowo domu zdrowia. Zresztą specjalne egzekwowanie regulaminowych powinności stosowane jest niesłychanie rzadko. Atmosferę mistycznego wprost poczucia ładu urabiają władze.

Groźnie brzmi taki termin, choć kryje się za nimi przemile wspomnienie trojga osób, z których każda (zresztą to nie tylko mój własny subiektywizm) dałaby się scharakteryzować krótko: Sprawiedliwość, Troskliwa Czułość i Obowiązek. — Korzystam chwilowo z „zakrajowości“, mogę więc pozwolić sobie na szerszą opinię. — Troje białych ludzi. Zawsze w śnieżnych kitlach ze stetoskopem w kieszeni: — symbolem fachowej władzy lekarskiej. — Lekarze bratniacy. — Kochani ludzie, którzy właśnie sprawiedliwością, troskliwością i obowiązkiem, jako metodami swej pracy, narzucili nam to, co chcieli widzieć wykonanym w myśl regulaminu. Tego co wkładali w ratunek żywotów naszych nikt im nie zapomni z nas, którzyśmy tam miesiącami przebywali. — Ironicznie skromne podziękowanie — pamięcią! — Ale są przecież i rzeczy nieocenne, którym nie można nadać równowartości, jeśli duch ludzki najwyżej może zdobyć się na wdzięczność.

Drugi regulamin, pisany przez samych kuracjuszy, wypełnia humorystycznie luki poprzedniego, zakazujące mówienia przez sen w czasie „cichej“ popołudniowej werandy, poszanowania cudzej własności przez niecudzołężakowanie. Brydzyści zastrzegają sobie w nim kategorycznie wydzieranie kart z rąk przez... kibiców itp. To jest krzywe zwierciadło lokalnych porządków.

Odgłosy zaszłości światowych przenikają przez mury „żywego mauzoleum“ przez prasę dokładnie studiowaną. Przewody żółtych nitek wprost w mózg wświdrowują dzienniki radiowe, poważne melodie nieśmiertelne Szopenów i Mozartów i także śmiertelne synkopy fox'ów i zawodzenie harmonii — tanga.

Miejscowa biblioteka krzepi ducha kilkoma tysiącami tomów — w tym poważne ilości tomów ściśle naukowej literatury. Nauka obcych języków kwitnie raczej po kryjomu. Małe brewiarze słowników widzi się nierzadko. Samouczki — czytanki. Gdyby nie zmieniający się często skład ludzi — istna wieża Babel, tym różna od legendarnej, że wspólna bieda tu wszystkich łączy — jak tam — podzieliła.

Czy tu nic ludzi nie dzieli? Rzadko: rasa. (Żydów bywa mało, nawet procentowo wyraża się skromnie, co należy tłumaczyć lepszymi warunkami materialnymi Żydów studiujących i stąd mniejszą przyczyną zapadalności na gruźlicę). Ale nierzadko: płęć. Ten problem opiewany i opisany w tyłu księgach — tu zamyka się w jednym spostrzeżeniu: brak ilościowej proporcji, odpowiadającej duchowym zapotrzebowaniom kuracjuszy, czyni z kuracjuszek — koleżanki. Oportunistyczne przewartościowanie zasady dla wygody życiowej zmniejsza ilość „cierpiących Werterów“ i rozmazanych młodzieńców — co (laik jestem) nie jest bez wpływu na duchowy spokój tak potrzebny w leczeniu gruźlicy. Już prędzej podzieli ludzi odmiennosć zapatrywania (zresztą w encyklopedycznych szczegółach) w czasie tak zwanej namiętnej dyskusji, często jakże akademickiej. Nierzadko nieprawidłowa licytacja brydżowa, a może i to, czy Peru źle czyni, gdy Urugway...

Prawda, że to wszystko jest tak, jakbyśmy chcieli widzieć w sanatorium, jakbyśmy może i widzieli, gdybyśmy tam byli, ot — zdawkowość, zewnętrzność. Ale jest jeszcze coś, co dojrzeć można dopiero pod mikroskopem głębszych metod psychologicznych.

Człowiek w konflikcie z sobą i z rzeczywistością.

Trzeba być Mannem czy panią Fr. Pastorelli, by pokusić się o wyrażenie słowami tych wszystkich stanów psychicznych jednostki, czy całego społeczeństwa sanatoryjnego w sposób tak plastyczny, by w czytelniku stworzyć cały obraz, wykończyć zamiar w szczegółach i zreć, przez podkreślanie walorów literackiego szkicu, pokazać psychikę

gruźlika — młodego człowieka. Trzeba więc przyznać się z góry do nieumiejętności władania piórem i braku zdolności analiz psychologicznych, ale nie zrezygnować z wystenografowania luźnych myśli, które przewalą się przez skolataną głowę kuracjusza. A podglądać te myśli raz, może drugi raz i — dziesiąty — to znaczy: poważnie przypuścić, że z małymi odchyleniami powtórzą się — zaryzykuję — u każdego.

Tam, w drugim szeregu leżaków — na werandzie — nie różny od innych — leży młody człowiek. Twarz jakaś zmęczona, przyblada. Otworzył w tej chwili oczy, by spojrzeć na srebrny słupek rtęci. Dopiero trzyma w ustach to długie cygaro termometru trzy minuty. Czyżby dopiero trzy? A już tak długo mu się to wydaje. Już się słońce dobrze skłoniło ziemi na przedwieczorne pożegnanie i rumieńcem gór jakby zapłonęło — zawstydzony, że tak krótko im dziś słało ciepłą radość! Jutro wróci znowu. — Teraz jest już 37,2. — Tak było wczoraj. I dawniej jeszcze. Już tyle dni jest bez zmiany. Długie rzęsy powiek przysłoniły znowu sine wgłębienia oczu. Na czole, ledwie widocznym spod głęboko wciśniętej czapki, łuki brwi przedzieliła głęboka poprzeczna bruzda. Ręce niespokojnie splotły się na karku. Pan (nazwijmy go Kowalski) — wydaje się — o czymś myśli; zapomniał, że jest obserwowany, zachowuje się jakby był sam jeden na świecie. Niezadowolony, że słońce wąską szczeliną sączące się na werandę, gdzieś nagle zanikło. Słońce! — Które on tak lubił. A dziś miałoby się stać jego hańbą. Jak to wszystko pogodzić razem? „Naświetlanie słońcem szkodzi“. Jemu tego nie wolno. Teraz. I odtąd — i czy na zawsze? Nie — gdy wyzdrowieje — myśli — wróci do tego wszystkiego. Przecież ten stan chorej młodości przeminie. Jeszcze — pewnie — wszystko będzie dobrze. Tyle planów? — Ale — zreflektował się i jakby dojrzał swą myśl wyjątkowo wyraźnie i ostro — od tylu rzeczy musiał odwyknąć w tym środowisku! Albo i to używanie tytoniu. Ha, śmieszny byłem. Kiedy po Nowym Roku tu przyjechałem, na dworcu postanowiłem opóźnić zgłoszenie się do sanatorium do późnego wieczoru. Jakież byłem głupi (nikt mnie nie słyszy; co za rozkosz wiedzieć, że nikt nie podgląda ludzkich myśli!) i śmieszny, gdy ostatnie na dworcu zakupione pudełko papierosów miałoby być moim ostatnim — na długo. Kto by myślał, że będę i tutaj mógł zaciągnąć się chmurą rozkosznego niebieskawego dymu? Włącząc się tych kilka godzin dnia między ludźmi (chyba zdrowi?) chłonałem nikotynę „na zapas“. Wieczór rozstawałem się z resztą długich, okrągłych radości, oddając je „dryndziarzowi“, z takim jakimś naiwnym smutkiem, jakbym oddawał własne szczęście. Dla zdrowia. — A no — sanatorium — trudno, trzeba się rozstać. Na drugi dzień wyśmiał mnie mój współlokator, widząc, że jednak znalezione w kieszeni papierosa wypalam ze sztubacką zachłannością w ciemnym kącie tarasu. No, to przynajmniej zostało. Ale — to inne. Ja, któremu świat dawał tyle okazji do radości, tu się z tym rozstać musiałem. Dziwne nastąpiło przemałowanie potrzeb. A jeszcze przed miesiącem wyśmiałem Kołę, gdy przed zaśnięciem w ciemnym już pokoju naszym kawał gwiaździstego nieba przysłoniła sylweta takiego długiego dragala. Nie wiedział, że nie śpię. Oparł się o szybę — i długo — widziałem — patrzył w światła miasta. Krótkie „eeech“ tam ludzie bawią się, szaleją, kochają się — a tu człowiek, jak w więzieniu. Mruknąłem mu z ironią, by się nie łudził, że jeszcze tam w świat żywych wróci, — o ile oczywiście dożyje. Przegadaliśmy kawał nocy. On już wyjechał. A ja? — Ja też wyjadę. Ale już bez tej radości, jaką miałem przedtem. Coś się ze mną stało, czego określić nie mogę. Do niedawna raziło mnie wiele. Dziś nie reaguję na wiele rzeczy. Nie mogę powiedzieć, by mi zależało na życiu. Choć to tylko tak się myśli czasem. Stępiełem na wiele

rzeczy. Przedtem ta niebieska „skarbonka“ na plwocinę budziła we mnie nieopanowany wstręt — dziś stała się nicodzownym meblem. Uzasadniającym się — użytecznością. Widok schorowanego Julka spod jedyńki budził we mnie litość, dziś urosło to do jakiegoś sympatycznego uczucia. Tych dwóch momentów nie zapomnę chyba nigdy: ten twardy i mocny człowiek rozplakał się dwa razy w życiu. I to w moich oczach. Raz, gdy lekarz powiedział mu o wyjątkowej poprawie, drugi raz, gdy ujrzał przez otwarte drzwi wróbla w śmiertelnej męce tarzającego się wśród okruszyn. Julek płakał. To było wyjątkowe. — Ale Julek już umarł. Umarł — po prostu: umarł. — Mnie to przecież też czeka“...

Kowalski otwarł znowu oczy. Termometr wskazywał 37,3. — „Dość tego na teraz“. — Jest prawie czwarta. „Dziś dziwnie jestem niespokojny. — Trzeba przyznać, halny zapowiada się imponująco. — Nie wielkie to — to, ta chmurka, znad Czerwonych Wierchów, ale kotłuje się wciąż na tym samym miejscu, jakby się nie mogła zdecydować. Opowiadali dziś rano, że ostatni halny tyle drzew połamał, tyle serc „wywrócił“. Czyżby z tymi sercami to była prawda? A no, zobaczymy dzisiaj. — Rzecz inna — niezbyt się dziś dobrze czuję. To chyba chwilowe. Jeśli tak będzie dalej — założą odmě. Najpierw jedną, potem drugą, jak każe zwyczaj, drugą. — Wysięki, niespodzianki. — Noś to tyle lat z sobą! I na co? Gdybyż się wróciły młode lata (przecież jeszcze stary nie jestem), choćby podchorążówka! — Ależ był to straszny dla mnie moment, gdy po złożonym raporcie rzygnąłem krwią. Z gardła!! — Ironia! — Z gardła! — A to już była żywa krew z płuc. Nie wiedziałem o tym wtedy. Dopiero ostatnia grypa wszystko utajone wyzwoliła. Stąd tu jestem.

Dlaczego ten tam, mój sąsiad teraz śmieje się tak głupio. — Młodzik. — Temu jeszcze życie uśmiechem spływa. Poczekaj, chłopcze, przyjdzie czas, tak jak na mnie, że cię najgrubszy kawał nie rozśmieszy. Ani się oglądniesz, jak spoważniejesz. Tylko zostań sam z sobą i z swymi myślami w ciągu kilku bezsennych nocy. Nie miej do kogo gęby swej otworzyć, a będziesz prosił Boga, byś mógł uciec od siebie i zagubić się. I przetrwać to wszystko, tę swoją tragedię. — B-o-g-a? — Co za dziwny termin — i sens? A ja tak wierzyłem niegdyś! — Ach, nie to, że miałem z religii, w sztabie jeszcze, „bardzo dobrze“, nie to, że odbywałem obowiązek wspólnych spowiedzi gimnazjalnych, — nie to, że uchodziłem za wierzącego i religijnego w oczach najbliższej rodziny. — Nie to. Ale tak już było. — Dopiero wtedy po tych moich upadkach (nie, nie wracać do nich!) zagubiłem to pojęcie. Stał mi się obcym, nie moim. Stał się frazesem takim, jak w Apologii Platńskiej „pros kyna“. — To drugie nawet bardziej mi się podobało, tamto było puste. Nie miało znaczenia. — Julek wierzył. Do końca. — Umierał ze swoim Bogiem. — Zachnął się, gdyśmy raz Stacha ubrali w jego własne jedyne czarne ubranie. Zawiazali czarną muszkę pod kościstą grdyką, oczy kazali „w słup zrobić“ i w kościste jego szpony włożyli asa treflowego. — Tak, Stach widział całe piekło rewolucji sowieckiej, miał 15 lat, gdy chodził do „powszechnej“, wypruli z niego wszelkie tęsknoty za Bogiem, czy inną ideą. — Dla niego to był zwykły kawał. Jednak wtedy byliśmy trochę speszeni. Julek zapoczątkował „drogę powrotną“. Jakie to wszystko dziwne! Stach sam raz zaczął od swego sakramentalnego: zrób co chcesz, ale... i długo mówił; kołował i jakby nie mógł odważyć się wykrztusić z siebie tego jednego słowa: Bóg. — Byliśmy jeszcze wtedy „bezwyznaniowi“. Imponowała nam wtedy religia „bezwyznaniowości“. Wydaje mi się to dawnym — a przecież to dopiero... i dziś nie wiem skąd widzę się znowu innym. A rewolucji pod tym względem nie przeżyłem. Rewolucji młodego serca i rozumu.

Wsiąkają przeżycia i myśli w tę wielką gąbkę mózgu i tłamszą się tam tak, jak mnie przez całą dzisiejszą ciszę. Zaczęło się od przeczytanego wiersza „Miłosierdzie“. „A my nie damy bliźniemu pomocy, rady skutecznej w imię przykazań boskich, w imię miłości wiecznej? — — — Już więcej nie będzie cierpiał, już teraz będzie mu dobrze — — — I milion złotych zebrali: na pogrzeb!“ — Z miłosierdzia przyszło do jego oceny. Nie chciałbym nigdy widzieć dokoła siebie litości. Ciekawy jestem, skąd się wzięła, z jakich przyczyn, pomoc dla studiujących. Pewnie nie z litości. Zmaterializowany świat ma to chyba tylko dla — — — tradycyjnej przyzwoitości albo — kaprysu. Z wyrachowania? Czyżby? Liczą jeszcze na nas? Właściwie — choć nie ma im jak tego powiedzieć — nie zawiedliby się na tym. Zastanawiające jest jedno: poważne, choć ostrożne traktowanie swej roboczej wartości. To nie są frazesy. A na ogół mają nas za straconych. Niestuszenie. Gruby błąd! To pewnie wpływ dziedzicznie tkwiącego błędu w traktowaniu gruźlika, jako symbolu niesamodzielności i pasożytnictwa. Tylu moich znajomych wsiąkło w społeczeństwo i zapomnieli wśród trosk zawodowych o chorobie. Gdzieś tam, kiedyś, raz na rok — przez miesiąc zjedzie w góry, naładuje się balsamem leśnego powietrza i wraca. — (Jak będzie ze mną?) Tylu z nich dziś już słońca nie unika, wyżywając się na białych stokach hal — na „deskach“! Tylu żyje — i żyje! — Kola miał rację! — Tu można tylko o tym marzyć i marzyć chorobliwie. Ach, to straszne. Gdybyż ta izolacja miała bliski koniec! Gdybyż to jakiś trust mózgów postawił sprawę gruźlicy, jej leczenia, na realnych torach. Jakieś cudowne lekarstwo! Jakis zabieg — transplantacja — by tej chorej ludzkości o tyle wydłużyć szczęście, o ile skrócić proces gruźlicy. Choćby drogą zakażania pokoleń stworzyć pierwsze — dziesiąte po nas — które uodpornione, chore, ale zdolne do pełnienia życia — pobudowałoby sanatoria dla — — — zdrowych wyjątków z imponującą ilością 8.619 (z r. 1936) ...łóżek. Odizolować zdrowych, stworzyć im takie komfortowe pałace, w których by mieli wszystko — z wyjątkiem... prawa do życia w gromadzie. Jestem pewny, że w drodze zbiorowego buntu zburzyliby te gmachy, z gruzów ich pobudowałiby pomniki swobody i sami poszli wśród wszystkich chorych z sercem, dojrzałym przez zrozumienie.

Byłby się może Kowalski od tej chwili począł prawdziwie gorąco buntować przeciw osamotnieniu, jakiego doznaje zewsząd. Właśnie zaczął zdawać sobie żywo sprawę z tego, że jeśli ma jeszcze wrócić do „żywych“ (tak nazywał wszystkich zdrowych) nie będzie mógł przyznać się do swej przechorowanej młodości. Pracy nie dostanie, „bo ze zdrowiem niepewnie“, ludzie wytkną go palcem i szeptem określą: „płuca“! Nawet, gdy wróci dla kontynuowania studiów, wynajmując skromny kąt na poddaszu, dostanie go z zastrzeżeniem, „o ile jest zdrowy, nie jak tamten pan, co był u nas“.

Byłby może zaklął grubo i ordynarnie na taki „porządek świata“, gdyby nie to, że sam przed chorobą przecież nie inaczej do tej gruźliczej biedoty był ustosunkowany. A przede wszystkim, gdyby jego ruchliwej, jak dzisiejsze niebo, wyobraźni nie sprowadził z abstrakcyjnych i dalekich myśli — na ziemię — wesoły dźwięk dzwonka, oznajmającego koniec „werandy“.

Powoli rozgrzebał splecione koce, zawadiacko wysoko podniósł daszek od czapki: zwłókł się leniwie z wygodnego leżaka. Spojrzeniem weselszym niż dotąd, filozofa, prześliznął się po zaróżowionych od chłodu i snu policzkach kolegów. Rozprostowując znie-ruchomiałe od dwóch godzin swoje — jak to określał — „szanowne zwłoki“, zdołał wsunąć swą prawicę pod rękę przechodzącego obok Pankowskiego. Na jego pytające

spojrzenie odpowiedział: „Może do wiosny — ale nie tej najbliższej. Pankowski! Kiedy Wy się uśmiechniecie? Dla Was mało i poker z ręki i czwarty wsięk. Wymyślcie coś przecież, inżynier będziecie...” Pankowski zatrzymał się. Przesmutna twarz jeszcze bardziej posmutniała: „Chodźmy co zjeść, potem pomyślimy o trumnie. Na kółkach” — — Sapristi! Spróbujcie to wszystko przeżyć i zrozumieć.

ŻDŻISŁAW KATRA-NIEUCISZONY

(Wiąż: Impotencje)

ZŁODZIEJ

Czemu pędzisz?

— o, rozplaszcz się, abym mógł po twoich świerkach stąpać
adularowy kochanek twych ozonowych linii...

Czemu tak uciekasz od dołu do gór,

do tych kapryśnych lecisz chmur —

gdzie masz nad sobą koronę, — — smrekowy borze mój — —

co przepaściami błyszczy minii

korona na wysokość granitu Tatr...

i wyżej wieniec ubity ze chmur przez — wiatr —;

O każdej porze dnia zmienny twój strój

a wyście mnie przeklął —: wy mój! — góry i borze ty mój;

Przez sanatoryjne okno widzę was,

— : i las,

i góry,

i chmury,

i — w niepoktóry czas

z taką siłą słyszę wasz głaz, —

że — zerwany ku wam — dopiero ginę przestrzenią pokonany...

— jakież ten mój ból głupi, jaki nikomu nieznany...

— — — Bakcyl przyszedł, zakreślił się, powąchał, zagospodarzył,

— zjada jedno, zje i drugie... — obcina piórka wolności po kolei...

— i co! ? — i jeszcze taki wypadek się nie zdarzył,

żeby ktoś śmiał zaliczyć imci pana bakcyła „kocha” — do grupy
najkapitałniejszych złodziei...

MARIAN RUTH-BUCZKOWSKI

O PROPAGANDZIE SŁÓW KILKORO

Źle się dzieje z tą propagandą przeciwgruźliczą. Jest deprymująca, destrukcyjna, ba — antypaństwowa. Bo, jakże? Co który to człowiek umiera w Polsce na gruźlicę? Czytałem gdzieś, że co szósty. — Niedopuszczalne! Należy tępić takie informacje. — Zamazać afisze przedstawiające młodzieńców odrażająco chudych, podtrzymywanych

przez pielęgniarki. Zakazać podawania cyfr, określających ilość zakażeń, ilość zgonów, ilość prątków w powietrzu itp. Nie wolno! Nie tędy droga.

Nie należy społeczeństwa poruszać hasłami, wywołującymi strach i utratę wagi. — Zwała się na jednego z drugim takie potworne cyfry, procenty, wykresy, dowie się, że w tramwaju, na ulicy, w teatrze, w lokalu rozrywkowym prątki fruwią jak chrząszcze. Będzie pamiętał, że wieśniaczka, która mu przynosi mleko, jest chora na gruźlicę, że wieś, w której miał spędzić urlop jest zagruźliczona, że — dajcie spokój! Czy chcecie jeszcze dodać, że większości niedożywianej dzieciarni polskiej grozi gruźlica, że młodzież gimnazjalna i uniwersytecka w 19% wykazuje zmiany gruźlicze? Nie róbcie tego! Postępując w ten sposób wprawicie społeczeństwo w stan najgorszego pesymizmu.

Taki — jeden z drugim — oglupiony cyframi i przerażony obywatel stanie się hipochondrykiem, będzie miał zatruty każdy dancing, zamiast mleka będzie chlał wodę, nie wyjedzie na wieś, diabli wiedzą, może nawet nie poszle dziecka do szkoły, o uniwersytecie zagruźliczonym — mowy nie ma! Biedny obywatel zacznie pokasywać, przesłaniając usta ręką, będzie mierzył temperaturę, o 11 rano i 5 po południu, zacznie się ostentacyjnie obnosić z kieszonkową spluwaczką, — a mając w ten sposób mocno zwiększone wydatki — nie da ani grosza na walkę z gruźlicą.

Po dwu latach takiego dręczenia się obywatel nieuchronnie zapadnie — na gruźlicę... uzupełniając urzędową statystykę chorych na tę reklamowaną chorobę.

W taki oto pogładowy, a mocno niekompletny sposób, przedstawiłem złe strony dotychczasowej propagandy antygruźliczej. — Pomiąłem tu taki np. aspekt tej sprawy. Dowie się jeden z drugim, że gruźlica nie jest wprawdzie dziedziczną, ale jest za to dziedziczna dyspozycja. Ano! Zacznie więc szukać tej dyspozycji. — Porozstawia rodzinę po kątach, i nuż grzebać w swoich przodkach i przodkach przodków, zapomni o regularnym wypróżnianiu się, krew sobie zatrjuje wszelkimi miazmatami, żółcią się zaleje, straci apetyt, sen, zdrowy rozsądek i dostanie gruźlicy.

Bardzo aspołeczna jest dotychczasowa propaganda. Defetystyczna. Każe jednemu spoglądać na drugiego wilkiem (jest taki *lupus tbc.*) A czy z tego może co dobrego wynikać? Ani spokój, ani poprawa samopoczucia, ani wzrost ofiarności, ani turystyka... Bo jakże jechać na wieś zagruźliczoną? Do Zakopanego? Lepiej już siedzieć w Warszawie, rozpylić w pokoju leśną wodę i słuchać radia, bo to jedyny przedmiot użyteczności publicznej, nieprzynoszący tych cholernych bakcyliów.

Uśmiechacie się, nie dowierzacie? Domagacie się dowodu na poparcie mojej tezy. A dlaczegoż to — pytam — skoro wykazaliście jakie straszliwe żniwo zbiera ta choroba, dlaczego to — pytam — nie nastąpiło dotychczas pospolite ruszenie naszej społeczności, dlaczego nie posiadamy sanatoriów, mogących pomieścić choćby dziesiątą część gruźlików, dlaczego to „Bratniak“ nie może się doczekać zastrzyku złota?

Pocziwe doktorzyska spoglądają na mnie spoza okularów i czekają jakimże głupstwem chcą ich zadziwić. Więc odpowiem z emfazą: gdy do walki zagrzewamy, nie pora wyliczać straty zadane nam przez wroga, słać należy, słać należy oręż i dzielność mężów naszych.

Zgorszeni są eskulapowie — bo skromność przystojna jest ich zawodowi. — Lubią gdy laboratoria ich kryją się w chaszczach dzikiego wina, a na wejściach do kuźnic zdrowia zwykli umieszczać tablice: „uprasza się o zachowanie ciszy“. Nie usypia ich pochlebstwem gazeciarska sława, ani zagrzewa histeryczny krzyk tłumu. Trwają bez-

senni na swoich posterunkach, wiecznie czujni, alarmowy dzwonek nie przestaje wzywać ich nigdy. Rok za rokiem, życie swoje dokładają do życia poprzedników i stoją nieustępliwi w walce, w gonitwie, w szukaniu. Wysłuchują uszy, wypatrują oczy, ręce swoje najczulsze przepalają promieniami Roentgena, zapadają sami — i zwyciężają, wciąż zwyciężają.

Wodźów tych słać należy, bojowników chrobrych a cichych. Cześć też oddać tym tysiącom białych aniołów — pielęgniarcom, ody składać na ich chwałę.

Ale to bractwo ciszę lubi, spokój i skromność. Ścięte kwiaty przywodzą im na pamięć cierpienie, więc nie obdarzajcie ich kwiatami, tylko skinieniem dłoni prześlijcie im pozdrowienie.

Skorośmy więc w skupieniu przeszli obok osób szczególnych względów godnych, zastanówmy się teraz nad sprawą poruszoną na wstępie. — Przywołajmy z powrotem uśmiech życzliwy i — pomyślmy pożytecznie o tej gruźlicy.

Warta ona przecież tego. Wy tłumaczmy takiemu — jednemu z drugim — że to przecież fajna choroba. Lekka, łagodnie przebiegająca, nigdy się nie umiera pośpiesznie jak np. przy tyfusie azjatyckim, albo zapaleniu otrzewnej połączonym z szkarlatyną. Poza tym — jest przeważnie leczona przez lekarzy chorób wewnętrznych, a nie tych tam — wenerologów. Przyzwoita. Choroba pozwalająca na dobre maniery, ucząca wręcz zasad dobrego wychowania. — Uczy się taki chamuś, że płuć nie należy na dywan, podczas pokasywania — buzię przesłonić chusteczką, graby myć, palcami nie jeść. — Taki chory, panie dobrodzieju, ma przeważnie wygląd normalny, nie bredzi od rzeczy, nie rzyga przeważnie, nie robi pod siebie, i nie rzuca się jak wariat. Dżentelmen. — Warto na taką chorobę dać pięćdziesiąt groszy albo złocisza. Elegancka i nieintymna. — Potomstwa nie narusza i w stosunkach pozamałżeńskich też jej nabawić się nie można. — Złocisza!

Poza tym — high life. Same hrabianki i hrabiowie dawniej na nią chorowali, ale teraz — kiedy kultura coraz bardziej się upowszechnia — poszła w lud, jest demokratyczna. — Dzisiaj gruźlica to nie przywilej klas posiadających — to dobro powszechne, zdobycz warstw pracujących. — Złocisza!

A wartości kulturalne? Iluż to, panie drogi, było genialnych gruźlików — muzyków, artystów, pisarzy, uczonych! Nie zliczyłby. — W samej Polsce ilu to wybitnych twórców ostatnio zmarło na tę wielką chorobę! Cieniom ich pokłon oddajmy, a chorobie żywej wciąż — złożmy ofiarę: setkę, dwie, tysiąc, ho nawet największa ofiara nie przeważa straty tych wielkich Synów narodu.

A teraz, spójrzcie, jaki tu piękny afisz wymalowano. Oto, hoży, czerstwym zdrowiem tryskający góral, siedzi se na grani i tego bakcilusa ciupazką po łbie, po łbie, psia bestyja.

Dobrze jej ta — złocisza!

IZABELLA PAWLUCIÓWNA

INNA WIOSNA

*Przez czarne miasto księżyc sączy się jak wino
i tylko nad tramwajem chabry z iskier rosną.
Ludzie czatują z bram na bursztynową wiosnę —
tu czółna płyną rzeką, dalej mgłami płyną.*

*Spieniła wiosna ludziom na balkonach gusta,
sypie się przez nich dreszcz, jak słońce przez łodygi.
My zaś z krwią więcej w chusty wypływamy igieł
i wielkie, czarne kwiaty wtargnęły nam w lustra.*

JÓZEF FR. MATŁASZEK

O S T A T N I E S Ł O W A

(Fragment niedrukowanej dotąd powieści p. t. „Bliżej Boga“)

„...Wiesz, to jednak wszystko drobiazg. Niczego już nie wynajdziemy. Chcę Ci jeszcze coś powiedzieć. Tylko — — proszę Cię — nie śmieć się“ — kończył dłuższe opowiadanie Franek — „muszę odpocząć“.

Twarz żółta jak pergamin wydłużyła się niesamowicie. Wielkie szkliste oczy spojrzeniem spoczęły na szklance złotawego płynu.

— „Podaj mi to! — Nie, tę drugą“ — gdy Adam szybko podszedłszy, podsunąć mu chciał wodę — „Ach, te odmy piekielne — duszą — powiadam Ci, tak o tej porze zawsze najgorzej — wieczorem“ — umilkł na chwilę. Adam długimi krokami mierzył długi, wąski pokój. — „Dawniej...“

— „Nie mów Franku, — to zmęczenie przejdzie. Połóż się wygodnie. Może poduszkę Ci podnieść?“

— „Ironia! Przejdzie! Wraz ze... śmiercią. (Właściwie to chciałbym widzieć siostrę, zresztą — to potem). — Usiądź. — I proszę Cię nie wyśmiej mnie“.

Adam usiadł. Ręka bezwładnie złożona na kolanie, teraz jakby kurczowo zacisnęła się. Chciał się skupić? Wiedział, że im więcej Franek prosi go o powagę, tym bardziej on Adam ma uśmiechniętą twarz. Podobnie zresztą było już przed tygodniem. Adam przyszedł wtedy, jak zwykle to czynił, odwiedzić Franka, zapytać „czy żyje?“, „jak idzie?“ Najmniej wówczas przysposobiony do czynienia roztrząsań natury religijnej, musiał — no, przecież musiał wysłuchać długiego traktatu Franka, pytającego często w ostatnich tygodniach swych zaufanych o stosunku do życia tam — poza grobem. — Adam, życiowy cynik, zakończył długą perorę Franka ironicznie: — „Stosunek mój — Franuś kochany — brzydki. Wolę Ci go nie określać. Po co cię mam urażać?“

Czyżby Franek dziś znowu?...

Przez ten krótki moment słońce ześliznęło się ciepłym, czerwonym prostokątem ze ściany na futrynę; półotwarte okno wymalowało niezdecydowaną plamę odbicia na grzbietach książek, w nieładzie rozrzuconych na półce etażerki. — Tam patrzył Franek uparcie spod długich rzęs zmęczonymi oczyma. Ciszę zachodu przerwał znowu słaby głos Franka.

— „Widzisz, jest tak: dziś jeszcze żyję. Z dobrych chęci życia i dalej jeszcze — może tyle tylko zostanie, ile się tego zmieści przez dziś, do jutra, przez tydzień — może... Zresztą nie o to idzie, chcę się Ciebie o coś poradzić. Pytałem Stacha, ale on, zdaje się, niezbyt w tym zorientowany. — Dlaczego się uśmiechnąłeś? — Nic to. — Słuchaj — chcę napisać testament — —“.

Zniżył głos. Począł mówić jeszcze ciszej. Podejrzliwie rozglądał się po pokoju, jakby chciał upewnić się, że są tylko sami, dwaj wypróbowani przyjaciele.

— „...tak się składa, że mam trochę tego, jak się to tam po waszemu nazywa — majątku. (Spadek po moim „staruszką“). Nawiasem Ci wspomnę, że stan jego za ten krótki czas o tyle się tylko zmienił, o ile zdołała go uszczknąć moja gruźlica. Nie dodałem nic... Rodziny bliższej nie mam. Wiesz zresztą — zostałem sam. A nie wiem co może być jutro. Wiesz jak jest. — Nie chciałbym, by to poszło w obce ręce — — —

— „Franuś! pocziwy idioto. — Zmierz najpierw temperaturę! A może okład zimny!? na Twój gorący łeb? — Ty — o testamencie?? — he! Franek! jeszcze Ci braknie Twojej fortuny na spłacenie długów, których za życia narobisz“ — „Nie wierzysz? — gdy Franek mądrymi oczyma zapytał o rzeczywistość.

— „Franuś, ty kochany wariacie, won z takimi myślami! Za pomyślność kuracji wypij puchar tego falerna — prosto od krowy!“

Z kształtnego dzbanka powoli i niezdarnie sącząc do szklanki białe mleko Adam podsunął mu je do ust. Franek lekko uniósłszy głowę płową, zanurzył spieczoną gorączką wargi sine w brzeg szklanki.

— „Bóg zapłać! — Czekaj — do rzeczy“.

Franek widać uparcie dążył do zamierzonego celu. Zatem to nie będzie któraś tam część bajeczki, do snu milusińskim opowiadanej. Testament! — Może i ważny akt życiowy. — Adam zmieniał nastrój.

— „Przecież na drugi świat się nie wybierasz. Przeszedłeś wprawdzie już dużo. Ale inny na Twoim miejscu już by kwiatkiem na swym własnym grobie przekwitł. — Masz mocny organizm, Franek — — —“.

— „Adam, nie! — ja czuję — ja wiem, że TO wnet przyjdzie. Teraz i gorączka trochę spada, i — tak jakoś — jest — spokojniej — jak przed śmiercią. Ale TO przyjdzie wnet — —“.

— „A jak wnet, to — — pisz. Bierz papier i pisz!! Bo nie zdążysz“ — zachnął się Adam. „Zawracanie głowy“ — dodał pospiesznie. — „Zaczynasz przyjacielu głupstwa pleść. — Testament obali każdy. Powiedzą: nie władał zmysłami — —“.

— „Właśnie tak chcę napisać, by nikt tego rozporządzenia nie obalił. Wiesz dobrze, dalsza rodzina, czekają — — jak kruki. A — za — co?“ — wycedził. „Mówiłem Ci już, nie zasłużyli na to“ — —

— „Pisz, pisz! — przerwał mu tę rodzinną epopeję Adam. „Pisz! — „Najpierw oddaję Bogu ducha, a ciało ziemi“, już? — „a potem te dwa srebrne kandelabry — córce mey jedyney“ — — —

— „Ależ ja nie mam ani kandelabrow — ani córki“ przerwał zrozpaczony Franek. I śmiać mu się chciało naraz — i płakać. Wszyscy tacy sami — myślał. Stach też go wyśmiał, gdy mu o testamencie wspomniał. „Któryś z nas zwariował, ja — albo Ty!“ —

— „Obaj, obaj, Franku! — To będzie najprościej. A, że Ty to napisałeś, co Ci spotkanego w starych dokumentach żywcem podyktowałem — to dowód pierwszeństwa — Twojego! —“

* * *

Zaległo tedy milczenie ciężkie jak granit Tatr — w pokoju powoli dogorywającego Franka. Zrobiło się szaro i strasznie smutno, — tak, jakby odeszło w tej chwili coś, co tym dwom różnym ludziom życie dotąd barwiło. Franek przechylił głowę na poduszkę, ołówek zaciskany w bladzielonych palcach zakreślił na białej karcie listowego papieru

jakiś łuk nieokreślony. Przymknięte powieki znaczyły drobnymi nitkami niebieskich żyłek — wysiłek myślowy. — Nie! Na to wszystko Adam nie mógł patrzeć spokojnie. Bezszelестnie podniósł się z łóżka, na którym siedział, i cicho podszedł do okna. Słońce już zaszło. Jeszcze tylko grań Orlej Perci świeciła migotliwym blaskiem szlachetnego złota. Może już zaczęły błyskać światła nad Zakopanem. — — — Cały ten dawno znany Adamowi widok zamazywał się zwolna, przetwarzając w lustrzane odbicie własnych myśli, których teraz nie mógłby nazwać. — — — Tyle już jego najbliższych odeszło stąd bezpowrotnie — — tylu losy rzuciły w wir regularnej walki o prawo do życia. — A — tych kilku, którzy zostali — a przede wszystkim Franek, ten biedny Franek, los ich przecież pewny — niepewny tylko — — termin. — On — Adam, zostanie znowu sam. W tej dzikiej sytuacji — samotnika. — Rodzina jego — ha! To już wszystko — było! — to nie TO zresztą. To było dobre do 10 roku życia. — W ostateczności do czasu, kiedy wstąpił na uniwersytet — wbrew jego woli — na ten „suchy“ wydział. Marzył wtedy o takich, jak ten — tam na łóżku — kończący się. Tyle się musiał natulać po różnych kątach ciemnych, za marne grosze wynajętych na dalekich Dębnikach. Potem gonić, jak pies z wywieszonym językiem z lekcji na Krowoderskiej pod 43 — na Słoneczną — tak, pamięta — pod 5. Temu idiocie wychuchanemu wbijać w pustą — „usportowioną“ łepetynę, że średnia arytmetyczna, że wyprawa wiedeńska, że neutra trzeciej deklinacji... Tyle pracy! Za obiady i kilka złotych. — — — I te wakacje wypoczynkowe! W trzydziestym drugim roku. — — — Wyśmiali go oczywiście! Chłopy czarne, jak węgiel. Adam — taki strzep marny — piaskarzem!! — Ale ten Stec — to był porządny chłopak. No — Adam przynajmniej mógł mu spłacić swój dług z nadatkiem! — W trzecim dniu pracy — Adam bez grosza — Stec pomógł mu kupić robocze portki, bo śmiesznie wyglądał w swych „galowych“ ciemnych. Jeszcze kant na nich był od — karnawału. — Ośmieszać się wobec tych opalonych chłopaków? — Dopiero w sobotę po wypłacie ustalili zgodę. Adam — karykatura wobec takiego „Krajejszczaka“ — gladiatora.

Stec stał na plantach, koło Anny. Prawie jakoś styczeń. — Zmizerowany. — Powitał Adama dyskretnym i przyjacielskim skinieniem głowy, trzymając ręce w kieszeni — pewnie nie chciał pochwalić się znajomością z akademikiem! — Wzięło się wtedy stypendium. I jeszcze było aż 50 zł! — Chodź, bracie, widzę, coś nie bardzo — — a ja mam dziś forsy do cholery. — — Wzięli się pod ręce — poszli. — Kolacja! — Stec się ożenił. — Stec wyładował kieszeń od kamizelki dwudziestoma brzęczącymi kółkami złotówek. Skądś wyciągnął niedopałki papierosów i skręcił ten czarnobrunatny pył i okruszyny — w „fajkę“. — Rozeszli się na Garbarskiej. Adam już nigdy potem nie spotkał Steca, pierwszego w swym życiu przyjaciela. Na studiach „Steców“ nie miał. Dopiero tu — tu. Tu, gdzie stoi teraz. W oknie tej pięknej corbussier'owskiej budowli, do której, jak w czulej ramiona kochanki, pchnął go los. — Nielitościwy. Ale jakże logiczny! — Tu był przez 62 tygodnie, liżąc się z ran, które mu nadwiślańskie słońce wtedy, w trzydziestym drugim, otwarło w płucach. Choć, kto wie, jak tam było? — Adam też nie wie, skąd się to wzięło. — Leczenie — szło i nie szło. Różnie było. — Kończył studia — teraz właśnie, — już był o „pół koła“ od mety. Trzeba się było wynieść z tego przybytku wszelkich wzruszeń — od najpiękniejszych do najpodlejszych — ale ludzkich. — Od radości z cudzego szczęścia przy świadomości własnej tragedii — do — nawet — policzków, wymierzanych świętością. Myśli i czucia. — Ba! i Bogu się wojnę wypowiadało. —

Adam to wszystko dobrze pamięta. — Choć... skąd — tak — teraz — grzebie we wspomnieniach? — ha! — Dziwny jest porządek świata. —

Tak myśli wiążąc skokami po etapach własnej skromnej historii, Adam nawet nie spostrzegł, że wyciągnął z podniszczonej papierošnicy papierosa, — i wkładając go luźnie między wargi — bezmyślnie zapalił. — Spokojne, wilgotne powietrze majowego zmierzchu wciskało w głęb pokoju długie pasma niebieskawego dymu, który smużył się lekko i leniwie. Zaczęły Adama teraz razić dalekie dźwięki głošnika — z werand. — Cóż to? Rachmaninow? Brrr! — Jakie to denerwujące. Cis-mol. — Preludium. To wielkie — ale powinno być zakazane, — tego on, Adam, nigdy nie mógł wysłuchać do końca — uciekał. — Cała tragedia — — Franka — jego — wszystkich dookoła. — Aa — — Franka! — — Przecież jest teraz u niego!! Zdziwiony — — odwrócił się gwałtownie.

Dokładnie w tej samej pozycji Franek leżał bez przerwy. — Pisał. Z trudem; to widać było. Odwracał właśnie zapisaną kartkę. Adam podszedł do łóżka, usiadł, zręcznie wymijając ruchomy stolik sanatoryjny.

„Franek, Ciebie uraził mój stosunek do Twoich zamiarów — — tak? — Potrafisz chyba zrozumieć i wybaczyć. To dobrze — dobrze; — widzisz, zrozumieliśmy się. Zasadniczo inaczej patrzemy na świat; ja nie mam planów, nie mam takich zamiarów. Ty je masz; dobrze — Franek. Jeśli uważasz, że powinieneś i te sprawy — odchodząc“ (ugryzł się w język), „to znaczy, jeśli myślisz o zlikwidowaniu swego trwania na świecie — uregulować, chętnie pomogę, posłużę, czym będę mógł. Możesz liczyć na mnie. — Powiedz, co chcesz ode mnie?“

Franek uśmiechnął się milcząco i serdecznie. Ucisnął mocno twardą rękę Adama.

„Będiesz mi świadczył? — Przyjdź jutro rano. Zmęczony jestem, jakbym w tej ostatniej chwili przeżył wiek cały“. — Umilkł. — „Przynajmniej się dziś z Bogiem pojednałem, wiesz, jest mi dziwnie dobrze. Dawno — o, dawno tak nie było. — Zadzwoń na siostrę — —“.

Chuda ręka Franka zatoczyła szeroki łuk w kierunku stolika, na którym stała drewniana kasetka.

„Włóż to — Adaś — do tego — tak, pod papiery. — Dziękuję, stary“. Adam serdecznie potrząsnął wilgotną dłonią Franka, bezwładnie powracającą na pościel. — „Jutro“. — —

* * *

„Siostro kochana, proszę mi podać — — —“ żegnało Adama niespostrzeżenie wychodzącego na korytarz.

* * *

Jutro! —

W życiu sanatoryjnym, w którym tak wiele się „dzieje“ — a nic nie „staje“ — jutro powinno się chyłkiem przemknąć, jak wczoraj, czy dzisiaj. — Dzień powinien przepłynąć wartko i jednakowo — szumnie, jak potok górski w kamienistym żlebie, pomiędzy piątkiem a niedzielą. Jeśli zmiana — to tylko w kalendarzu. — Regulamin przekreślił prawo tęsknoty za czuciem czasu. Dzień, posiatkowany kratą zajęć. Zawsze takich samych. Wszystko, co „idzie“ — stanęło, jakby ktoś ruch zaklął w kamień. Nie wierzycie? —

Tego nie dojrzy, kto młodość widzi kipiącą, roześmianą beztrosko. I we fraszce. A tu: w atmosferze tzw. nerwowego wypoczynku. — Zapewne. Ekskluzywna kasta młodych gruźlików pokaże obcym najweselsze oblicza. Dramaty są tylko dla prywatnego użytku. Pewnie! Gorącego zarzewia lat dwudziestych którychś nie da się profanom na igrzyska! — Nie zrozumią, nie odczują. — Przejdą mimo i pójdą drogą swych własnych zainteresowań. Materialnych, wyrażalnych w walucie! — Co — tam chorzy! — prawo bytu — to prawo mocniejszego. Słabi eliminują się sami poza nawias masy. — To, że tam ktoś biednemu rękę poda, to często po to, by złożonymi głoskami figurować dla potomnych i siebie na tablicy „łaskawych ofiarodawców“. Anonimowo — z serca — nie opłaci się. Zapału początków — wkładu myśli i inicjatywy — tak wiele! — Potem to gaśnie. Entuzjazm — się skończył. — A jeśli z entuzjazmu coś wyrośnie, — to bezduszne. Bez drugiego skrzydła!

Albo i ten „Bratniak“. 200 tysięcy złotych trzeba jeszcze, by stanął gmach cały dla pożytku leczących się tam chorych. — Młodych. — — Zawikłany splot logizmów. Państwo wkłada tysiące złotych w studia jednego akademika i — czeka cierpliwie na amortyzację socjalną człowieka. Jednemu losy pozwolą wyżyć się w pracy i dług państwu spłacić, — innemu wsączą w ciało jad gruźlicy, a w ducha beznadziejną bezsilność. I pewnie — Adasiu — nieźle rozumiesz, twierdząc, że takiemu studiującemu gruźlikowi państwo powinno jeszcze dodatkowo pomóc, dając mu warunki leczenia. Dołożyć do tych tysięcy złotych jeszcze kilkaset złotych — zaryzykować — i nie stracić. Ale biedne państwo! Skąd weźmie? Od społeczeństwa. — Państwo się tylko zastanowi nad tym, co lepiej: budować kliniki ginekologiczne — czy sanatoria dla tych, co już — już mają zacząć twórczo działać. Adasiu! — Mówiło podobno logiczne indywiduum do siebie, wracając z przesmutnej wizyty od Franka, powiedz, czy nie wstydziłbyś się wyciągnąć żebraczej ręki po ofiarę? Ach! Przenigdy! Wolę... To, powiedz, idioto, po co żebrzesz u społeczeństwa na dokończenie jakiegoś tam „Bratniaka“!? Czy to nie wszystko jedno, czy co drugi współczesny nędzarz studiujący umrze na gruźlicę, a nie co trzeci, jak obecnie. — A, że tam na śmierć Franka, na puste po nim miejsce, czeka 52 kandydatów...? —

Strome schodki, którymi Adam wracał do swej skromnej izby mieszkalnej w góralskiej chatynie, zmuszały go do częstych odpoczynków. Szedł miarowo, licząc stopnie w skale wykute, by czas prędzej mijał. Sześćdziesiąt, sześćdziesiąt jeden, sześćdziesiąt dwa! — Odpoczynek. Rzut oka poza siebie, na drogę przebytą. — Znowu rzędy świetlnych plam okien frontowych. — Znowu sanatorium. Franka zetrze, zmiele, stłamsi, innych przerobi i wypłuje zdalnych do życia. — Sanatorium. — — Trzeba iść dalej. Przecież „jutro!“ — do Franka.

Frank! — Mistycznie wyraźna postać dobrego człowieka — —

* * *

W sobotę siąpił od rana deszcz. Adam zarzucił niedbale płaszcz na ramiona i wyszedł. Ta sama droga, co zawsze. — „Droga przez wieś“ — jedyna własność moja — myślał, pogwizdując przez zęby w takt kroków i mlaskania ciekliwego błota pod stopami. Wnet znalazł się w Bratniaku. — Dlaczego kartka na drzwiach? „Wchodzić bez pukania“ (ktoś dopisał innym pismem „do Frania“; jeszcze innym pod tym bezpretensjonalnym w stylu ostrzeżeniem „Franiowa“, — rozumiem. Dziwne tempo. — — W ciągu kilku dni — ha! może godzin — młodość gorąca, oo! — Franku!).

Odruchowo jednak Adam wszystkimi palcami zabębnił w głuche drzwi i rozchyliwszy je szeroko — wszedł.

— „No, Franuś, a dziś jak? Spałeś? Dobrze? — Chwała Bogu!” —

Franek nic nie mówił. Usiadł tylko i dziwnie beznamiętnie uśmiechnął się. Po chwili:

„Dobrze, że przyszedłeś. — Wiesz, liczyłem — nie zdążę odwalić materiału do tego egzaminu na czerwiec. Oczy mnie bołą. Czytać nie mogę, pisać mi gorzej. Po wakacjach. To zresztą dobrze — wiesz — i tak jeszcze co najmniej pół roku trzeba będzie bardzo pilnie leczyć się.

— „O! Wreszcie wlaź w ciebie optymizm! — Raczej rzeczywistość myślenia, realizm, rozumiesz — — “ odparł Adam. Zamyślił się jednak dłużej po tych słowach. Zrobiło mu się tak jakoś smutnie. I, gdyby Franek nie przerwał mu tej kontemplacji o niezdrowym optymizmie Franka — Adam — doprawdy — rozplakałby się pewnie. Właściwie: jaką on tu ma grać rolę? Pocieszyciela? — Wstrętne — nieprzyjacielskie. Tego nie było, nie będzie między nimi. Kłamać? (bo przecież: kłamać!!) nie potrafi. Odkrywać prawdę? — Nie — to straszne. — — Może i zakręciła mu się łza pod powieką, dość, że Adam przetarł oko ręką i wyrzucił bez przekonania —: „Ależ pogoda! — “

— „Zapalimy papierosa“ — zaczął Franek. Zaciągnął się głęboko dymem i wyrzucając go z płuc zwolna słowo za słowem mówił ożywiony: — „Wiesz, tak będzie, obmyśliłem. Majątek ruchomy i nieruchomy daję... Wymienił nazwiska swych spadkobierców i objaśnił przyczynę takiego rozporządzenia, — „mieli dla mnie dużo serca“ — — „Chcę ustanowić legaty. Maryni, tej wiesz, pokojówce, bo tak dbała o mnie w czasie choroby (— powiedz, jakie ma ładne nazwisko Stopka-Mocarna — nie?) chciałbym dać no — widzisz — 100 złotych to mało, 250! — Smoking — Pawełkowi, — to mój szkolny kolega, taki porządny chłopak — niech ma — Wiesz co, chciałbym dać na Bratniak na doraźną pomoc dla najbiedniejszych kolegów, co, jak myślisz, niech sam dyrektor dysponuje — 1000 złotych — “. Notuje —; „Z tym, że legaty mają być wykonane do roku“... „Zaraz, zaraz, od czego, od jakiej to daty?“

— „No, od jakiej daty? Pytasz?“ rzekł Adam, myśląc wciąż jeszcze o tysiącu dla Bratniaka — „Po prostu od dziś. Do dnia — pisz! — 14 maja — pisz: przyszłego roku“.

Franek skrzywił się. Po jego zmizerowanej twarzy starego dziecka przeleciał tajemniczy uśmiech. Po długim zastanowieniu wycedził:

„Ha, dobrze! — Ale — ja jeszcze — nie umarłem —; teraz powiedziałeś to — co, — co przeczuwasz — przynajmniej ty — jeden; niechący — mimo woli — —

Słusznie, — przecież, jeśli się termin przesunie — to najwyżej — o kilka dni.“ Franek stawał się nienormalnie ożywiony. Mówił pod koniec prędko, tak jakoś głośno, że słowa jego pogłosem dźwięczały wśród białych ścian i prostych mebli.

Gdy Adam uprzytomnił sobie głupstwo, jakie palnął z tym rocznym terminem, poczerwieniał gwałtownie i zrobiło mu się tak przykro, że spuścił oczy i począł Franka przepraszać. Słowa jednak nie kleiły się w zdania:

„Nie, Franek, rozumiesz, „przemówienia się“ — nie bierz na serio, myślałem zbyt ściśle, właściwie w ogóle nie myślałem, tak wystrzeliłem, no, bo za rok będzie właśnie 14 maja, nic na to nie poradzimy, a przecież...“ Ale Franek nie słuchał. Pisał zapamiętale. „Data“, tu będzie podpis, tu wy, świadkowie, doktor i ty — co jeszcze? — Tak, na ciszy przyjdziecie do mnie i zrobimy to oficjalnie“. — Odrzucił ołówek, zatarł ręce. „Papierosa“ — — „Franek, oszczędź się, to już trzeci przez tę krótką chwilę“ —

wykrztusił z siebie Adam, ochłonawszy nieco po tej „wsypie“ z terminem; odebrał Frankowi papierosa — „Potem!“

Franek poruszył się gwałtownie, strzepując z pościeli rozsypany tytoń. Nastąpił długi atak suchego, gwizdzącego kaszlu. Bełkotliwie wydusił z siebie: „Będzie jeszcze kiedy to twoje „i potem“? I długo patrzył tępo w oczy Adama. W spojrzeniu tym wypowiadała się tragiczna reszta życia. Tak! Franka należało mierzyć najwyżej na dni, jeśli nie na godziny.

— „Przyjdę, przyjdę punktualnie“. Bądź zdrow! — rzucone na pożegnanie — to nowa zgorzkniała ironia. Adam wyszedł.

* * *

Nazajutrz Franek umarł. Już nie doczekał błyszczącego poranku, który mu miał rozszczęśliwić — tak, czy tak — ostatnie dni jego życia. Nie było przedśmiertnej męki, jakby życie uciekające chciało oszczędzić mu wrażeń wielkich, które się raz tylko, raz, umierając, przeżywa. Nie spał z wieczora długo; nad ranem osłabł znacznie. Zwiędła dłoń, którą jeszcze po północy złożył pod głowę, przetrwała i życie i chwilę śmierci. Pokraśniały tylko policzki. — Tak Franek zasnął, by się już nigdy nie obudzić.

W zdziwieniu nad spokojem i majestatem śmierci — smukłe szklanki zamarły na niebieskim stoliku i dziób kształtnego dzbanka jakby wydłużył się i znieruchomiał — i zastygł w zadumie.

Widoczne spod łóżka nocne pantofle Franka szczyrzyły w diabelskim uśmiechu zęby postrzępionej podeszwy. Chichotały: i my i ty także — jednaki nasz koniec —

Szkoda Cię, Franku, szkoda. — Ha! Trudno — —

Może i dobrze, że pospieszyłeś się z oddaniem „ducha Bogu, a ciała ziemi“. Zrobiłeś miejsce tym, co na Twe czekali łóżko.

A i tak przecież zmieścisz się pięknym wspomnieniem w myślach tych, co Cię znali.

IZABELLA PAWLUCIÓWNA

WIECZÓR

Ludzie

w wieczorach więzną jak w wodorostach.

Ocieka z brzegów liścia blask —

*Nigdyś mię w życiu tak nie pieścił
jak w snach.*

O tej porze

na koła młyńskie zwija się czarna woda.

W pękach nadbrzeżnych głogów

żar nie może zgasnąć —

*Zmywa mię czas co się odmierza głodem
i w twych ramionach mi za ciasno.*

ZBIGNIEW MARKOWSKI

F E L I E T O N I D W A L I S T Y

Kiedys zamieściłem w Ilustrowanym Kurjerze Codziennym felieton i otrzymałem — jako oddźwięk jego — list. Przypuszczam, że nie od rzeczy będzie na łamach naszej publikacji przypomnieć ten felieton, zaznajomić się z otrzymanym przeze mnie listem i z moją odpowiedzią na ten list. Nie czynię tego, jakobym uważał, że te trzy drobne sprawy: felieton i dwa listy, urastają do symbolu: my i społeczeństwo — ale dlatego tylko, że będzie to przyczynek charakterystyczny do zrozumienia naszej rzeczywistości — jaką jest.

A więc felieton: (I. K. C. z dnia 6. VI. 1936 r.)

ZAKOPANE Z INNEJ STRONY

(na werandzie Sanatorium Akademickiego)

Zakopane jest głośnie w zimie wspaniałymi, w bieli rozslonecznionego śniegu, Tatrami (świetne zjazdy, dalekie raidy braci narciarskiej).

Zakopane jest głośnie w lecie świętem gór, błękitem krokusów i jedwabistym połyskiem szarotek, życiem kipiącym młodością śmiechem i werwą.

Zakopane śpi jesienią i wiosną, i wyczekuje sezonu.

Tak myśli każdy, tyle każdy wie. Bo jeśli mówi się Zakopane, to ma się przed oczyma radość zdobywczych narciarzy i turystów, przestrzeń woniejącą żywicą regli i dal błękitną, rozciągającą się z Kasprowego, ma się na myśli życie kipiące w MORSKIM OKU i w „Morskim Oku“ (dancing, five, bridge), ma się na myśli twarze czerstwe i opalone i ten wieczny ruch i pęd ku przygodzie.

Ale nie myśli się, nie wie się wprost nawet, że tu pod Gubałówką i gdzieś tam na Bystrem, w zakątkach uroczo skrytych pośród świerków — rozciąga się dzielnica ciszy i spokoju. Dzielnica wyczekiwania.

Mieszkańcom jej Tatry tworzą wspaniałą panoramę — obraz, dosłownie obraz — zawieszony na niedostępnej ścianie. Dla nich został tylko ten podziw bierny i cichy — podziw co najwyżej znawców. Nie tych, którzy sztukę tworzą, którzy nią żyją, nie tych, którzy hen, tam po stromym garbie Zawrata pną się w górę ku słońcu, nie tych, którzy w szalonych slalomach zjeżdżają z Kasprowego w biel niewidocznej spoza Kopy Małgóry — Hali Gąsienicowej.

Pozostał tu tylko podziw sztuki, nieledwie niezrozumiałej i niedostępnej.

W długich godzinach werandy iść można w Tatry spojrzeniem poprzez szkła lornety i płynąć wraz z nimi na nartach, upadać w śnieg i podnosić się w śmiechu. Tego śmiechu nie widać (nie podoła nawet 14-krotna lorneta), ale tam musi on dzwonić o skały, ale tam musi lśnić słońcem na twarzach. Te drobne figurki, cienie nieledwie, porzucone na śniegu hal, żyją.

Nie tak, jak tu.

Tu pozostawieni jesteście sobie, zapomnieni i cisi. Tworzymy — jak na bezludnej wyspie — własne społeczeństwo o troskach i celach tak różnych, tak innych od trosk Zakopanego. Nas unikają ludzie, choć oni składają się na to samo społeczeństwo, które przecież stworzyło nam warunki życia.

Nikt nie wyrzeka losowi (bo na co?), ale ta resztką wiary w przyszłość umyka jak

czas, choć nie ma nawet obawy przed tym, co może nastąpić. Stajemy się tylko z każdym dniem bierniejsi i bardziej zrezygnowani.

Nie znaczy to, żeby nie panowało tu życie (odmienne zresztą, niż tam — w mieście); młodość ma tu też swoje prawa, których niczym obejść nie można.

Bo tu są młodzi. Tu są ci, którzy kiedyś — nawet niedawno — przed rokiem — przed dwoma — szli w życie z szerokimi planami zaborczej młodości. Dziś młodość nam więdnie, jak kwiat zerwany niepotrzebnie, a potem pielęgnowany, aby odżył. My tu pozostawieni sobie nie mamy sezonu. Nasz sezon zakopiański trwa miesiące całe, całe lata. Nie jest tak łatwo je przeżyć. Umysł świeży, młodzieńczy, nie może znieść więzów słabego ciała.

Trzeba długiej i ciężkiej pracy nad sobą, by przezwyciężyć niesforną, rwącą się w przestrzeń psychikę. Płuca nie zezwalają.

Na ulicach miasta wzywają afisze: „Po słońce w Tatry“. Nie. I to nie dla nas. Na słońce patrzeć możemy tylko spod cienia werandy — na odbłask tylko — na jasne plamy roziskrzonego słońcem pola.

„Słońce bezwzględnie wzbronione“. To najbardziej przykry punkt regulaminu sanatoryjnego. A tak nas doń ciągnie. A tak ciągnie. Karmić możemy się tylko powietrzem zakopiańskim. Lekarstwem wracającym nam siły.

Tatry, tej zimy, udostępniła nam kolejka linowa. Co za szalona radość łykać haustami chłodne powietrze (kryniczna woda), spozierać na piękno życia z Tatr. Nam, którym drobna Gubałówka jest niedostępnym szczytem.

Dziś czuję w powietrzu halniak. Wiem. Tam, poza murami naszego sanatorium, ludzie podziwiać będą jego atrakcyjną moc niszczenia. Nieujarzmioną i dziką. Zagubieni w Tatrach turyści walczyć z nim będą pełni ogromnej rozkoszy zwycięstwa.

Tu — nam — zdławi on te resztki powietrza w krtani — które ciężkimi oddechami wtłaczamy w płuca. Tylko młodość kipiąca w nas jeszcze, każe nam patrzeć w świat i w przyszłość z nadzieją.

Myśląc o Zakopanem, wiedźcie, że pod tą nazwą kryje się także gehenna zapomnianych ludzi: walka o zdrowie.

* * *

Dzień po ukazaniu się felietonu otrzymałem poniższy list: (ze zrozumiałych powodów zachowuję tajemnicę autorki.)

Szanowny Panie!

Po przeczytaniu w I. K. C. „Zakopane z innej strony“, trudno powstrzymać się od napisania tych kilku słów. Nie jest to krytyka, nie analiza, nie szukanie znajomości przez korespondencję. Proszę tę rozmowę uważać za rozmowę czy wymianę zdań w celu sprostowania pewnych zarzutów. Zaczynam nielogicznie, bo od końca, ale tam się kryje cały ciężar zarzutu — „gehenna zapomnianych ludzi“. Czy wolno wam tak pisać? Czyż macie dane, ażeby sądzić tych innych — zdrowych, że zapomnieli, czy zapominają o was? Jakie dowody? Czyż nie uważa Pan, że te wspaniałe gmachy, troskliwa opieka i cały szereg wynalazków i udogodnień, którymi chce was otoczyć społeczeństwo, to nie jest dowodem pamięci i troski o wasze zdrowie? A cały szereg osób, które dzień po dniu, z narażeniem swego zdrowia dają wam opiekę czułą i troskliwą, nic wam nie

mówi? Może bardzo wielkie „lekkoduchy“ nie wiedzą, czym jest właściwie Zakopane i co daje całej masie nadwątlonych płuc.

Nie jesteście „pozostawieni sobie, zapomniani i cisi“. Nie! Ani też nie unikają was ludzie.

Nie narzekać, nie zazdrościć, bo jakże często ze strony zdrowych słyszy się słowa zazdrości, że..... wam jest lepiej.

To nie ironia. To przemyślana i przetrawiona myśl. Ta gorączka obecnego życia, to tempo, jakże często jest gorszym złem, od paru kresiek ponad 37. Wy się leczycie. Macie czas na wiele, wiele rzeczy, a my — zdrowi? Traci się energię, siły, zdrowie w codziennej gonitwie za... niczym. Brak czasu nawet na najistotniejsze sprawy, jak: zgłębienie i poznanie swego „ja“ i właśnie na troskę o swoje zdrowie.

Nie chciałabym urazić nikogo z mieszkańców werandy.

Zbyt dobrze wiem, czym może być słabe ciało, dla młodego, buntującego się ducha. Powinno się zawsze jednak być sprawiedliwym. Czyż zawsze ci — zdrowi — winni są temu, że wy jesteście tam?

Serdecznie Panu życzę prędkiego powrotu do swobody.

Na razie proszę całą swą energię skoncentrować na 100% wykorzystanie pobytu na werandzie.

Maków Podhalański.

A. W.

List ten spowodowany serdecznością w stosunku do nas, zawiera jednak wiele niezrozumienia uczuć zawartych w felietonie i mimo wszystko nas samych. Odpowiedź, którą cytuję niżej, jest nie tylko moją odpowiedzią, ale i odpowiedzią całego szeregu mieszkańców werandy, z którymi miałem możność na temat ten rozmawiać:

Szanowna Pani!

List Pani jest jednym wielkim wyrzutem i żalem, że nie zdajemy sobie sprawy z pomocy i opieki, jaką nas otacza społeczeństwo. Określa Pani sens słów moich jako niesłuszny zarzut, skierowany przeciwko tym zdrowym, którzy przecież — pisze Pani — otaczają nas opieką i pamiętają o nas (gmachy, udogodnienia). Przytacza Pani dowód, że są ludzie, którzy poświęcają zdrowie własne, by je nam wrócić, że nie jesteśmy pozostawieni sobie, że nie unikają nas ludzie. Wydaje się Pani, że nie jesteśmy sprawiedliwi w stosunku do społeczeństwa i że społeczeństwo winimy o nasze zdrowie.

Tkwi tu nieporozumienie. My zdajemy sobie doskonale sprawę ze znaczenia opieki społeczeństwa, które stworzyło nam warunki życia, mimo choroby i braku sił. Zdajemy sobie sprawę z pełnej poświęcenia pracy lekarzy, siostr i wszystkich ludzi narażających dla nas zdrowie.

Nie tak należy rozumieć sens moich słów. Pisząc o nas jako o zapomnianych i pozostawionych sobie, miałem na myśli tę odrębność — tak przykrą dla nas — która nas dzieli od życia. Mówiąc, że nas unikają ludzie, mam na myśli nie społeczeństwo (wymaginowaną masę), ale jednostki. W życiu stykamy się nie ze społeczeństwem, ale z ludźmi. Z pojedynczymi ludźmi.

Gdy nie jesteśmy tu w sanatorium, lecz na „nizinach“ w normalnym toku życia, stykamy się stale z ludźmi, nie ze społeczeństwem. Społeczeństwo nas nie unika, ale ludzie. Zapewne, nie można tego zbyt generalizować, ale wystarczy pewien procent

takich wypadków, a to się odczuwa. Ze słów moich wynika tylko tęsknota do życia (jesteśmy młodzi), nie zazdrość zdrowym, ani nawet wyrzekanie. Tu w sanatorium jest życie mimo wszystko niezmiennie ruchliwe. Nie narzeka się, ani się chorobą nie przejmuje. Jest nawet wesoło. Ale jeśli poważnie, nie z powodu sentymentalizmu, lub też przewrażliwienia, zastanowić się nad przyszłością (trzeba, niedługo wypadnie zarabiać na życie i walczyć o byt) musi się dojść do wniosku, że jest źle. Jeśli ktoś traci na leczenie trzy, pięć, czy nawet więcej lat, to rozważając poważnie i obiektywnie dochodzi się do zrozumienia, że w wyścigu pracy pozostaliśmy w tyle. („Życia nadrobić się nigdy nie zdoła“.) I znowu: to nie jest wymówka i żal do kogoś, to jest proste stwierdzenie faktów. Obserwuję dobrze tu życie i wiem, że wielu z nas — którzy traktują wszystko na wesoło i „nie przejmują się“ — stają się w gruncie zrezygnowani i bierniejsi w stosunku do życia. Nie znaczy to, by była to rozpacz, lub co gorzej melancholia, czy kompletna niewiara. Młodość jest żywa, ale chwile zastanawiania się i rozpatrywania życia są częstsze nawet niż w społeczeństwie starszym. To się tak mówi: cóż, dwa lata odmy i w porządku, musi się być zdrowym. Ale te dwa lata przewlec się mogą w trzy i więcej, ale podczas leczenia nie zawsze można pracować, a jeśli ma się głowę pełną myśli i celów, to trzeba zrozumieć, że wtedy jest niezmiennie trudno nagiąć się do życia na werandzie. Ale taka ciągła walka z samym sobą może się wyrażać nawet w słowach, jak u mnie w felietonie. Podtytuł jego: „na werandzie sanatorium akademickiego“ wskazuje już na to, że to są refleksje cisnące się na usta w niejednej godzinie werandowania. Refleksje takie często są zbyt czarne, może trochę przejaskrawione, ale po nich przychodzą inne, jaśniejsze, pełne nadziei. To jest obraz prawdziwej walki naszej osobowości. W żadnym jednak razie nie należy brać tych refleksyj naszych za wyrzut, lub co gorzej zazdrość skierowaną przeciwko zdrowym. I jeszcze jedno. Nikt z nas nie żąda litości, zrozumienia tylko co najwyżej.

Nie zgodzę się również nigdy z twierdzeniem Pani, że zdrowi niejednokrotnie zazdroszczą nam, bo nie musimy walczyć o byt, nie musimy iść w gorączce i tempie obecnego życia. I my do niedawna jeszcze wprzągnięci byliśmy w jarzmo tej walki. Myśmy zdołali poznać ją także. Żaden z nas w tej walce nie uląkł się „gonitwy za niczym“, jak to Pani nazywa.

A samo to paradoksalne twierdzenie zakrawałoby na ironię, gdyby nie wyczuwało się w słowach Pani serdeczności. Oto upraszczając całe zagadnienie — można by zrozumieć, że choroba usuwa nas wprawdzie od życia, wykoleja z obranych dróg, ale w zamian chroni nas od walki o byt, bo byt ten mamy rzekomo zapewniony w sanatoriach, pod opieką lekarską.

A przecież wszyscy — którzy tu jesteśmy — musimy dobrze nabiedzić się, aby użyć środków na leczenie. Istnienie sanatoriów nie rozwiązuje tej sprawy. Kwestie materialne — o ile istniały przed zachorowaniem — tym większej tu nabierają wagi i tym trudniejsze są do rozwiązania chorym, niż wam nie pozbawionym możliwości działania.

Tylko nieliczne jednostki — mało- lub niewartościowe — mogą ulęknąć się życia i tęsknić do ciszy, spokoju i wygody. (Jak u nas?) Takie myśli i takie pragnienia mogą przytłaczać tylko ludzi starych, steranych życiem, wyjałowionych. My młodzi, tej walki czekamy, tęsknimy do niej; jest, (raczej była) naszą całą radością życia. Któż może przeczyć temu, i nam udałoby się lepiej niż im, ludziom starym, zniszczonym — urządzić świat i życie.

Więc nie należało nam mówić, że tu może lepiej. To są słowa ludzi skończonych. Będąc częścią tego społeczeństwa, o które chodzi, musi Pani dobrze zdawać sobie sprawę, że o idealizmie społeczeństwa tworzącego nam sanatoria i narażającego dla nas życie — można by było jednak jeszcze mówić.

Pisze Pani również, że mamy czas na „wiele, wiele rzeczy“, a wy zdrowi jesteście tego pozbawieni.

Cóż ten czas stanowi dla nas, jeśli jesteśmy ograniczeni w tak krańcowej formie przestrzenią. Mało: mieć czas. Trzeba mieć przestrzeń, aby go użyć. Zapewne. Tu możemy wiele chwil, (jak nigdzie — choć nie zawsze), poświęcić własnemu intelektowi. Możemy zgłębić swoją osobowość do najbardziej niejasnych zakamarków duszy. Za mało jednak jest przemyśliwać. Brak nam pracy. Przestrzeń i praca są granicą, do której dążymy ciągle.

Mam wrażenie, że Pani zrozumie nas i nasze nastroje wyrażone w omawianym felietonie, jako tęsknotę do życia w sensie jak najbardziej dodatnim (bez zazdrości i wyrzekań), jako raczej stwierdzenie, że przychodzą takie godziny, w których jest nam przykro. (Czyż u zdrowych godzin rezygnacji nie ma?). Ale o wiele więcej jest chwil, w których wiara i młodość wróżą nam życie wśród was — zdrowych.

Pozostaje itd.

Do tych listów mogę dodać jeszcze to tylko, że mimo upływu dwóch lat od ich daty, jestem ciągle „mieszkańcem werandy“.

WŁODZIMIERZ SZNARBACHOWSKI

Ś W I A T D O O K O Ł A A N D R Z E J A

(fragment z większej całości)

Z życiem — tym dalekim życiem na nizinach — nie łączyło już Andrzeja nic.

Weranda do obiadu, obiad, cicha weranda, podwieczorek (zawsze to mleko z kochanymi, które trzeba wylawiać skorupką chleba), spacer w stronę szosy, a niekiedy przejażdżka do miasta po rzadkie sprawunki (zimną na saniach, latem dorożką), weranda wieczorna, kolacja — i na zakończenie dnia wzajemne odwiedziny po pokojach, niekiedy ktoś wstąpi na krótką pogawędkę do ciężiej chorych (jak też p. Jadzia przetrzyma dzisiaj noc?) — i o dziesiątej, a w niedzielę, święta i imieniny pana dyrektora o jedenastej, portier gasi światła na piętrach. I zaczyna się noc bezsenna pełna urywanych rozmów i snów, przy otwartych przez cały rok drzwiach, wychodzących z każdego pokoju na taras. Czasami — w pogodne wieczory — długi spacer po tarasie i głosy oburzenia tych, którzy chcieliby zasnąć. A przed oczyma, nocą i dniem, nieustannie zmieniające się, ciągle inne, zawsze nowe i niepoznane: Tatry.

Patrzeć na góry — było jedynym źródłem świadomości, że poza niezmiennym trybem życia dokonują się jeszcze jakieś zmiany na świecie. Bo Tatry — to kryły się w chmurach, to zaciągały się przejrzystymi mgłami, to znów — raz błękitne i dalekie, raz fioletowe, różowe i bliskie — drgały w świetle słonecznym lub tężały w blasku księżyca jakby ciemna, postrzępiona barykada, wyciągnięta na granicy nieba i ziemi. Bo na ich

zalesionych stokach pory roku wyciskały swą kolejność: zielenią lasów — latem, pleśnią śniegów — zimą, a wiosną i jesienią tumanami kłębow śnieżnych wędrujących podczas halnych wiatrów. Ale po dwóch, trzech latach pobytu u stóp Tatr, patrzący na nie wykrywał ustalony porządek tych zmian zależnie od dnia i nocy, pogody i niepogody, pór roku i godzin doby — i nawet te zmiany układały się w monotonię, nad którą przechodziło się do porządku, podobnie jak statystyk widząc harmonię narodzin i zgonów, nie znajduje w niej dla siebie żadnego źródła wzruszeń.

Każdy, kto przyjeżdżał tu na dłużej, mógł stać się z biegiem miesięcy tym jedynym dla siebie światem, gdzie zachodziły jakieś zmiany, jedynym przedmiotem wartym obserwacji. Każdy stawał się sprawnym członkiem tego tajemniczego świata, którego mechanizm regulowały dzwonki na wstawanie, posiłki, werandy i sen oraz wizyty lekarskie, — świata, który miał swe własne potrzeby, zainteresowania, troski i radości.

Ale — jak nie wiązało już Andrzeja nic z dalekim życiem na nizinach — chyba rzadkie listy, pełne trosk i niepokoju, — tak i nie łączyło go nic poza przymusem przestrzegania regulaminu — z innymi mieszkańcami pałacu. Nie wszedł duszą w ich czarodziejski świat, niedostępny i niezrozumiały dla tych, którzy nie są członkami milio nowej społeczności T. B. C.

Potrafił on bowiem uniezależnić się od atmosfery, która wszechwładnie zapanowała we wszystkich sanatoriach, przygnębiała i odrywała od życia, czyniła z większości gruźlików po przeczytaniu „Czarodziejskiej Góry“ Manna manekinów, naśladowujących Hansa Castorpa lub Joachima Zimssena. Uniezależnić się od otoczenia może tylko ten, kto uzależnił się od idei, domagającej się od niego urzeczywistnienia. Człowiek budujący swą ideę przeciwstawi się atmosferze i obyczajom otoczenia, by nie krępowały go one w działaniu i wytyczaniu dróg. Tę zaś ideę pielęgnował już Andrzej w sobie.

A poza tym zawędrował tu, nie jak większość gruźlików, przez lata włócząca się między poradnią a utęsknionym sanatorium, licząca dni od dopełnienia odmy do następnego jej dopełnienia, dla których spluwaczka własna i sąsiadów z leżaka stanowiła gros zainteresowań i tematów do rozmowy. Nie, — Andrzej przyjechał tu nieomal że prosto z podchorążówki, opalony jeszcze i z odciskami od lejc na palcach, ze sprecyzowanymi celami życia.

Jeszcze do niedawna — przywódca młodych w swoim środowisku uniwersyteckim, działacz polityczny — zbyt mocno był związany z życiem, zbyt wiele miał wspomnień w głowie i planów na przyszłość, by uporczywie koch plus, wysokie opadanie krwi metodą Biernackiego, i rozrzucone w obu płucach liczne ogniska wilgotnych rzerzeń drobno-bańkowych mogły przeszkodzić jego rozmachowi życia.

Owszem cieszyło go nawet to, że trzy lata (tak, pierwszego lipca, za trzy lata wróci do zupełnego zdrowia i normalnej pracy — tak mu zapowiedział słynny profesor), — będzie mógł poświęcić się bez przeszkód pracy i w skupieniu studiom. Opracuje plan wejścia w świat, zjawi się wśród kolegów i przyjaciół w organizacji — nie tylko jako jednostka cenna w kierownictwie, ale, i jako twórczy przewodca. — Sztuka czekania nie była obcą Andrzejowi i ono nie przerażało go.

Cieszył się więc Andrzej na te trzy lata niezamąconej pracy, w czasie trwania swego leczenia. Nie myślcie bowiem, wy, ludzie zdrowi — że każdy gruźlik (proszę was, nie nazywajcie nas od znikomej wśród nas garstki suchotnikami, to upokarza nas, tak jakby niewidomemu rzucić w twarz obelżywe, szyderskie — ślepiec). Nie myślcie, wy, ludzie

zdrowi, że każdy gruźlik — to człowiek z termometrem w ustach, z wypiekami ceglastymi na twarzy, z zielonkawą, ciągnącą się plwociną wykaszlujący resztki płuc. Nie. — Gruźlicy, to ludzie na pozór tak samo zdrowi — jak i wy, tak samo normalni, — jak i wy, nawet bardziej subtelni od was dzięki nieróbstwu i myśleniu (choćby o niebieskich migdałach) — tak jak arystokraci i artyści, jak wszyscy ci, którzy przyzwyczaili się obcować w swej wyobraźni ze śmiercią. My żyjemy wszędzie pośród was, nie wiecie kto spośród waszych znajomych należy do wielkiego bractwa T. B. C. I tylko lekarz domowy zna tajemnice naszych zaciemnień i rozjaśnień na kliszy Roentgena, powodujących, że jesteśmy skłonni do potów i przeziębień, że zbyt wiele chodzenia nas męczy (jakże odma uciska serce, jakże wysięk kołacze się między żebrami). A znajomi mówią „jakież on delikatny“. To — jesteśmy my — gruźlicy — którym zaleca się spędzenie całego choćby najdłuższego życia w ciągłym uważaniu na siebie, w dbaniu o wagę, apetyt, odpoczynek. Oto my, którzy na długi czas „propter vitam repellunt vivendi causas“.

Nie troska o zdrowie, jeno psychoza ludzi młodych i rwących się do działania, a pozabawionych możliwości czynu — stwarza powieściową atmosferę sanatoriów, w których rządzić chcieliby ci nieliczni, co mają za szybko umrzeć, a nie zdołali się dowiedzieć, że dla nich już śmierć tylko a nie lekarz jest przyjacielem i wyswobodzicielem od trosk o swe zdrowie — i czują się pokrzywdzeni. Ale gdy przeciętny gruźlik, mający wszelkie szanse zalecenia, potrafi swoje utuczone gruźlicze ciało oddać w służbę idei — wtenczas tenże sam człowiek, którego troska o własne zdrowie znarowiła do uważania się za centrum rodziny i otoczenia, — wróci do normy. I przykład tych licznych — Szymanowskiego, Daszyńskiego, Rostworowskiego, Grottgera, Słowackiego, Żeromskiego, gen. Stachiewicza, prof. J. Ujejskiego — i tylu żyjących — jest wystarczającą racją, byśmy potrafili uważać się za nieustępujących w możliwości tworzenia i działania zdrowym.

Życie gruźlicze nawet u tych, których opętała troska o zdrowie, obfituje w niekonsekwencje i wybryki, bo nie ma wszak przeciętnego typu gruźlika, tak jak nie istnieje w rzeczywistości smithowski *homo oeconomicus*. Ale ponieważ w każdym cieplarnianym środowisku ze względu na jednolitość wrażeń i brak czynu, jednostki albo manierują się, uważając te przypadkowe okoliczności za normalne — jak najczęściej synowie bogatych rodziców i klasy posiadające — albo pokonawszy skłonność do manieryzowania się, a wolni od trosk doczesnych — oddają się kontemplacji, by wybuchnąć kiedyś czynem skoncentrowanej przez wieloletnią przymusową nieruchomość energii, jak więzień po wyjściu z więzienia, dlatego i my wszyscy uciekamy od grożącego nam w sanatorium zmanierowania się. Jedni robią to — grając w bridge'a i kibicując, inni studiując. Ci są rzadsi, gdyż mając wiele czasu i żadnego obowiązku, trudniej jest zabrać się do systematycznego, dobrowolnego wysiłku, którego wyniki okażą się po latach. Ci jednak, którzy nie uczynią tego — zmarnują się psychicznie, choć częstokroć będą zdrowsi. Ale gdy pochwyci ich idea, której staną się fanatykami, jak teraz są fanatykami swego zdrowia, będą szli przez choćby najbardziej schorowane życie jak Brunetto Latino, który wydał się Dantemu w Piekło, niby „quelli che vince, non colui che perde“. Trudności życiowe wyłaniające się przed gruźlikiem — nie powinny być zaporą, tamującą jego plany, jeno technicznym problemem do rozwiązania.

I tak postępował Andrzej. Nie dlatego, żeby sobie tak to wszystko wyrozumował. Nie; po prostu zanadto paliły go problemy życia, nierozwiązane jeszcze przez niego,

zarówno jak i przez całe pokolenie paradoksy. I nie sądził on, że nawet widmo zbliżającej się śmierci — (każdy początkujący gruźlik, jak i całe społeczeństwo, zbyt pochopnie czują jej kościste palce, dławiące nocą oddech, uciskające skronie pulsowaniem) — może oddalić go od przemyślenia zagadnień, od włożenia swego udziału w wysiłek myślowy społeczeństwa. Jak św. Franciszek Salezy w czasie gry w szachy zagadnięty przez swego wielbiciela, co by zrobił, gdyby wiedział, że za godzinę umrze, odpowiedziałby: „Chciałbym rozegrać partię aż do końca“. — A z chwilą, gdy patrzy się na ewentualność śmierci spokojnie, widmo jej oddala się, jak napastujący pies przed światłem latarki.

W otoczeniu neurasteników Andrzej pozostał normalnym człowiekiem. Nie poddał się ich idei, szukania zdrowia za wszelką cenę, chociaż bał się jego zupełnej utraty — ale chciał służyć wielkiej Idei, a z nią — wierzył — miało wrócić i zdrowie. (Tak wierzył, a czyż można komuś wierzyć zabronić, zwłaszcza gdy ta wiara wbrew logice medycznej wygrywa).

No, a poza tym zdobył się na wysiłek zaktualizowania tych swoich wartości, które wydobywały go z przeciętności. — Miał inne zainteresowania, niż otoczenie — i uporczywie je rozwijał, a to inaczej urabiało jego postępowanie, odmiennie niż innych. A może zbyt już oswoił się z myślą, że jest jednym z przywódców swego pokolenia, żeby móc się z nią rozstać — i dlatego wołał stać przy swoich planach życiowych, jakby nie wyszła im naprzeciw choroba, — ponieważ tylko w ich realizowaniu widział sens dla którego warto leczyć się i żyć. To sprawiło, że pozostał sobą, mimo że wydał się otoczeniu dziwakiem, którego motywy postępowania są niezrozumiałe. Nie poddał się tej psychice sanatoryjnej, zmuszającej każdego nowoprzybyłego zgrywać się w roli kandydata na nieboszczyka, która potem wchodzi w przyzwyczajenie i słusznie jest przyczyną opinii o dziwactwach gruźlików.

Nie starajmy się przeceniać Andrzeja, lub nie doceniać go z powodu motywów, które sprawiły, że pozostał sobą. Przyjmijmy do wiadomości fakt, że tak stało się i, że w większości wypadków tak nie jest. I nie tylko w Sanatorium, ale wszędzie w życiu.

Te wszystkie czynniki — wyodrębniające Andrzeja od towarzystwa — sprawiły, że znalazł się on samotny wśród kuracjuszy, (nawet niezupełnie sam, — bo kilku innych, jakiś ksiądz, jakiś młody malarz i jakiś młody żeglarz, właściciel małego jachtu morskigo — podobnie oderwali się od otoczenia). Gdy otoczenie przyzwyczaiło się do widywania go samotnym, nie uczęszczającego na tańce i flirty do saloniku i nie grającego w bridge'a, milczącego na werandzie — przestano się nim interesować. W podobny sposób, jak nie interesowano się nikim, gdy poznano jego przyzwyczajenia i zaksięgowano je wśród utrwalonych przyzwyczajeń, traktując nowego przybysza, jako konieczny przedmiot w atmosferze sanatoryjnej, jak nowy przepis obostrzający dotychczasowy regulamin, do którego tolerowania i przestrzegania jest się zmuszonym. Gdyż ogół tu stara się traktować każdego, jak przedmiot swej rozrywki, pomagającej szybciej mijać godzinom, nie traktując nikogo jako współuczestnika walki o byt, czy współtowarzysza idei — bo i tak rozejdą się po wyjeździe stąd nasze drogi, a wszyscy będą starali się zapomnieć i zatrzeć ślad swego tu pobytu.

A nie wińmy za ich niechęć do twórczości i wysiłku myślowego, za ich specyficzny epikureizm ogół kuracjuszy, jak i nie usprawiedliwiamy ich zbyt — bo wprawdzie mogliby czas wykorzystać na wielorakie sposoby — ale czyż wielu z nas zdrowych,

potrafiło oddać się nauce czy sztuce czy polityce nie dla posady, nie z nawyku — ale twórczo, z musu wewnętrznej ciekawości i siły, tworzącej nową i przeobrażającą zastaną rzeczywistość? Marnowanie czasu, automatyzm myślenia cudzymi przemyśleniami, chęć natychmiastowego dyskontowania osiągnięć w rozwoju swej osobowości jest nałogiem powszechnym. I dlatego tu w Sanatorium, koledzy gruźlicy, zwłaszcza wy, zesłani na kilkuletnią klimatykę, — tu gdy pryskają wszystkie więzy organizacyjne z nizin — gdy nie ma nikogo, prócz własnego sumienia, kto by pochwalał wasze dokonania, gdy nie ma walnych zebrań, dyskusyj i organizacyj, gdziebyście wyładowywali porywy waszej energii, stajecie bezradni i opuszczeni, czujecie się osamotnieni, niepotrzebni i pokrzywdzeni, jeżeli nie macie bezpośrednio wżartego w duszę i charakter celu życia, zależnego tylko od was samych. Zaczynacie roztrwaniać czas, jak dotychczas roztrwanialiście waszą energię. I dziwicie się, że wasze miejsca w życiu i w organizacji zajął kto inny, bez żadnego uszczerbku dla świata, miejsca was, którzy wyobrażaliście siebie za niezastąpionych w mechanizmie społecznym.

Ot — ludzie tragiczni — jak tragicznym jest dziś każdy, kto nie znalazł się w obozie wielkiej Idei, która wymaga od człowieka wyrzeczenia się siebie, by przez nie odnalazł swoją zagubioną osobowość.

Ot, żywota zmarnowane, jak zmarnowanym jest życie każdego, kto nie odnalazł w nim jakiegoś celu, jakiejs idej, nadającej wszystkim jego działaniom wartość nieprzemijającą: dobra; idei — skupiającej jego wysiłki w codzienną pracę nad urzeczywistnieniem celu; idei — płynącej ze zrozumienia swej osobistej, nie mogącej być zastąpioną przez nikogo misji, choćby najdrobniejszej; misji — jaką każdy z nas przez swe życie winien spełnić w społeczności, w której żyje i w sposób, w jaki przygotowały go do tego wychowanie i zdolności; misji — nadającej sens życiu doczesnemu jednostki i będącej wyrazem boskiego ładu i porządku świata.

Żyjąc wśród ludzi młodych i nieukształtowanych, którzy dopiero przez gruźliczy wstrząs i ujrzenie życia w błahości jego cielesnego, ziemskiego trwania mieli przyspieszyć zahamowany rozwój swej duszy, Andrzej, już porwany przez wielki prąd odrodzenia, co więcej jego współtwórca i przeobraźiciel — stanął z boku tego sanatoryjnego środowiska. Gdyż to, co oni mieli dopiero przeżyć, on dawno już pozostawił poza sobą.

Ale chociaż Andrzej pozostał sobą — to na zewnątrz ujawniało się w tym, że golił się co dnia starannie jak conradowski bohater z „Jądra ciemności“ i, że nie interesował się tym, co interesowało innych — bo przebywał ze swymi myślami — to jednak musiało się coś w nim zmienić. Sobą jest się zawsze w określonym środowisku — gdy środowisko to pozostanie poza nami, wtenczas jakbyśmy zeszli z szosy na leśną ścieżkę w górach. Idziemy dalej — ale wzrok nasz i ucho nasze musi przestrzegać nas już nie przed trąbką doganiającego samochodu, czy potrąceniem wymijanych przechodniów, ale przed korzeniami, wykrotami i kamieniami, przed grzmotem nadciągającej burzy. Ze zmianą środowiska zmienia się i człowiek — nie dlatego, że środowisko urabia go całkowicie — ale dlatego, że ukazuje mu problemy i że podsuwa praktyczne zadania, które gdzie indziej będą inne.

Tak więc Andrzej znalazł się oderwany od jakiego bądź otoczenia — stał się anachoretą, chociaż pozornie przynależał do dwóch środowisk — gruźliczego i pokolenia. Atmosfera sanatoryjna nie związała go ze sobą, ale więzy z jego dotychczasowym ośrodkiem pracy twórczej, politycznej i wychowawczej zerwały się. Bynajmniej nie dlatego,

żeby o nim zapomniano — czy żeby stał się niepotrzebnym w pracy (był jednym z tych nielicznych niezastąpionych) — ale dlatego, że sam się zmienił. I Andrzejowi danym zostało poznać to — czego nie znały gromady przywódców i „literatów“, a co musi znać każdy reformator i artysta, formujący nową rzeczywistość: poznać człowieka.

Żyjąc w cieplarnianych warunkach, łatwo jest stać się przedmiotem samoobserwacji, przystąpić do metodycznego myślenia — by po latach wyjść twórcą lub sceptykiem.

W Sanatorium, gdzie Andrzej żył tylko myśleniem i studiami — bez żadnych wrażeń zewnętrznych — łatwo było zacząć analizować życie. Proces, który w nim nastąpił, nastąpiłby we wszystkich warunkach, jakiego mu ułożyło życie i on sam, bo jego refleksyjna, logiczna, filozoficzna i religijna natura — musiałaby go zmusić do tego — ale tu wystąpił proces wyraźniej, dogłębniej, pełniej.

Wiara w ideę, która nadawała wartość życiu Andrzeja, powoli zaczęła ulegać zachwianiu. Zbyt niedawno przyjęta, chociaż przeobraziła jego życie — nie ukształtowała w pełni jego duszy, pozostawiła miejsce na wiele niekonsekwencji, które teraz zaczęły mętnić się w jego sumieniu, stawiając potrzebę sprecyzowania w jasnych tezach tego, w co wierzył. Bo w co wierzył Andrzej? Wiara jego jak i wiara młodego pokolenia była mocna, ale nieugruntowana, bardziej z poczucia potrzeby drogowskazu, niż z uznania jego prawdziwości przyjęta. Musiała zacząć fermentować zanim by okazało się, czy można na niej należycie budować. Ferment ten miał przeżyć Andrzej — sam jeden — za całe pokolenie.

Odwaga spojrzenia rzeczywistości w oczy nie przez okulary nałogów myślowych, konsekwencja w stosowaniu zdobytej prawdy, szczerość wobec siebie i innych — były narzędziami, z którymi przystępował Andrzej do wiwisekcji swej idei.

Jego osamotnienie psychiczne było zupełne. Zaczynał się proces, tak częsty w sanatoriach i u chorych — przebudowy duchowej człowieka.

Ale to już nie mieści się w tym fragmencie.

ŻBIGNIEW MARKOWSKI

„GROTESKI TATRZAŃSKIE“

Halny.

— nad stawami
smreki zadumane drzemią;
białe płachty chmur
przyglądają się cieniom...

— kłębiącymi chmurami rozgniewane Tatry
rozpędziły halnym ich cienie — na cztery wiatry.

Nieporozumienie.

— słońce się wgryzło
w szczyty granitów;
wszystkie mchy
zliliowaciały z zachwytem...

— *i kozice zamarły — (bez drgnienia powiek).*
...skądś wylażł — *ni w pięć, ni w dziewięć — człowiek.*

Śnieg.

— *biel pisana kredą*
chyboce w gałęziach drzewa;
blask skrzący gwiazdami
słońcem się zaśpiewa...

— *perły kroków giną w siności... Cóż wart*
rytm śniegu — bez dwóch kresów nart.

Turysta.

Darł się do grzbietu
uwieszonego na horyzoncie,
zuchwałym krzykiem,
cichość gór roztrącić...

— *skądś echa odpowiedziały rozwrzeszczanym gloriom:*
dziwnym rozmachem stoków — wyrosło Sanatorium.

MARIAN OSTAFIEJCZUK (LWÓW)

I N T R U Z

Leży w kącie, jak niepotrzebna rzecz. Pali go biała, nudna pościel kliniczna. Szklane ręce wydzwaniają na szybach nalanych purpurą jesieni przekleństwa. Ma dosyć czerwieni. Z każdego kąta wchodzi mu w oczy. Zapach jej rozdyma mu nozdrza. Czuje ją w ustach. Walczy z nią każdym nerwem. Mózg tarza się w ohydnie rozpalonej głowie — kuli. Obija się z rozpaczą o jej śliskie ściany; broni się przed potworną zmorą. Ale im usilniejsze szamotanie się i prężenie zboląłego mózgu — tym natarczywiej zaciekle widmo szkarłatu uderza weń jak groźba śmierci. Wije się w splotach dzikiego udęczenia już czwarty tydzień. Wyzwolić się nie może. Przy tym we mgłę gorączką nabrzmiałej tonie jego przeszłość. Oto chwyta go obłęd dni przyszłych, jakoś śmiesznie poplątanych, dni życia na Uniwersytecie, pracy ubocznej na chleb, ciężkiej a źle wynagradzanej.

Chciałby się dostać do korzeni klęski swojej. Jakoś udaje mu się przepłoszyć krwiste widma. Myślami teraz przeskakuje przeszłość; w ów dzień, w którym...! —

Szedł wolno z Uniwersytetu do domu. Pod zmurszały rytm serca szedł ześlimaczały krok. Przed oczyma wirowały mu czarne płyty. Zgiełkliwy ruch ulic nie dochodził do jego świadomości. Fale wiatru uderzały weń raz po raz i srodze kołysały jego wiotką postać. Przystanął przy załomie jakiejś kamienicy; starał się otrząsnąć z lepkiej ociężałości i bezsily, usiłował odegnać od siebie przykre majaczenia. W pewnej chwili doznał wrażenia zapadania się gdzieś głęboko w przepaść. Trwało to jednak chwilę, ale płyty

ulicznego piaskowca w dalszym ciągu jeszcze zdawały się uciekać spod niepewnych jego nóg. Ze strasznej gonitwy myśli wyłowił jedną w formie pytania:

— Co się ze mną dzieje?

Kłeską było dla niego zatrzymanie się nad tą myślą, bo oto zaczęła rósć i potężnieć, aż do ohydneho krzyku. Machinalnie oplótł głowę dłońmi. Na próżno czekał na zelźenie stęzalego krzyku. Pytanie owo rozprysło się jak iskry spod młota na tysiące pomniejszych; wszystkie były treści pytania rdzennego. W głowie powstał szum pędzącego żywiołu wodnego. Ręce niby martwe opadły z głowy. Przez szpary ocz zaczęły wylać figlarne świetliki — zrazu zwolna, później całymi snopami. Powoli topniał szaleńczy taniec rozkrzyczanych myśli. Mętym wzrokiem powiódł dokoła siebie: ludzie, kamienice — wszystko, co widział chybotąło mu się, jak obraz odbity w wodzie wprawionej w ruch. Ale poszedł dalej mimo uporczywego osłabienia. Wachlarze drzew, niewytrzymujące nowego, a silnego naporu wiatru, ścieliły się prawie do jego stóp.

Ot, tak, prawie bez udziału jego woli przyplątała się myśl: — skąd ten wiatr, skąd ten wiatr. Czyżby jakaś burza miała przyjść?

W jednej chwili dziwnie brakło mu w płucach powietrza. Siły jeszcze starczyło tyle, by poruszać wolno nogami. Zaczęło go to dręczyć:

— Skąd takie zmęczenie. Hm — nie jadłem jeszcze nic dzisiaj — a już druga dochodzi. Ale czyż to pierwszy dzień, w którym nie jadłem śniadania? Było ich przecież moc. Nigdy jeszcze tak gwałtownie z nóg nie leciałem.

Zapachniał dziwnie krwią...

Nagle dreszcz przerażenia wstrząsnął ciałem leżącego. Tak był pograżony w swych myślach, że nie słyszał, jak ktoś drzwi uchylił. A teraz z korytarza, jakby z jakiejś otchłani dolatuje go strzęp rozmowy na dziwnym bełkocie rozpiętej:

— Miał krwotok z płuc.

— Na jakim tle?

— Gruźliczym.

Poznał głos siostry zakwefionej; głos pytającego się tak jakoś fachowo — był mu obcy.

Po chwili w pokoiku przedtem cichym, jak lot motyli — brzęczały słowa. Każdy z przybyłej gromadki kolegów i koleżanek uniwersyteckich przyszedł z dłońmi pełnymi pociechy przyjaznej. Wszystkie słowa dobre i pokrzepiające wydawały się dla leżącego jakieś banalne. Czuł, że oni tę wizytę u niego chcą jak najprędzej „odcierpieć“. Raz wraz dobywał z zdyszanych piersi skargi bolesne:

— Oto macie, chłosnęła mnie w twarz straszna ironia życia. W do niedawna jeszcze jędrne ciało wżarł się teraz zdradziecki czerw i pali. Ach, jak pali. I ciało i duszę.

Któryś tam zaczął go uspakajać:

— Jeszcze wróci twój rumieniec życia. Dobrej bądź tylko myśli.

— Ha, ha, ha! Rumieniec! Chyba taki, jak ów czerw: zdradziecki i trujący — zatrząsł nim sarkazm i znowu skarga:

— I pomyślcie: tak dziko wyrwać mnie spod nóg kładkę! Za co? Za to, że tak bezpamiętnie chciałem pracować! — Ach — jak wam zazdroszczę możliwości szerokiego oddechu! Waszej myśli, co nie wiąże jej pancierz butwiejącej piersi. Życie wasze będzie drgało blaskami żywymi, zdrowymi. Moje — jeśli będzie — tylko cieniami.

Wyszła naprzeciw jego zbolalej duszy jedna z koleżanek:

— Dusza ci się postarzała. Cierpienie wytrzebiło z ciebie całą młodość. Nie można się przecież takimi złymi myślami zatracać. Bo widzisz, ta twoja choroba — to taki intruz; przyjdzie nieproszony, pobruździ ci plany życiowe, rozkrwawi ci wprawdzie serce i płuca, ale pójdzie. Zobaczysz, że pójdzie. Tylko ty musisz chcieć go odegnąć. Całym sobą. Nie wolno ci pławić się w posoce wspomnień przykry osad zostawiających w duszy. Takie babranie się w samym sobie i roztkliwianie nie jest godne ciebie, co do niedawna naprzeciw wszystkiemu i wszystkim z męskimi akordami pracy wychodziłeś. Wyjedziesz w góry, nabierzesz sił. I wrócisz do siebie, na pewno wrócisz!

Jakaś дума zarysowała jej czoło. Z zadowoleniem migwały czarne oczy po czystym lazurze. Mówiła patetycznie, ale z serca. Była głęboko przeświadczona, że podniesie mu głowę do góry. Dorzuciła:

— Przetrwąć tylko musisz dni najcięższe. — Nastała chwila jakiejś wyczekującej ciszy. Leżący odezwał się:

— Łudziecie mnie mirażem słów. Patrzcie! — podał im jakiś papier.

Wszyscy wlepili weń oczy ciekawe. Czytali, że Sanatorium Akademickie w Zakopanem przepełnione, że nie ma ani jednego miejsca, że byłyby miejsca, ale połowa budynku sanatoryjnego daremnie od lat czeka na wykończenie. Twarze ich wykrzywiły się w bolesnym skurczu. Rozumieli go teraz dobrze.

Leży w kącie jak niepotrzebna rzecz...

TEODOR BŁĘKITNY

(cykl: chryzoprazy)

BOŻE...

— — — cały świat prześwieca ołowianym kolorem —

słońce styksowe —

serce liliowe

od nieustannie wieczornych chwil...

i mil

już mierzyć nie można kobaltowym uczuciem

— tylko zatruciem

od rozranych płuc —

w których ponurym gra bemolem

ona —: gruźlica — — — — —

...i podnoszę zniszczoną młodość mą ku niebu

ceglane lica

i brak tchu...

i wołam od mojego brzegu

wróć mi..... (—!!!—)

— brak tchu!! —

WSPOMNIENIA Z „BRATNIAKA“

Jak ten czas szybko zleciał. Pisząc te słowa przenieść muszę się myślą osiem lat wstecz, kiedy to, jako student I roku Wydz. Rolniczego U. J. w Krakowie przyjechałem do zakopiańskiego „Bratniaka“. I rzeczywiście, jeżeli kto to ja na pewno stwierdzić muszę, że życie swoje zawdzięczam tylko tej Instytucji.

Ponieważ stan zdrowia mego był więcej niż ciężki, więc Klinika skierowała mnie do Zakopanego. Ale aby się tam dostać trzeba było złożyć podanie i długo czekać na wolne miejsce. Zapewne na podstawie świadectwa lekarskiego Dyrektor „Bratniaka“ polecił odpisać, że miejsce wolne dla mnie będzie dopiero w końcu lutego. Czekałem. A tymczasem choroba postępowała szybko naprzód.

W międzyczasie wyjechał do Zakopanego jeden z moich kolegów z Rolnictwa i z braku wolnych miejsc w samym „Bratniaku“ zamieszkał w willi „Ślimakówka“, ówczesnej filii „Bratniaka“. Ponieważ było tam jeszcze wolne miejsce, zawiadomił mnie, żebym zaraz przyjechał, co skwapliwie wykonałem. Przyjechałem wieczorem. Dostałem przydział w trójosobowym pokoju. Zbadano mnie. Było niewesoło. Kazano zgłosić się do oficjalnego „Bratniaka“, wyznaczono miejsce i nastąpiło leczenie. „Bratniak“ — Grażyna. Ciemne drewniane ściany robiły smutne wrażenie, ale dzięki panującej atmosferze serdeczności i humorowi, który wówczas panował, czuliśmy się szczęśliwi. Od tej pory zaczęło się przykładowe leżakowanie.

Czas upływał na czytaniu książek, siakich i owakich rozmówkach, i spożywaniu posiłków. W „Grażynie“, w której mieszkaliśmy, mogło się pomieścić 39 kolegów, trzy pokoje były zajęte na gabinety lekarskie i Roentgen. Sala jadalna, kuchnia, pralnia i kancelaria administracji znajdowały się w osobnym budynku gospodarczym, w którym i pokój zajmowały koleżanki. Willa „Parnas“, w której było 12 łóżek dla pań, została zlikwidowana z chwilą rozpoczęcia budowy nowego gmachu Sanatorium w 1928 r. Ponieważ chorych studentów i studentek było daleko więcej niż miejsc w „Bratniaku“, więc lżej chorzy byli lokowani w pensjonatach, w tzw. filiach „Bratniaka“ jak: „Sorento“ — wyłącznie dla pań, „Ślimakówce“, „Turkówce“, „Wrzosie“, „Irusieńce“, „Jutrzenke“ i innych. Ci korzystali z opieki lekarskiej w „Bratniaku“, dla których były przeznaczone dwa dni przyjęć w tygodniu. A było tych osób w sezonach ponad 100, więc kłopot z nimi był niemały. Poza tym chorzy mieszkający w pensjonatach mieli już zupełną swobodę, gdyż trudno było wprowadzić dla nich jakiś regulamin. Ponieważ była to sama młodzież, nie zawsze zdająca sobie sprawę z grozy swego położenia, więc zamiast leczyć się spędzała często czas na różnych rozrywkach po kawiarniach lub używała niedozwolonych w czasie choroby sportów. Temu stanowi rzeczy mogło zaradzić tylko wybudowanie nowego dużego gmachu, w którym można by pomieścić wszystką chorą młodzież.

Jeżeli chodzi o warunki mieszkaniowe i sanitarne to te — tak w samym „Bratniaku“, jak i jego filiach pozostawiały wiele do życzenia. Były to budynki drewniane, wewnątrz nietynkowane, zimne, brak odpowiednich pomieszczeń do werandowania, a co jeszcze gorsze brak leżaków i fusaków. O racjonalnej sterylizacji naczyń

i nakryć stołowych nie było mowy. W niektórych willach dawał się we znaki brak zupełny łazienek.

O samym „Bratniaku“ mówiono, że kto się tam dostanie to już z nim koniec, którą to opinię urabiali i podtrzymywali sami prowadzący filie, ze zrozumiałych zresztą przyczyn. Uprzedzenie było tak duże, że bardzo często chorzy nie chcieli się przeprowadzać do „Bratniaka“, a jeżeli nawet przyjechał taki kuracjusz to się zaraz wyprowadzał.

W „Grażynie“ były pokoje 1-2-3- i 4-osobowe. Do niektórych pokoi nie zaglądał nigdy promień słońca. Wyposażenie pokoi pożałowania godne. Ściany ciemne drewniane, podłogi dziurawe, krzesła i stoły bez nóg, szafy zbyt małe.

Jeżeli chodzi o werandowanie, to oprócz małych werand przy „Grażynie“ była osobna weranda drewniana, od strony wschodniej zasłanowana deskami. Stało na niej 30 połamanych leżaków drewnianych, nakrytych materacami ze słomą bez pokrowców. Na lepszy leżak trzeba było długo czekać w kolejce aż jaki wysłużony gruzlik opuścił „Bratniak“, przenosząc się na „nowotarską“, już to wyjeżdżając na zmianę klimatu, lub podleczoney wracał do dalszej pracy.

Po śniadaniu każdy zarzucał na siebie stary płaszcz, brał na plecy worek do werandowania i ruszał przez podwórze na leżak. Wieczorem worek do werandowania trzeba było zabrać z powrotem aby go nie skradziono, o co nie było trudno, gdyż nie było odpowiedniego ogrodzenia, a zresztą na leżakach wylegiwał się nocą pies „Pik“. Wszyscy jednak rozumieli, że leżak to cały ratunek i chętnie szli na werandę pomimo deszczu i słoty. Obecności na werandzie nie kontrolowano zapewne z braku czasu, gdyż lekarze byli i tak przepracowani a pielęgniarzka sama była więcej chora jak my sami.

Portiera nie było, budynek był otwarty całą noc a mimo to wymykanie się do miasta kuracjuszy na noc było bardzo rzadkie. Dużym brakiem było wadliwe urządzenie łazienki, która znajdowała się w zimnej piwnicy. Później urządzono ją pod schodami w samej „Grażynie“, ale była niestety tylko jedna na 40 osób kuracjuszy i 10 osób personelu.

Ten prymityw odstraszał kuracjuszy, toteż w „Bratniaku“ mieszkali tylko sami niezamożni i ciężko chorzy, którzy nie mogli sobie pozwolić na lepsze locum gdzie indziej, natomiast zamożniejsi i lżej chorzy lokowali się w mieście.

Do tych wszystkich braków dołączały się ciągle skargi kuracjuszy na odżywianie, które przecież w leczeniu gruźlicy odgrywa bardzo ważną rolę. Skarżono się na jednostajność menu, małe porcje i niesmaczne przyrządzanie. Na wytłumaczenie tego mogła służyć trudność w kalkulacji przy małej ilości osób i gospodarka przeważnie kredytowa, gdyż kuracjusze zostawiali duże długi. Aby chociaż częściowo zapobiec skargom i narzekaniom na odżywianie Dyrektor Jasiński zaproponował kuracjom układanie menu. Utworzyła się specjalna Komisja spośród największych malkontentów, której ostatecznie żywot był bardzo krótki, działała zapewne nie dłużej jak 2 tygodnie, gdyż sami między sobą nie mogli się pogodzić. Zostali więc usunięci przez samych wyborców i wszystko wróciło do poprzedniego stanu.

Na terenie Domu Zdrowia istniało T-wo Kuracjuszy Domu Zdrowia „Bratnia Pomoc“ w Zakopanem. Zadaniem T-wa było troszczyć się o zapewnienie kuracjom możliwie jak największych wygod i przyjemności, o czym mogą świadczyć następujące referaty: dochodowy, propagandowy, radiowy, biblioteczny, prasowy, gier i zabaw oraz sklepik. Dochody czerpało T-wo z urządzanych loteryj, zabaw, opłat bibliotecznych

i sklepiu. Na czele T-wa stał prezes i kierownicy poszczególnych sekcji. Nie brakowało takich, którzy rozbijali pracę w T-wie, więc na ogólnych zebraniach toczyły się długie i zacięte dyskusje, które czasami ciągnęły się przez kilka dni z rzędu. Koledzy często dostawali z tego powodu temperatury. Dopóki zakład był mały T-wo miało rację bytu, z chwilą jednak przeniesienia się do nowego budynku zostało ono zlikwidowane.

Pracowaliśmy z zapalem — sami założyliśmy instalację radiową do wszystkich łóżek dla chorych. W tym czasie Sanatorium nowe już się budowało i często przyjeżdżały do nas różne „fiske“, aby zobaczyć stan robót. Razu jednego zapowiedziała swój przyjazd „władza“ z Warszawy. Jako prezes T-wa Kuracjuszy miałem wystąpić z mową powitalną. Już sobie mowę przyszykowałem, ale zgłosił się do mnie wiceprezes T-wa, abym jemu ten zaszczyt odstąpił. Ależ z radością. Wygłaszaj. Chwała Bogu. Nauczył się przemówienia na pamięć, ale pod koniec jego wygłaszania zaciął się i ani rusz nie mógł przypomnieć sobie dalszych słów, wprowadzając tym w wielkie zakłopotanie słuchaczy. Po dłuższej przerwie przypomniał sobie ostatnie zdanie i wygłosił je skwapliwie. Obecny wówczas redaktor Kuriera Warszawskiego wspominał na łamach tego pisma, że „mowa wypadłaby bardzo dobrze, ale mówcy stanęła kość w gardle i nie mógł jej przełknąć“.

Innym razem mieliśmy takie zdarzenie. Po przodkach odziedziczyliśmy w Sanatorium jeden reprezentacyjny garnitur t. j. żakiet, białą kamizelkę, ciemny płaszcz i cylinder. Razu jednego mieliśmy pójść na dworzec kolejowy po znajomą panią. Ażeby to powitanie jak najuroczyściej wypadło, kol. „Ławryk“ „nabił się“ w swoją gal reprezentacyjną, uzbrajając się w parasolkę i w monokl, którym było szkiełko od zegarka. Weszliśmy na stację bez peronówek. Ponieważ kręcący się po peronie zaczęli na nas zwracać uwagę, więc dalej że tytułować go konsulem i rozmawiać z nim w jakimś niezrozumiałym języku. Przy wyjściu trzeba było oddać peronówki, których nie mieliśmy. Trzeba było zażyć fortelu. Jedna z pań, która tam z nami była oddając swoją peronówkę, powiedziała kontrolerowi, że idzie z nią Pan Konsul Republiki Costarica ze świtą. Ten naturalnie uderzył w dach, ludzie zrobili wolne przejście i tak z pompą przeszliśmy przez szpaler dusząc się ze śmiechu. Podobnych scen humorystycznych mieliśmy całą masę. Takżeśmy się zżyli w tych czasach bratniackich, że zaliczamy je do najlepszych i najweselszych, przy każdej sposobności je wspominamy, jako że się jeszcze często spotykamy.

Patrząc na braki, wszyscy czekaliśmy na pamiętny dzień, kiedy będziemy się mogli przeprowadzić do nowego budynku, co nastąpiło dopiero w lipcu 1932 r., w którym to czasie byłem już pracownikiem Sanatorium. Okres mego leczenia był wprawdzie długi, ale rezultat wprost wspaniały, gdyż lecząc się i pracując w Sanatorium rozpocząłem i ukończyłem Prawo na U. J. Stan mego zdrowia do tego stopnia się poprawił, że od czterech lat każdą wolną niedzielę spędzam na wysokogórskiej wycieczce narciarskiej w słońcu i radości.

Ale nie tylko ja jestem tym wybrańcem, który uszedł cało. Dużo kolegów, byłych kuracjuszy z czasów mego okresu leczenia się w „Bratniaku“ pokończyło wyższe studia i zajęło stanowiska we wszystkich dziedzinach życia społecznego i państwowego. Na to, abyśmy to zdrowie i możliwość do pracy odzyskali potrzebny był „Bratniak“, który powstał z inicjatywy samych chorych, popartych przez ludzi dobrej woli, rozumiejących

ich ból. Dzięki trosce tych ludzi „Bratniak“, z roku na rok rósł i rósł, gdyż ciągle nie mógł pomieścić zgłaszającej się młodzieży. Od 1932 r. mamy nowy gmach, ale niestety do tej pory nie jest wykończony i w dalszym ciągu wiele osób długimi miesiącami musi czekać na przyjęcie, tak jak ja z 1929/30 r.

Wiele osób było zdania, że nie opłaca się leczyć młodzieży, gdyż i tak nie będą oni już zdolni do pracy, a tymczasem życie wykazuje co innego, nie tylko bowiem uzyskali oni zdrowie, ale zapewne zajmując różne stanowiska, stali się głównymi propagatorami walki ze społeczną chorobą, której na imię „gruźlica“, czym sowicie spłacą swój dług względem społeczeństwa zaciągnięty w czasie leczenia sanatoryjnego.

Dzisiaj mamy dla kuracjuszy piękne, słoneczne pokoje odpowiednio umeblowane, dobrze ogrzane. W każdym pokoju bieżąca ciepła i zimna woda. Na każdym piętrze łazienki i po dwie kryte werandy z wejściami wprost z korytarzy. Na werandach wygodne leżaki i wystarczająca ilość worków do werandowania. Sala jadalna piękna. Zupełnie inaczej przedstawia się również kwestia odżywiania. Chorzy chodzący, mają możliwość wyboru z karty menu, zaś chorzy leżący w łóżkach w miarę możliwości wedle swego życzenia.

Życie uśmiechnęło się do nas z beżowych ścian wielkiego gmachu i rozkazało nam mieć nadzieję i wierzyć w lepsze i zdrowe jutro.

Gruźlica jest uleczalną!!

FELICJA FLAUTA JAROSZÓWNA

D Ł U G I E M I E S I Ą C E

Prawie na każdego spada to nagle. Młodzieńczym wysiłkiem zdobywa się miejsce w życiu, by w jakimś momencie zwycięskiej walki złożyć broń, chyłąc się strasznie w ciężkim i bolesnym oddechu.

Potem już powoli patrzy się na świat poprzez kratki karty gorączkowej i każdy krok mierzy się słupkiem rtęci termometru. Życie układa się niesystematycznie i źle między pracę i dalekie sanatorium.

Niespodziewanie opuściłam Warszawę tej jesieni, kiedy u nas padał zimny deszcz, a w Zakopanem śnieg leżał świeży i cienką powłoką. Z dworca jechałam już sankami, choć sanna nie była przecież dobra. Ciągle jeszcze o wielu rzeczach myślałam, układając je w dniach roku. Ponieważ później dopiero nauczyłam się, że przewidywać nie należy niczego.

Z daleka czterdzieści oświetlonych okien zajaśniało powitaniem. Czterdzieści razy odbiło się w mych oczach ciekawym pytaniem: jak tam jest? Otwarte werandy przyjaźnie łopotały ciężkimi zasłonami.

Czułam się trochę nieśmiało, jak każdy, kto, przyjechawszy pierwszy raz, myli ciągle szerokie korytarze, które są wszystkie jednakowe. Jednakowe są także dni powszednie. Dlatego tak łatwo jest przyzwyczać się do tej smutnej bezczynności i powolnego budowania zdrowia, szczególnie gdy jest się bardzo zmęczonym.

Tydzień po tygodniu waży się czas obojętnymi godzinami. W listopadzie liczy się je do pierwszego śniegu, w grudniu do Bożego Narodzenia, później do Nowego Roku, do Wielkiejnocy. Są to dla nas niezwykle stacje, do których dochodzi się wolnym krokiem monotonnych dni.

Boże Narodzenie. Wszystkie serca łączy podkova stołów, ustawionych w jadalni. Nikomu dziś nie jest przykro w szerokim gronie akademickiej rodziny. Głębokie zrozumienie, słów nie potrzebujące.

Małutkie lampki, nieruchomo trwające na końcach świerkowych gałązek, palą się elektrycznym blaskiem. Nie może się pomieścić w czterech ścianach odświętnej sali śpiewana kolęda.

W pokoju także jest drzewko, ponieważ wstać byłoby bardzo trudno. Drzewko ubrane szklanym pyłem, który sprzedaje się w pudełkach z napisem „loczki anielskie“. Ale kolędy śpiewane na dole słychać także, jeśli otworzy się drzwi na korytarz.

...palcie się białe świeczki jasnym płomieniem. Uśmiechajcie się wargi zgorączkowane, by nikt nie widział bolesnym skurczem drgających kącików... Śmieście się oczy błyszczące, by nikt nie zauważył łez palących pod powiekami...

Dalekim echem przybiegł dzwoneczek. Mały dzwoneczek od sanek. Niespokojnie zabiło serce. Słaby dźwięk natrętnie wwierca się w pamięć najdroższym wspomnieniem: ...to u nas, u nas jeżdżą saneczki z dzwoneczkami. W tej chwili nie pamięta się, że tak pewnie jeżdżą na całym świecie. Tylko tam. Najmilsza radość. Bo śniegu tam jest mało, zawsze prawie jest błoto. Prawie zawsze, ale i tak przecież tam jest najpiękniej, najpiękniej na świecie. Małe, kochane uliczki tak krzywo zabrukowane. Naturalnie, że kocimi łbami. Asfaltu wcale nie ma w tym małym miasteczku. Zmieniłoby się wtedy — może nawet byłoby nieładnie...

Palce nerwowo szukają na stoliku. List stamtąd. Świąteczny list z życzeniami. Słowa, najdroższą ręką pisane z wzruszeniem — czytane z rozpaczą.

...,to nic, drogie dziecko, przecież wierzę, że już niedługo...”

Czyż można napisać prawdę?... O smutna odwago... Dziś tylko jedno pytanie: panie doktorze, czy długo jeszcze, czy długo?... Bo wizyta lekarska odbywa się zawsze o godzinie ósmej wieczorem. I w święta także.

Codziennie znów nie pamięta się daty. Tu zawsze trzeba zaglądać do kalendarzyka. To dlatego, że wszystkie dni są tak do siebie podobne. Czas nie.

Zresztą jeśli o czas chodzi — jest on zjawiskiem przemyślnym i chytrym. Tutaj szczególnie. Jego wyrafinowana złośliwość polega na tym właśnie, że zawsze brak go wtedy, gdy jest najbardziej potrzebny. Powtarza się dzień w dzień to samo. Zwykle zaczyna się od rana. Bo tu jest taki porządek dnia, że najprzód słońce wschodzi, a wieczór jest później.

Właśnie o to słońce chodzi. Wypływa swą różową plamą i wędruje, bawiąc się w chowanego między spokojnymi szczytami i ciemną ramą okna. Rama zamyka jasne niebo w prostych liniach figury geometrycznej, która nazywa się prostokąt.

Pierwsze promienie podnoszą powieki i, omijając z daleka niechętny wzrok, prze-

noszą się na stolik. Tu zaś uparcie i złośliwie zatrzymują się na zegarku, wyraźnie popychając wskazówki. To jest równoznaczne z przykrą świadomością obowiązku werandowania.

Leżaki są w niebieskie pasy. Żeby nie było zimno — trzeba pozapinać wszystkie łapy futrzanego niedźwiedzia. (Nie wiadomo dlaczego nazywa się on tutaj niezrozumiale i bez wdzięku — fusakiem. Na szczęście ta niepokojąca nazwa została dowcipnie przekręcona na polski — śpiwór). Zwykle na werandzie wpada się w stan bezcennego rozleniwienia umysłowego. Jest to stan znakomity i nieoszacowany dla gruźlika. Wtedy bowiem zaczyna się układać powieści lub snuje się dalekie wędrówki, żrenicami wybijając zmuśną drogę po stromych szczytach.

Można czytać. Chociaż często książki są także przeciwko nam. Nie chcą bowiem same odwracać swych kartek, wtedy właśnie, gdy w ręce jest zimno. Ale najwięcej rozmawia się. Cicho jest dopiero później, na drugiej werandzie. Wtedy także nie trzeba zaciągać firanek przed słońcem.

Na dalekich górach nie widać śniegu, ponieważ są ciemne albo czerwone. Ognista kula stacza się po twardych szczytach, miażdżąc skały i rzucając nam do stóp świetne skarby płomiennego światła. Ciężkie złoto słoneczne, za które nic kupić nie można.

Najprzyjemniej jednak jest iść na spacer. Kiedy w kotlinie punkcikami zajaśniejże dużo — dużo światełek — wtedy nie wiadomo właściwie gdzie są gwiazdy. To wygląda tak, jakby się niebo z ziemią zamieniło na miejsca. Można też myśleć, że jest się w bajce. Bo nawet skromna na pozór nazwa śniegu niczym nie zdradza tysiąca rozrywek i zasadzek, jakie się w nim kryją. Czując skrzypiące iskry pod butami — dowiaduję się o nich już nie wiem który raz — i ciągle na nowo. Białe płatki kręcą się w opętanym tańcu radości. Szalenie wirują moje myśli — najpogodniejszy uśmiech kładąc na wargi z woli beztroskiego wesela.

Nigdy wtedy nie można zdążyć na gong, który niecierpliwie obwieszcza główną ceremonię wieczoru — kolację. Zdążyć nie można dlatego, że jest on zawsze o wiele za wcześnie. Taka już jest jego przewrotna natura.

Ale najgorsze ze wszystkiego jest światło. Ukryte bezpiecznie wewnątrz obojętnej we dnie lampy — światło — doskonały wynalazek ludzkości, zachowuje się wprost impertynencko. Jest to na terenie sanatorium zjawisko nieokrzesane, zdradzające brak najelementarniejszych zasad wychowania. Zdaje się niestety, że już nigdy nie nabierze tu eleganckiej kurtuazji. I zawsze co dzień, punktualnie o godzinie dziesiątej wieczorem, będzie nas swym nietaktem wyprowadzało z równowagi. Po prostu gaśnie. Gaśnie za prędko. Właśnie wtedy, kiedy jest potrzebne jeszcze na pięć, na trzy, na dwie minuty! Złość ludzka jest kwaśna i dokuczliwa, ale złośliwość martwych przedmiotów jest tutaj wprost nie do zniesienia.

Błękitny luna zagląda niewinnie przez okno i, mrugnawszy porozumiewawczo, wpuszcza tyle blasku ile nie wystarcza naturalnie na przyzwoite oświetlenie pokoju. Tyle jednak, by wyraźnie podkreślić swą ironię i świetlną solidarność z elektrycznością.

A lampa, biała lampa bezczelnie i niemal głośno śmieje się wtedy. Aż robi się okrągła od śmiechu. Odwracam się do niej tyłem. Niegrzecznie. Arogancko. Niech ma.

OLGIERD VILIO-VETESCO

T O W Ł A Ś N I E J E S T K U R A C J A

Od rozpoznania gruźlicy do wyjazdu na kurację w Sanatorium Akademickim im. Józefa Piłsudskiego w Zakopanem upływa pewien czas. Czas dający możliwość rodzinie i znajomym roztkliwiania się, a samemu delikwentowi urośnięcia na bohatera w związku z rychłą śmiercią, z racji innego powziętego stosunku do rzeczywistości, jako człowieka już niejako z nią niezwiązanego. Chopin, Słowacki, Grottger to już nieomal koledzy. Niestety. Po przyjeździe do Sanatorium z pośpiechem schodzi się z koturn, otrząsa z komunałów, których dowiedziało się o gruźlicy. Trudno. Trzeba przystosować się do otoczenia.

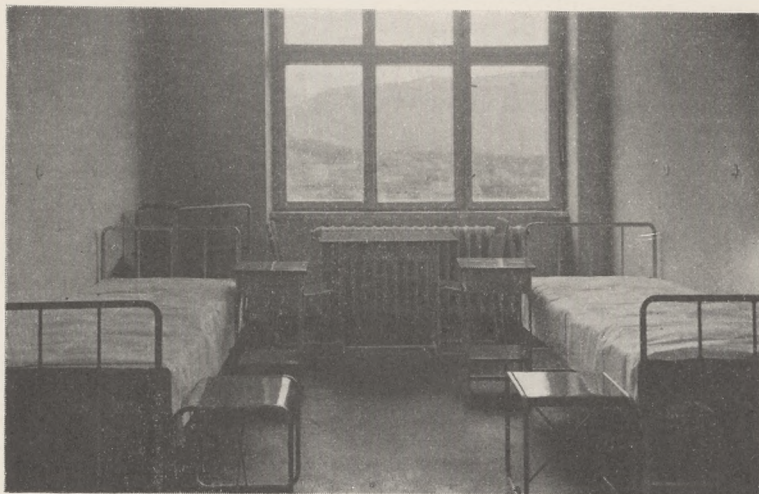
Z zażenowaniem, aby nikt nie słyszał mówi się góralowi: do Sanatorium Akademickiego. Wiezie. Okazuje się, że Sanatorium jest budynkiem, widzianym z pociągu, dominującym nad Zakopanem, wyrwywającym się z otoczenia pseudo-zakopiańskiego stylu swą prostą, celową, żelazobetonową architekturą. Architekt podporządkował się wymogom lekarza, rozwiązując plan wnętrza, oraz niejako ostentacyjnie wychodząc na zewnątrz werandami i tarasami, wiążąc krzywizny werand z poziomymi rzędów okien, pionowy i poziomy tarasów łukami podcieni na parterze i schodami. Wszędzie, w każdym nawet składziku narzuca się wrażenie przebywania w pomieszczeniu specjalnym. Architekt nie usiłował imitować kącików zacisznych, przeznaczonych na chwile samotności lub kontemplacji. Pokoje wygodne, lecz będąc w nich czuje się wciąż, że są niejako dalszym ciągiem werandy są jak gdyby otwarte na góry, jasne, ma się Tatry i szeroką panoramę na dolinę nowotarską, z rozsiadłym w niej Zakopanem, wciąż przed oczami. Właściwie różnią się od werandy tym, że są w nich łóżka i umywalnie. Pokoje dla kuracjuszy są, jak widać ze zdjęcia, umieszczone szeregowo, czterema piętrami, z oknami na południowy zachód. Wychodzi się z nich na korytarz, który spełnia rolę naszych apartamentów gościnnych. Jest nim salonik. Wszystko dotąd wygląda jak z powieści. Nie ma tylko u nas miejsca na nastroje z nich wzięte. Mamy opowieści i dowcipy makabryczne, lecz przeznaczone są dla nowicjuszy i gości, aby dać im pewną satysfakcję. W tych pokojach i korytarzach biedny straszny duch, nie tylko straszyć, ale zacisznego kącika dla siebie znaleźć nie może. Również pająki i kurz nie mają przytułku. W salonikach i pokojach przebywamy mało. Z werand wygania nas czasami halny, lub mróz. Na werandzie przepędzamy nasz chwilowy urlop, poświęcając go na pracę nad sobą, — przyszykowanie się do egzaminów, dokształcanie ogólne. Bardzo pomocna jest biblioteka, składająca się z 5 tysięcy tomów. Gdy się chce odpocząć, nakłada się słuchawki radiowe. Sieć radiową mamy zainstalowaną w pokojach i na werandach. Na werandach w myśl regu-



Łazienka



Jadalnia



Pokój

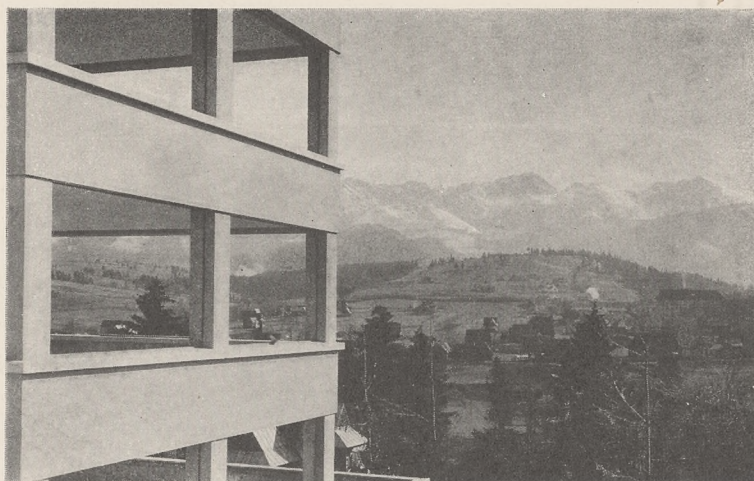
laminu musimy przebywać 6 godzin na dobę. Rzeczywiście przebywa się dużo więcej, gdyż tam skupia się całe nasze życie, różniące się od normalnego uregulowaniem przez regulamin — dzwonkami. Najważniejszą dążnością — jest dążność do wyzdrowienia. Nie jesteśmy nastawiani na tragiczność naszej sytuacji i warunków, a przeciwnie — wszyscy oczekują chwili powrotu do ludzi normalnych, do ludzi zdrowych. Pracują nad sobą, aby nie dać się wyprzedzić, i częstokroć osiągają bardzo dobre wyniki. Nie są u nas rzadkością koledzy, którzy kończą po kilka wydziałów, wielu po odzyskaniu zdrowia, przystępuje do pracy w swoich zawodach, osiągając dobre wyniki. Chodzi więc o jak najszybsze wyzdrowienie, oraz nieoderwanie się od swoich zainteresowań — studiów. Składają się na to:

Dobra opieka lekarska, do której wszyscy mają zaufanie. Zabiegi lekarskie, pozbawione wszelkiej uroczystości i dekoracyjności, nie są konieczną torturą, lecz czymś zwykłym, co nie robi z pacjenta ani męczennika, ani bohatera, po prostu czymś, co mija bez wrażenia. Oprócz zwykłego stosunku pacjenta do lekarza, jest może jeszcze ważniejszy stosunek, do kogoś życzliwego, kogoś kto dobrze radzi i trzeba go słuchać nie dla sankcji, którymi rozporządza.

Gmach przystosowany do wszelkich wymogów leczenia, uwzględniający również potrzeby kuracjusza, dając mu oprócz dobrych warunków mieszkaniowych, przestronnych werand i różnych wygód, salę specjalną na odczyty, przedstawienia, naukę itd., oraz kaplicę. Sala obecnie przyjęła gościnnie szybowce kursu szybowcowego w Zakopanem, kaplica znajduje się w tymczasowym pomieszczeniu, przeznaczonym na inny cel. Roentgen, laboratorium, sala do zabiegów lekarskich znajdują się również nie w ubi-

kacjach na ten cel przeznaczonych, gdyż Sanatorium niestety nie jest jeszcze wykończone. Odczuwa się brak windy. Fortepian i bilard znajdują się w mniejszej sali, która w przyszłości ma mieścić bibliotekę. Ta zaś znalazła chwilowy przytułek w przyszłej szatni.

Dobre pożywienie dobroczynnie współdziała z lekarzem i z klimatem.



Werandy

* * *

Po gruntownym otrząśnięciu się z wszelkich marzeń o swej doli nieszczęśliwej, po przejściu przez dowcip oprawców — zdomowionych kuracjuszków, którzy z wielką miłością bliźniego, łagodzą specjalnie spreparowanymi opowieściami, przejście świata urojonego wielkiego cierpiętnictwa do rzeczywistości sanatoryjnej. —

Wszystko to zbiorowa praca oparta na tradycji, przekazywanej z ust do ust — niejako z pokolenia na pokolenie. Przewyższa ona znacznie najbujniejszą fantazję początkującego gruzlika, który nagle czuje się mały, mizerny, nieważny i wraca do rzeczywistości. Do rzeczywistości trochę co prawda innej, ale w której poza zmienionymi warunkami fizycznymi, przystosowanymi do przeprowadzania kuracji, mieści się pełna rzeczywistość każdego człowieka. Z godzinami pracy, odpoczynku i rozrywki. Z wyżywaniem swoich zainteresowań — i powstawaniem nowych. Nie jest się oderwanym od życia. Tkwi się w nim na równi z człowiekiem zdrowym.

Jest to srogi zawód.

Ale to właśnie jest kuracja.

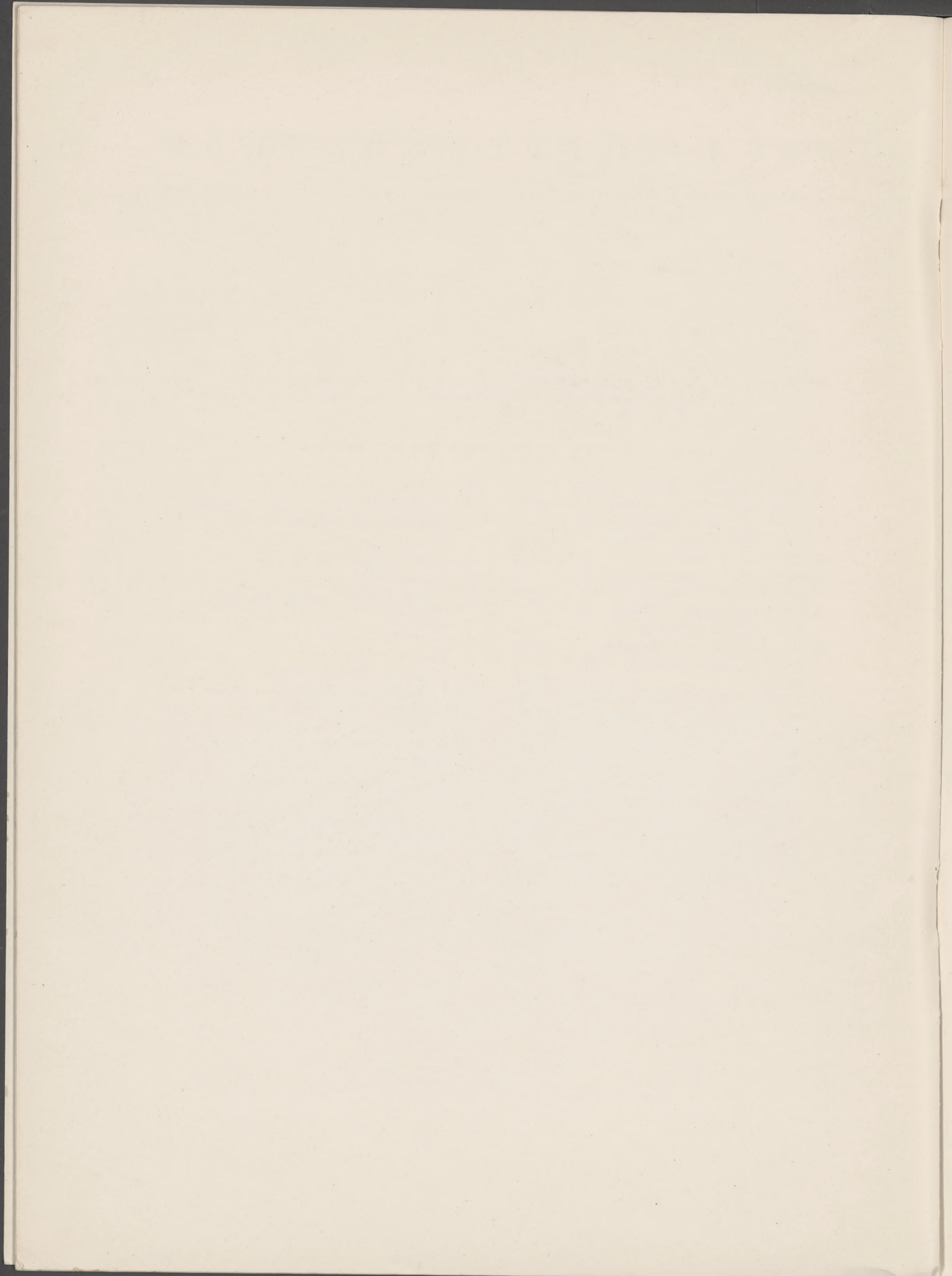
L I S T A O F I A R O D A W C Ó W

na fundusz propagandowy Kuracjuszy Sanatorium Akademickiego w Zakopanem

Następujące osoby i instytucje poparły finansowo akcję przeciwgruźliczą Grona Kuracjuszy Sanatorium Akademickiego w Zakopanem, zapoczątkowaną wydaniem Publikacji

(lista obejmuje kwoty, nadesłane przed dniem 25 kwietnia b. r.):

- | | | | |
|--|--------|---|-------|
| 1. Zakłady Przemysłu Tłuszcz. i Olejar-
skiego „Union“ S. A. Gdynia . . . | 50 zł | 16. H. Francka Synowie, Fabryka Środ-
ków Kawowych S. A. — Skawina 40 kg kawy | |
| 2. „Polskarob“ Polsko-Skandynawskie
Two Transportowe — Gdynia . . . | 50 zł | 17. Zarząd Gazowni Miejskiej — Łódź . | 50 zł |
| 3. „Pantarei“ — Gdynia | 5 zł | 18. „Union Textile“ S. A. Częstochowa | 50 zł |
| 4. Wspólnota Interesów Górniczo-Hut-
niczych S. A. — Katowice | 50 zł | 19. Łódzki Spółdzielczy Bank Dyskonto-
wy, Sp. z o. o. | 3 zł |
| 5. Kałamański Stefan, Prezes Izby
Przem.-Handl. — Poznań | 10 zł | 20. Teodor Finster — Łódzka Manufak-
tura Plusz. S. A. | 10 zł |
| 6. Inż. Gadomski St. — Sosnowiec . . | 20 zł | 21. B. Bystrzycki, Zjedn. Fabr. Przer.
Drzewa — Orzechowo | 25 zł |
| 7. Polskie Kopalnie Skarbowe — Cho-
rzów | 100 zł | 22. Cukrownia Ostrowy-Warsz. | 3 zł |
| 8. Miejskie Zakłady Elektr. — Lwów | 50 zł | 23. Komunalna Kasa Oszczędn. m. Kra-
kowska | 50 zł |
| 9. Dyr. Marius Małpląt — Sosnowiec | 20 zł | 24. C. Hartwig S. A. — Kraków . . . | 5 zł |
| 10. Prezes Wieniawski Antoni | 25 zł | 25. Inż. J. Wierusz-Kowalski — Kraków-
Dąbie. | 5 zł |
| 11. Polska Akc. Spółka Telefoniczna —
Warszawa | 300 zł | 26. Dyr. Józef Dorawski — Kraków . . | 10 zł |
| 12. Jaworznickie Komunalne Kopalnie
Węgla S. A. — Kraków 30 ton węgla | | | |
| 13. „Lignoza“ S. A. — Katowice . . . | 50 zł | Red. Marian Dąbrowski — Zakłady
Graficzne I. K. C. w Krakowie — za-
ofiarował wykonanie bezinteresowne
okładki dla Publikacji. | |
| 14. Inż. Kwapiszewski Włodz. | 5 zł | | |
| 15. Modrzejów—Hantke, Zjedn. Zakłady
Górn.-Hutnicze S. A. — Sosnowiec | 100 zł | | |



S P I S R Z E C Z Y

CZĘŚĆ PIERWSZA

	Str.
<i>Dr Mikołaj Kołodzyński: Gruźlica</i>	23
<i>Jul. Jerzy Żurawicz: Sanatorium Akademickie w perspektywie czasu</i>	27
<i>Prof. Inż. Józef Gałęzowski: Nowy gmach Sanatorium i jego budowa</i>	32
<i>Dr Stefan Jasiński: Znaczenie Sanatorium Akademickiego w walce z gruźlicą wśród młodzieży i organizowanie go przez chorą młodzież i społeczeństwo</i>	37
<i>Dr Stefan Rudzki: Rola Sanatorium w walce z gruźlicą wśród młodzieży akademickiej</i>	45
<i>Henryk Lubicz: Walka z gruźlicą na terenie akademickim</i>	48
<i>Julian Lewański: O racjonalny stosunek Społeczeństwa</i>	51
<i>Ks. Józef Keller: Piękny gest czy obowiązek?</i>	55
<i>Włodzimierz Sznarbachowski: Wpływ Sanatorium na rozwój osobowości kuracjusza</i>	59
<i>Dr Olgierd Sokółowski: „Przepadanka”</i>	64
<i>Dr Adam Przybylski: Promienie Roentgena a gruźlica</i>	66
<i>Dr Brunon Turkowski: Sanatorium nie tylko leczy, lecz i wychowuje</i>	67
<i>Stefan Werner: Sanatorium Akademickie w świetle cyfr</i>	70
<i>Dr Stefan Jasiński i Dr Natalia Siniczenkowa: Sprawozdanie lekarskie Sanatorium Akademickiego im. J. Piłsudskiego w Zakopanem za rok 1937</i>	75

CZĘŚĆ DRUGA

<i>Prof. Dr Wojciech Świętosławski, Minister W. R. i O. P.</i>	83
<i>Marian Zyndram-Kościałkowski, Minister Opieki Społ.</i>	84
<i>Ks. Biskup Prof. Dr Antoni Szlagowski</i>	84
<i>Dr Eugeniusz Piestrzyński, Wiceminister Opieki Społ.</i>	85
<i>Prof. Dr Inż. Andrzej Pszenicki, Prezes Rady Naczelnej T. P. M. A.</i>	85
<i>Prof. Dr Włodzimierz Antoniewicz, Rektor U. J. P.</i>	86
<i>Ks. Aleksander Wójcicki, Rektor U. S. B.</i>	87
<i>Prof. Dr Adolf Joszt, Rektor Politechn. Lwowskiej</i>	89
<i>Prof. Bolesław Miklaszewski, Rektor S. G. H.</i>	89
<i>Prof. Dr J. Zawadzki, Rektor Politechn. Warszawskiej</i>	89
<i>Prof. Inż. W. J. Takliński, Rektor Akademii Górniczej w Krakowie</i>	90
<i>Prof. Dr X. A. Szymański, Rektor Katol. Uniw. Lub.</i>	90
<i>Władysław Sołtan, b. Prezes Rady Nacz. T. P. M. A.</i>	90
<i>Prof. Dr Fr. Czubalski, Prorektor U. J. P.</i>	91
<i>Władysław Raczkiewicz, Wojewoda Pomorski</i>	92
<i>Gen. Bryg. Dr Stanisław Rouppert, Szef Depart. Zdrowia M. S. Wojsk.</i>	93
<i>Gen. Bryg. A. Hubicki</i>	93
<i>Wacław Sieroszewski, Prezes P. A. L.</i>	94

	Str.
Dr Józef Żychoń, b. Dyrektor „Bratniaka“	94
Dr Tadeusz Grabowski, Prof. U. P.	95
Dr K. Jonscher, Prof. U. P.	97
Prof. Dr Stanisław Maziarski, Prorektor U. J.	99
Dr J. Tymiński, Wojewoda Krakowski	100
Dr W. Koskowski, Prof. U. J. K.	101
Dr Paweł Gantkowski, Prof. U. P.	101
Stefan Gołędzinowski, Dyrektor Biura Rady Nacz. T. P. M. A.	102
Dr Walerian Spychała, Kierownik Opiek. Zdrow. w Poznaniu	102
Dr Hanna Rozenówna, Kierownik Centr. Biura Przeciwgruźl. w Warszawie	103
Dr Stanisław Hornung, Kierownik Przych. Przeciwgruźl. we Lwowie	104
Inż. Rusin, Dyrektor Tramw. Miejsk. we Lwowie	105

CZĘŚĆ TRZECIA

<i>Dr Stefan Jasiński: Takie sobie troski codzienne</i>	109
<i>Izabella Pawluciówna: Jesienny pośpiech</i>	114
<i>Ks. Aleksander Gogoliński-Elston: Wczoraj, dziś — i jutro</i>	114
<i>Żbigniew Markowski: Groteski z nad jeziora</i>	123
<i>„Stapko“: Wspomnienie legionisty (z r. 1915) z „Bratniaka“</i>	124
<i>Żdzisław Kutra-Nieuciszony: Śpiew miłosnej chęci</i>	129
<i>Józef Fr. Matlaszek: Wzdłuż i wszerek przez młodą duszę</i>	131
<i>Żdzisław Kutra-Nieuciszony: Złodziej</i>	138
<i>Marian Ruth-Buczkowski: O propagandzie słów killkoro</i>	138
<i>Izabella Pawluciówna: Inna wiosna</i>	140
<i>Józef Fr. Matlaszek: Ostatnie słowa</i>	141
<i>Izabella Pawluciówna: Wieczór</i>	147
<i>Żbigniew Markowski: Felieton i dwa listy</i>	148
<i>Włodzimierz Sznarbachowski: Świat dookoła Andrzeja</i>	152
<i>Żbigniew Markowski: Groteski Tatrzańskie</i>	157
<i>Marian Ostafiejczuk: Intruz</i>	158
<i>Teodor Błękitny: Boże</i>	160
<i>Stefan Wiecha: Wspomnienia z „Bratniaka“</i>	161
<i>Felicja Flauta Jarosławowa: Długie miesiące</i>	164
<i>Olgiard Vilio-Vetresco: To właśnie jest kuracja</i>	167
<i>Lista ofiarodawców</i>	171



BALSAM TRICOLAN - AGE

Reg. M. O. S. Nr 295

i BALSAM TRICOLAN-AGE C. BIOPHYTOLO Reg. M. O. S. Nr 294

są stosowane przez powagi lekarskie całego kraju

w cierpieniach dróg oddechowych

Jesteśmy w posiadaniu kilkuset orzeczeń pp. lekarzy, podkreślających dodatnie działanie tych środków, co jest **najlepszym świadectwem ich wartości leczniczej**. Preparaty te na I Wystawie przeciwgruźliczej we Lwowie nagrodzone zostały Złotym Medalem.

Wskazania: Gruźlica, grypa, bronchit, rozedma płuc, przewlekły kaszel, dychawica, wszelkiego rodzaju nieżyty płuc itp.

Użycie: 3 do 4 razy dziennie po łyżeczkę deserowej, dzieciom stosunkowo mniej.
Dla pp. Lekarzy próby i lektura bezpłatnie!

MOKOTOWSKA FABRYKA CHEMICZNO-FARMACEUTYCZNA
ADOLF GĄSECKI I SYNOWIE, S. A., Warszawa 12, ul. Belgijska 7.

Bank Podhalański

Spółdz. z nieogr. odpow.

W ZAKOPANEM

Gmach własny naprzeciw poczty.

Zast. Banku Polskiego dla inkasa weksli. Załatwia czynności bankowe.

Cresolan Erbe

lek wykrztuśny i przeciwkaszlowy, od dawna stosowany szeroko w leczeniu gruźlicy płuc. — Cresolan — zmniejsza i upłynnia wydzielinę oskrzeli, łagodzi kaszel, zwalcza dodatkowe zakażenia, zjawiające się w przebiegu gruźlicy. — Dzięki tym własnościom Cresolan Erbe stwarza korzystne warunki do szybkiego gojenia się sprawy gruźliczej w płucach.

Cena butelki zawierającej 100 ccm — 1,80 zł.

„ „ „ 250 ccm — 3,75 zł.

Fabryka Chemiczno-Farmaceutyczna R. Barcikowski S.A. Poznań

PASSIFLORIN

Preparat krajowy

Standaryzowane wyciągi z roślin
hodowanych w najodpowiedniej-
szych warunkach gleby i klimatu

Wskazania:

Neurastenia
Przemęczenie nerwowe
Stany lękowe
Bezsennaść na tle nerwowym
Nerwice
Zaburzenie nerwowe w okresie
pokwitania, miesiączki i prze-
kwitania.

Dawkowanie:

PO 2 – 3 ŁYŻECZKI OD HERBATY

Poprawia krążenie
Zwiększa diurezę
Wzmacnia serce
Usuwa duszność

Pneumogein

Preparat krajowy

Synergiczne działanie jodu,
kofeiny i teobrominy
Dychawica oskrzelowa
Przewlekły nieżyt dróg
o d d e c h o w y c h
Zespoły sercowo - nerkowe
Krztusiec u dzieci
Stany pogrypowe

Dawkowanie:

4 – 8 łyżeczek od herbaty dziennie.

Hormospermin

u kobiet

Wywołuje prawidłową miesiączkę
Usuwa zaburzenia psycho-
seksualne
Reguluje czynność jajnika
Zwalcza hypowagotonię
Wzmacnia układ nerw. ośrodkowy
Pobudza ośrodki krwiotwórcze
Usuwa zaburzenia na tle wadliwej
przemiany materii u dziewcząt

Dawki:

3 razy dziennie na 15 minut przed
jedzeniem po 1/2 łyżeczki od herbaty.

Hepamuscol

Wyciąg ze świeżej wątroby
w połączeniu z całkowitym
wyciągiem z mięśni wołu

Pobudza układ krwiotwórczy, do-
starcza niezbędnych składników
dla szybkiej odnowy krwi.
W z m a c n i a o r g a n i z m.

Wskazania:

Wszelkie postaci niedokrwistości.
Anemia złośliwa. Przemęczenie
fizyczne i umysłowe. Okres
rekonwalescencji po chorobach.
Wycieńczenie ustroju.

Dawkowanie:

3 razy dziennie po 1 – 2 łyż. stoł.
po jedzeniu.

Opakowanie. Flakony po 150 i 300 g.

Chemiczno-Farmaceutyczne Zakłady Przem. Handl. L. NASIEROWSKI, Warszawa, Kaliska 9.

PAŃSTWOWY ZAKŁAD HIGIENY

DZIAŁ SUROWIC I SZCZEPIONEK

WARSZAWA, CHOCIMSKA 24. — KONTO P. K. O. 30.062. — ADRES TELEGRAFICZNY: »CENTREPID« — WARSZAWA

WSZELKIE SUROWICE I SZCZEPIONKI

do celów leczniczych i zapobiegawczych u ludzi.

INSULINA PZH. • PITUITROL PZH. • PREPARATY DIAGNOSTYCZNE

Cenniki i wszelkie informacje wysła się na żądanie!

ZIOŁA LECZNICZE

»CHOLEKINAZA« H. Niemojewskiego
przeciwko chorobom wątroby i złej przemiany materii.

LAB. FIZJOL.-CHEMICZNE „CHOLEKINAZA“ H. NIEMOJEWSKIEGO
WARSZAWA, NOWY ŚWIAT 5, APTEKI I SKŁADY APTECZNE.

PRZY WALCE Z GRUŻLICĄ STOSUJE SIĘ Z DOBRYM REZULTATEM:

C R E S O - C A L C I N
W E N D Y

E M U L S A N
ŚRODEK LECZNICZO ODŻYWCZY

CALCIUM GLUCONIC.
G R A N U L A E W E N D Y

CALCIUM GLUCONIC.
W A M P U Ł K A C H W E N D Y

DR FARM. K. WENDA, WARSZAWA, LESZNO 98.

ALFA

RENTGENOWSKIE BŁONY I PAPIERY

W KAŻDYM SZPITALU
I SANATORIUM

**u wszystkich
rentgenologów**

ALFA FABRYKA PŁYT, BŁON I PAPIERÓW
FOTOGRAFICZNYCH — BYDGOSZCZ

Polskie błony i papiery rentgenowskie

„ALFA“

są już dziś ogólnie znane
ze swej dobrej jakości!

Wyłączne przedstawicielstwo na Polskę
I SKŁAD FABRYCZNY

„RENTGEN“

Warszawa, Wilcza 6, Telef. 9.25-93.

Bezpłatne próbki
dostarczamy na żądanie.

Posiadamy również na składzie wszelakiego rodzaju części
aparatów, jak również akcesoria rentgenowskie.

PEŁNOWARTOŚCIOWĄ KURACJĘ TRANOWĄ

ZAPEWNIĄ

JEMALT

ODŻYWKA TRANOWO-SŁODOWA
W POSTACI SMACZNEGO
I APETYCZNEGO PROSZKU

JEMALT

ZAWIERA STANDARYZOWANE
WITAMINY TRANU ORAZ SŁODU

Fabryka Chemiczno-Farmaceutyczna Dr A. Wander, S. A. w Krakowie.

TERAKOSKOPY

wg. JACOBENSA, UNVERRICHTA,
KREMERERA, MAURERA I INNE
DLA 2 WKŁUĆ I DLA 1 WKŁUCIA

FANTOMY

DO TERAKOSKOPII

TRANSFORMATORY

DO KAUSTYKI I DO ENDOSKOPII

firmy

GEORG WOLF

Gener. przedstawicielstwo na Polskę

INŻ. WŁ. LEŚNIEWSKI

WARSZAWA, TOPOŁOWA 2, TELEFON 816-06, 816-46

Sana-sol

**pełnowartościowa
odżywka tranowa**



zawiera:

WITAMINY A
WITAMINY D
norweskiego tranu
WITAMINY B
ekstraktu słodowego
WITAMINY C
pomarańcz i cytryn

Dawkowanie ściśle takie samo jak
oficynalnego Oleum Jecoris Aselli!

SMAC: NAJLEPSZEGO SOKU OWOCOWEGO!
DZIAŁANIE: WYSOKOWARTOŚCIOWEGO TRANU!

FABRYKA CHEMICZNA **PROMONTA**, SPÓŁKA Z OGR. ODP. BIELSKO

ZAKŁADY WYROBÓW METALOWYCH

KONRAD, JARNUSZKIEWICZ i S^{KA}

SPÓŁKA AKCYJNA

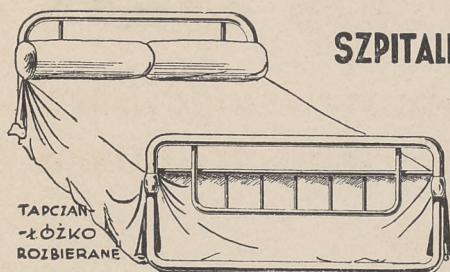
TELEFON 605-98

WARSZAWA

GRZYBOWSKA 25

ŁÓŻKA i TAPCZANY METALOWE

NOWOCZESNE MEBLE Z RUR STALOWYCH

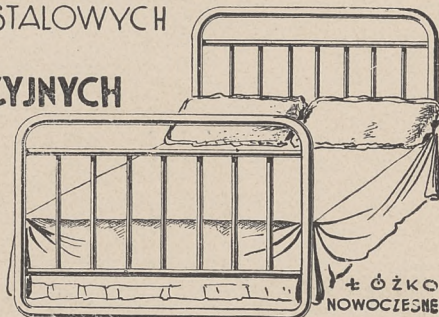


URZĄDZENIA
SZPITALI, SAL OPERACYJNYCH

GABINETÓW LEKARSKICH
i DENTYSTYCZNYCH

MEBLE
OGRODOWE

DŹWIGNIKI
WÓZKI BAGAŻOWE
TACZKI



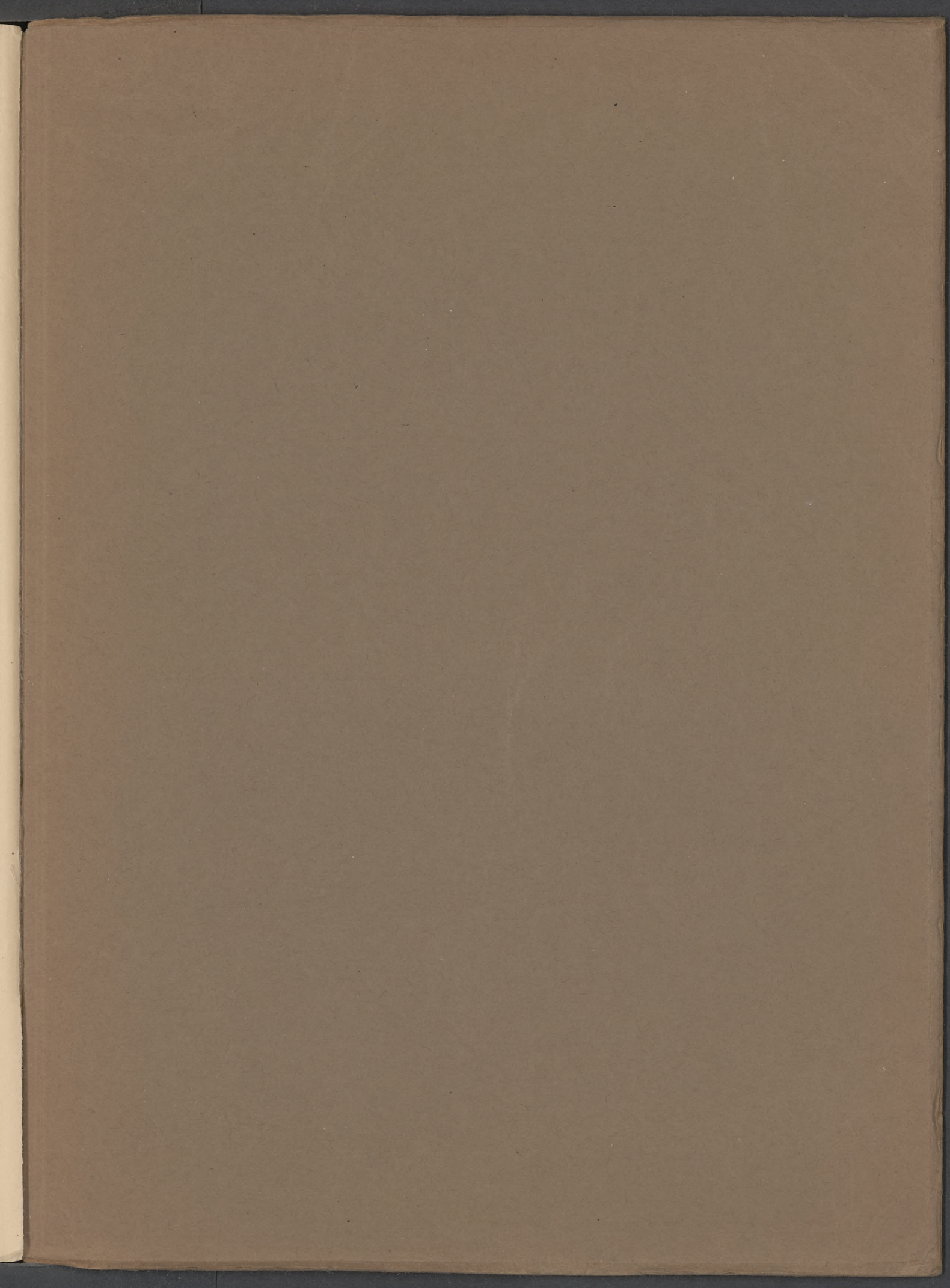
PRZY
HEMOROIDACH
HEMORIN
KLAWE

Do nabycia w każdej aptece

Biblioteka Główna UMK



300022337290



371220 2 0

05857 1110 1110

3719208 0

658857 1110 071

